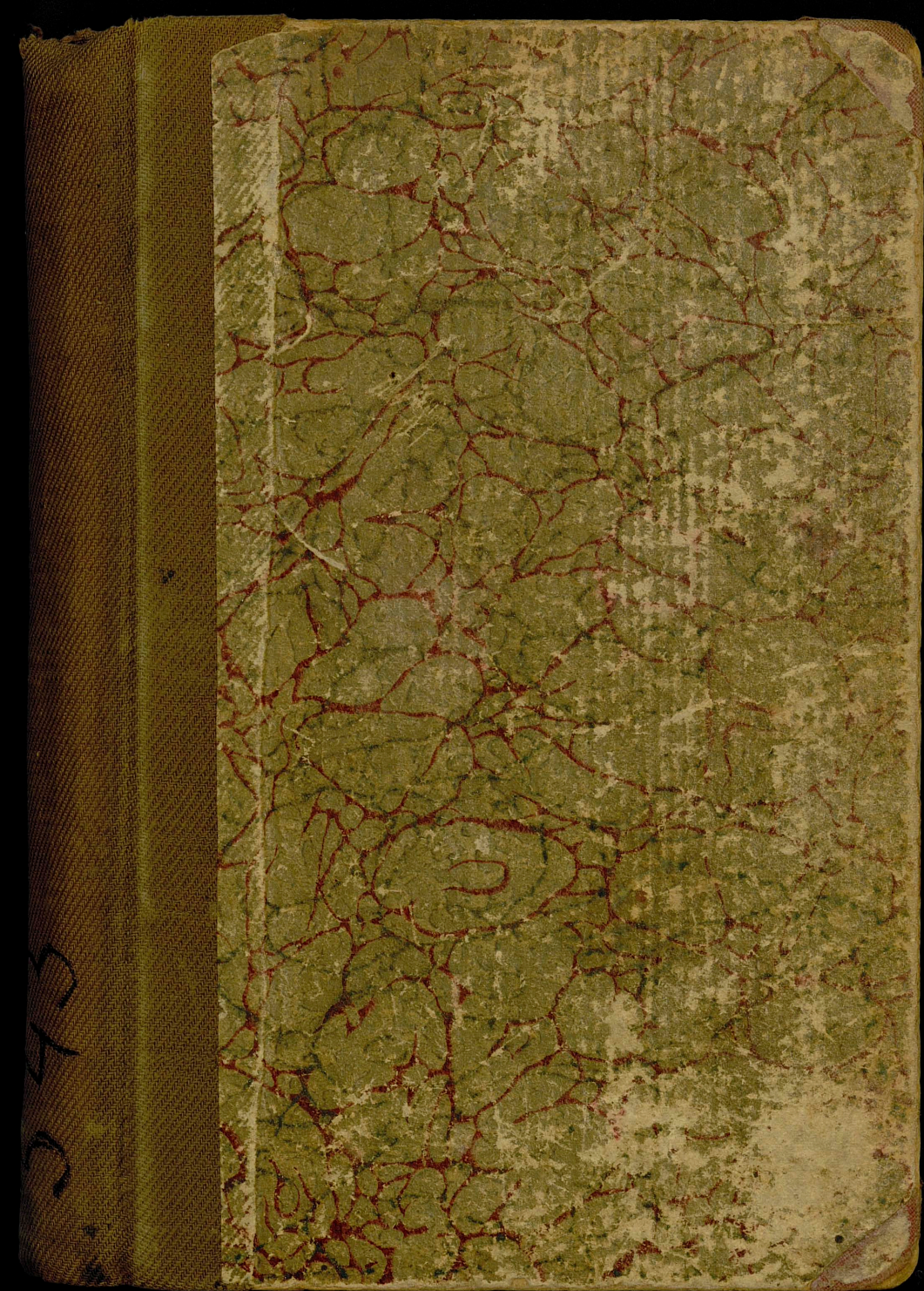






POLACY W HISZPANII.



543

flus

POLACY
W HISZPANII

(1808—1812)

WYDAWCA

PRZEZ

ZYGMUNTA LUCYANA SULIMĘ.

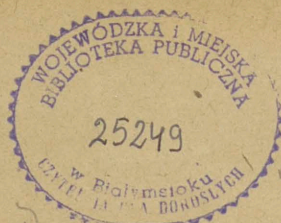
1136



WARSZAWA.

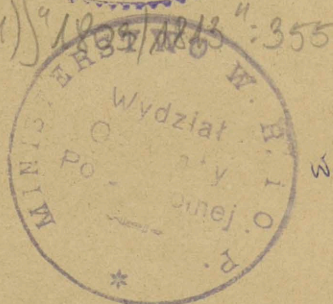
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1888.

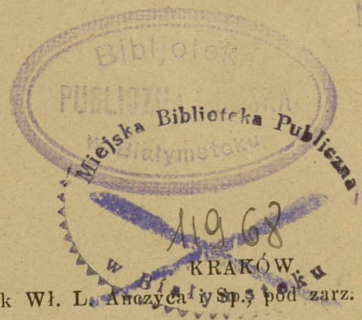


KOMPUTER

94(460):94(44) 1835/1863 "355(438) 18"



Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Февраля 1888 года.



Druk Wł. L. Anzycaty Sp. pod zarz. J. Gadowskiego.

74
77
X
R. 546
28/5.462

SŁOWO WSTĘPNE.

Szereg olbrzymich wypadków, których widownią była Europa w początkach bieżącego wieku, porwał w szalony swój wir, niestety! i nasz naród.

Chcemy tutaj opisać jeden ustęp z tej epopei dziwnej, prawie romantycznej, rozgrywającej się na scenie dalekiej, epopei, o której w swoim czasie głuche i urywane tylko dobiegały wieści do kraju; chcemy opowiedzieć walki, znoje, przygody, marsze od Nawarry aż do Andaluzyi żołnierza polskiego po półwyspie Iberyjskim, żołnierza, któremu tam, pod cieniem mirtów i aloesu „Kastyłki dawały uścisk miły“, jak pieśń niesie, a „zacięte Maury szyszcząc“ słały grad pocisków.

Dlaczego dzieje tych walk, przypominających niekiedy homerowskie boje, nie znalazły dotąd u nas dziejopisa, nie wiemy... Może dlatego, że nie wydały one żadnego owocu dla kraju, może

Polacy w Hiszpanii.

dlatego, że jedyną nagrodą potoków krwi polskiej, wylanych bezużytecznie za Pirenejami, była sława nieporównanego męstwa, bohaterstwa nawet. Ale tego męstwa i tego bohaterstwa nie płodziła myśl i potrzeba obrony własnego zagonu, więc też pióro dziejopisa polskiego wstrzymywało się wobec historii najazdu narodu, który Polsce nie i nigdy nie zawinił.

Mimo to jednak, sędzę, że w czasach ogólnego rozbicia narodowego, w czasach małych pragnień, i małych aspiracji, w dobie mieszczańskiego życia pełnego zaduchu i zgnilizny, w dobie nakoniec gdy nawet tradycja wojenna zaginęła, przypomnienie heroicznych bojów, jakie staczali nasi ojcowie, daleko od ziemi rodzinnej, nie będzie bez pożytku.

Zkądinąd, dziwne były losy tej polsko-hiszpańskiej epopei. Wyrzuciła ona z siebie, niby gradowa chmura huczająca nieustannym grzmotem i piorunami, kilka potężnych błysków, których mgliste, gasnące światło aż do nas doszło, by resztę ciemniem pokryć. Obcy o niej nie pisali, bo ich nie obchodziła; swoi, także milczeli. Kilku żołnierzy, bardziej zdatnych do szabli niż do pióra, jak generał Mroziński, generał Załuski, Brandt, porucznik Boecker, Płaczkowski, Wojciechowski, Do-

biecki, Lux i t. d. pozostawili nam kilka mętnych wspomnień, nie więcej. Nawet pieśń, która wszędzie tam występuje, gdzie historia milczy, nawet pieśń nie opiewała krwawych dziejów Saragossy, Samosierry, Okany, Almejdy i tysiąca innych bojów... Oprócz elegii Kantorbereggo Tymowskiego i Cypryana Godebskiego, oprócz poważnej dumy Goreckiego, nic więcej w pieśni nie odżyło z wyprawy hiszpańskiej... Materiały zresztą do niej są bardzo skąpe, prawie zawsze zagmatwane, niepewne, po większej części, jakśmy to już powiedzieli, składające się z osobistych pamiętników, które, jako pisane w późniejszym wieku, częstokroć w kilkadziesiąt lat po wypadkach, przepełnione są błędami. Żeśmy robili staranne poszukiwania dla wyjaśnienia prawdy, czytelnik przekona się z tej książki; mimo to, nie mamy wcale pretensyi, byśmy obraz tak wielki, tak dawną mgłą pokryty i tak rozmaity, odmalowali jak należy.

Pisałem d. 1 kwietnia 1887 r.

ROZDZIAŁ I.

Pułk szwoleżerów gwardyi.

Formacya pułku i jego ubiór. — Pobyt w Irun. — Szwoleżery eskortują króla hiszpańskiego. — Morderstwo w Miranda. — Walka z bykiem w Borgos. — Pobyt w Madrycie. — Kurlandczyk Szulc. — Powstanie w Madrycie i przygody niektórych szwoleżerów. — Sympatya ludu do Polaków. — Płaczkowski i panna Eufrozyna. — Przygody Prażmowskiego i Kamińskiego. — Bitwa pod Rióseco i historia Hempla i Gołębiowskiego. — Marsze szwoleżerów z Bessierem. — Rozstawienie eszelonami od Reynosy aż do Logrono. — Zakończenie.

Pierwszy żołnierz polski, który wkroczył do Hiszpanii w charakterze najeźdźcy, niestety! należał do pułku jazdy, niedawno uformowanej pod nazwą szwoleżerów gwardyi francuskiej, co na język polski przetłómaczono: pułk lekkokonny. Pułk ten przez dekret cesarski datowany w Finkensteen d. 6 kwietnia 1807 roku, sztyftował się w Warszawie, koszarach „mirowskich” za Żelazną bramą, i naczelne nad nim dowództwo od-

dane zostało Wincentemu hr. Krasińskiemu. Składać się on miał z dwóch regimentów, po 500 koni każdy, czyli razem z tysiąca koni. Pierwszy regiment sformował się bardzo szybko, tak, że w ostatnich dniach września 1807 roku już był gotów. W regimencie było cztery szwadrony po 125 koni.

Tworzył on się kompaniami. Na szwadron szły dwie kompanie, ogółem więc było ośm kompanij. Szczególnym sposobem uformowała się najprzód kompania pierwsza i piąta, które stanowiły pierwszy szwadron. Ten był gotowy już d. 16-go czerwca 1807 roku i zaraz wyruszył z Warszawy pod wodzą szefa szwadronu Tomasza hr. Łubieńskiego; drugi pod Kozietulskim, trzeci pod Pawłem Jerzmanowskim, czwarty pod kapitanem Wincentym Radziwińskim.

Pierwsze oddziały wzięły udział w ostatnich starciach wojny franko-pruskiej, poczem wyruszo do Francji, którą przeszli całą i zatrzymali się aż w Bajonnie na granicy hiszpańskiej, gdzie właśnie w tę porę Napoleon rozwijał brzydką tragikomedję ze zwyrodniałą dynastyą hiszpańskich Burbonów. Pułk szwoleżerów robił we Francji silne wrażenie przez swój niezwykły strój, którego dotąd nie znano, aktory z czasem upowszechnić się miał pod nazwą ułanów we wszystkich armiach europejskich. Szwoleżery mieli czapki rogatywki czerwone, sukienne, pikowane, z przodu z metalowem złotem półksiężcem, w środku którego na

srebrnem tle świeciła złocista cyfra Napoleona z koroną cesarską u szczytu. Potrzeby u tej czapki u oficerów były ze srebrnego galonu, u żołnierzy z białych sznurków. Na paradę, na jakie uroczyste wystąpienie zakładano do czapek pióra białe strusie lub kapłonie; w marszu zaś okrywano czapki czarną ceratą. Co do munduru, to z początku, przy formacyi w Warszawie zamierzano mundury paradne robić z białego sukna, ale niepraktyczną tę myśl porzucono, i zgodnie z tradycją wojskową polską, dano szwoleżerom kurtki granatowe z wyłogami karmazynowemi, spodnie także granatowe z szerokim karmazynowym lampasem. Oficerowie na wyłogach mieli lekki haft srebrny, wijący się w kształcie łańcuszka. Pasy, rzemienie i pendenty u szabel były z białej skóry; płaszcze u oficerów z granatowego sukna, u żołnierzy zaś z białego z karmazynowym kołnierzem. Czapraki granatowe z literą **N** po kątach, obszyte suknem białem i karmazynowem. W ogóle strojem swoim szwoleżery przypominali kawaleryą narodową, jakkolwiek strój ten był już mocno zmodernizowany. To też książę Józef Poniatowski minister wojny i naczelny wódz wojsk księstwa warszawskiego, przeglądając szwadrony szwoleżerów wychodzące do Francji, mówił: „prawdziwa kawalerya narodowa!” w czem mieścił się lekki odcień ironii, gdyż przypuszczał, że pułk ten złożony z paniąt, z hrabiczów i książątek będzie

równie pierzchliwy, jak dawna kawaleria narodowa. Czas pokazał, że książę Józef się mylił, że szwoleżery polskie podnieśli wysoko urok bohaterstwa polskiego.

Z początku jednak można było mniemać, że ten pułk, zaliczony do gwardyi francuskiej i wzięty na żołd Francyi, będzie zdolny tylko do parad, do świetnych wystąpień na placach mustry. Zaciągała się do niego cała krema ówczesna polska, tak, że wyglądało to na bawienie się w żołnierz. Już sam dekret cesarski usprawiedliwiał do pewnego stopnia to przypuszczenie. Artykuł piąty tego dekretu powiadał, że chcąc wstąpić do pułku szwoleżerów, trzeba było być właścicielem nieruchomości lub synem właściciela, nie mieć mniej od 18 a więcej nad 40 lat, własnym kosztem umundurować się i mieć swego konia. Rada Administracyjna księstwa, rozwijając i objaśniając ten artykuł dekretu cesarskiego, przez odezwę z d. 19 lutego 1807 r. zniosła do pewnego stopnia wyłączość szlachecką i burżuazyjną, gdyż ogłosiła, że do pułku ma każdy wstęp, czy to szlachcie, mieszczanin, czy wieśniak, byle się sam umundurował i miał konia. Ten ostatni jednak warunek uniemożliwiał wprost wstępowanie do pułku chłopom; w praktyce jednak pokazało się, że takich, coby własne mieli konie było nie wielu; przyjmowano więc wszystkich, mundurowano i montowano kosztem skarbu. W pułku służyli chłopci,

i Żydzi i Tatarzy nawet. Między oficerami, gdzie zdawało się, że sama szlachta znajdować się powinna, był i Kiliński, syn szewca z Warszawy, potomek głośnego bohatera dni kwietniowych, Koch, syn rzeźnika warszawskiego, byli i inni¹⁾. Nie przeszkadzało to jednak, że korpus oficerski świecił pierwszorzędnymi imionami szlacheckimi Polski. Było tu trzech hrabiów Krasińskich, a między nimi dowódca pułku Wincenty hr. Krasiński, ojciec poety Napoleona Zygmunta, było trzech hrabiów Łubińskich, trzech hrabiów Jordanów, trzech książąt Radziwiłłów, trzech Gotartowskich, trzech Hemplów, trzech Mierzejewskich, trzech Romanów, dwóch hr. Skarżyńskich (z nich jeden Ambroży, głośny później za swą szarżę pod Dembem Wielkim), dwóch Morskich (bliźnięta), dwóch Skalskich, dwóch hr. Załuskich (jeden z nich historyk późniejszy pułku), dwóch hr. Roztworowskich, dwóch Tedwenów, trzech Zielonków, kilku Kamieńskich (jeden Henryk, późniejszy dowódca 8 pułku piechoty; poległ pod Ostrołęką), dwóch Mikułowskich, dwóch braci Sokołowskich, (obaż zginęli na wyżynach Samosierry), dwóch margrabiów Gordonów de Huntley i t. d. Sama więc szlachta, śmietanka polska, poszła służyć wielkiemu wodzowi Francyi. Po większej części byli to panicze bogaci, rozwijali też w strojach, koniach,

¹⁾ *Jenerał Załuski* w dodatku do „Czasu“, Tom IV. p. 66.

rzęдах zbytek i przepych niesłychany. Pułk wyglądał świetnie i wspaniale.

W Bajonnie, gdzie dogonił pocztą swój pułk hr. Wincenty Krasiński, marszałek Bessiers zrobił przegląd szwoleżerów i zaraz, pierwszy oddział pod wodzą Łubieńskiego wysłał do Hiszpanii. Przeprawili się przez rzekę Bidaossa i pierwsza stacya szwoleżerów na ziemi dawnych Iberów była w miasteczku Irun, dokąd przyszli późnym wieczorem i rozkwaterowali się po domach. Tutaj polska jazda przekonała się, że nie była wcale chętnie witana przez Hiszpanów; miała przedsmak tego, czego później w tej długiej, upartej i krwawej wojnie doznawała ciągle. Jeden z żołnierzy, późniejszy porucznik Płaczkowski¹⁾, opowiada o owem przyjęciu w Irun co następuje: „poznajemy po Hiszpanach i Hiszpankach w tymże samym domu mieszkających, że są bardzo pomieszani i coś się nas bardzo boją, a nie wiedzieliśmy przyczyny tego, aż nadszedł z drugiego domu Hiszpan, który mówił cokolwiek po francusku. Pytamy się jego, czego się nas tak boją? a on odpowiedział, że dnia wczorajszego przechodzili tu Francuzi i mówili, że maszerują za nimi Polacy, co ludzi jedzą, więc to dlatego tak się boją. Aż potem, może upłynęło czasu godzina,

¹⁾ *Pamiętniki W. Płaczkowskiego*, porucznika dawnej gwardyi cesarsko-francuskiej (Żytomierz 1861).

coraz więcej Hiszpanów i Hiszpanek schodzi się do kwatery naszej, przypatrując się nam; a gdy zobaczyli czapki z piórami strusimi białemi, stojące na stole, na kokardach krzyże srebrne przypięte, coraz to bliżej przystępują do stołu, wreszcie zbliżają się do samych czapek, te krzyże całują i mówią pohiszpańsku: „ci Polacy są katolicy rzymscy, bo noszą krzyż święty Jezusa Chrystusa Boga naszego, tak jak i my, są więc przyjaciółmi naszymi“. Odtąd już śmielsi byli do nas“.

Wkrótce jednak przyszło Polakom przekonać się krwawo, że ta śmiałość Hiszpanów może się stać niebezpieczną. Z Irun maszerowali ku południowi na Hernani, Tolozę, Villafranca, Mondrago, Salmás do Wittoryi. Tu już obiegała straszna historia o pewnym grandzie hiszpańskim, który zaprosił do siebie na obiad kilku oficerów francuskich i potruł ich, a zarazem siebie, żonę swoją i dzieci. Fakt tak okrutny, dowodzący niesłychanej nienawiści do najeźdców i niesłychanego zarazem stoicyzmu, wywarł wielkie wrażenie na Polaków. Pułkowi nakazano wskutek tego ostrożność i baczność w stosunkach do krajowców, co jednak nie na wiele się przydało.

W Wittoryi szwoleżery otrzymali rozkaz eskortowania rodziny królewskiej hiszpańskiej, którą Napoleon sprowadzał do Bajonny. Rozstawiono więc pułk eszelonami wzdłuż gościńca, począwszy od Bribieski aż do Wittoryi. Do Bribieski wyru-

szyl z szóstą kompanią kapitan Brocki. Szedł na La Puebla i w miasteczku Miranda, za rzeką Ebro, zatrzymał się na nocleg, i rozkwaterował swych żołnierzy po domach mieszczan. Dwóm szeregowcom Rzędzianowi i Ciesielskiemu wypadła kwatery we młynie, będącym już za miastem, nad brzegiem Ebro. Właścicielką młyna była kobieta olbrzymiego wzrostu i siły, istny Herkules w spódnicy. Swoleżery późno w nocy wrócili na kwatery, a Hiszpanka przez dziurkę od klucza podglądała, czy idąc spać mają na sobie jakie znaki religijne, krzyżyk lub medalik, to jest czy są katolicy. Nieszczęściem obaj nie mieli na sobie nic takiego, przytem pokładli się nie mówiąc pacierza, uznała ich więc za heretyków i postanowiła zamordować. Jakoż w nocy ze swymi czeladnikami napadła na nich. Bronili się szwoleżery pałaszami, pokaleczyli kilku, ale ostatecznie ulegli. Ciała zamordowanych tak zdradziecko Polaków, pierwsze ofiary tej nieszczęsnej i niesłusznej wojny, owinięte w płaszcze z kamieniami u nóg uwiązane, mordercy wrzucili do rzeki; mundury zaś i koszule krwią zbroczone, zakopali w ziemi pod kamienną posadzką.

Nazajutrz przed wyruszeniem dalszem, gdy kompania zebrała się na placu, przy apelu pokazało się, że brakuje Rzędziana i Ciesielskiego. Natychmiast wysłano po nich podoficera. Ten gdy przyszedł do młyna, znalazł konie, siodła,

mantelzaki i broń, więc pyta gospodyni: co się stało z żołnierzami? Ta odrzekła, że nie wie, że jak tylko wczoraj wieczorem przynieśli obrok dla koni, tak zaraz potem poszli do miasta i więcej nie wrócili. Doniesiono o tem wszystkiem głównodowodzącemu księciu Miuratowi, który rozkazał Jankowskiemu (późniejszemu generałowi), ażeby pozostał z jedną kompanią w Miranda i śledztwo przeprowadził. Jakoż Jankowski zajął się tem gorliwie i żołnierze jego przypadkiem odkryli ciała swych pomordowanych towarzyszy. Teraz szło o wykrycie morderców. Właśnie do Mirandy nadzedł marszałek Massena; maszerujący do Portugalii i ten gdy się dowiedział o całej sprawie, zagroził spaleniem i zrabowaniem miasta, jeżeli winowajcy nie będą wydani. Wskutek tej groźby, malującej w dosadnych barwach charakter tej wojny, Hiszpanie wydali dwóch czeladników młynarskich, których zaraz powieszono na placu za miastem. Ciała biednych ofiar, nie marzących zapewne nigdy na swych mazurskich piaskach, że kości ich spoczną w Hiszpanii, pochowano wewnątrz kościoła w Mirandzie, gdzie może dotąd leżą, jeżeli ich Hiszpanie, jako heretyków nie wyrzucili.

Dla eskortowania więc króla hiszpańskiego, Szeptycki stanął z kompanią szwoleżerów w Paucorbo, Jankowski w Miranda, a Brocki najdalej, bo w Bribiesca. Gdy nakoniec odprowadzono

do Wittoryi wiecznie drżemącego Burbona, pułk polskiej jazdy ruszył dalej z Miuratem ku Madrytowi. Szli na Burgos, gdzie nie miała sobie sławę i rozgłos zjednali przez poskromienie na arenie cyrkowej byka. Właśnie gdy wchodzili do tego miasta, odbywało się tam igrzysko z bykiem. Kilku szwoleżerów zsiadło z koni, wbiegli na plac i poczęli się za bykiem uganiać. Lud widząc to, począł wołać z przerażeniem: „Polacy, poginiecie!“ ale nasze zuchy nie ułękli się tego. Jeden schwycił byka za rogi, drugi za ogon, inni, gdzie i jak mogli, i osadzili rozjuszona zwierzę na miejscu. Odwaga ta i siła, zrobiła na samym początku nie małą sławę Polakom¹⁾.

Z Burgos szli szwoleżery na sławną w kilka miesięcy później Samosierre, i nakoniec w połowie kwietnia stanęli w Madrycie.

Stara stolica Hiszpanii znajdowała się z powodu, jak mówiono, uwięzienia obojga królestwa, w stanie wielkiego wzburzenia. Wejście Francuzów, jakkolwiek pod pokrywką sprzymierzeńców, miało przecież charakter wyraźnego podboju. Skrytobójstwa się mnożyły. Pułki, które teraz weszły z Miuratem do Madrytu, nie zostały rozkwatowane w mieście, ale po koszarach. Szwoleżery zajęli na mieszkanie duży, nieskończony klasztor przy ulicy Lleganitos. Zwierzchność zakazała sto-

¹⁾ Loc. cit. p. 45.

łowania się po kuchniach oddalonych od koszar; niewolno było wychodzić na miasto bez broni. Zresztą Polacy tu żyli sobie dość spokojnie, i krótki ten pobyt w Madrycie, zakończony krwawą burzą, miłe im zostawił wspomnienie. Oni też ze swej strony umieli zyskać przyjaźń i miłość mieszkańców, co sowiec wynagrodziło im się później. Zdarzyło się nawet, że spotkali tu swego współrodaka.

W parę dni po przybyciu do Madrytu, gdy pułk stał uszykowany na jednym z placów miejskich, przystąpił przed front jakiś człowiek, ubrany jak Figaro z Beaumarchais'go komedyi i zawołał popolsku: „witam was, obywatele Polacy!“ Zwał on się, jak się zaraz dowiedziano, Szule, był rodem z Kurlandyi, służył pod Kościuszką; po różnych przygodach znalazł się aż w Madrycie. Obie strony, tak szwoleżery, jak i Szule, były rade z tego spotkania. Pocziwy i zwinny Kurlandczyk służył pułkowi za faktora i przewodnika w obcym mieście; dopomagał jak mógł swoim rodakom¹⁾. Podobno, według wieści, w gwardyi Wallonów szwajcarskich, znajdowało się wtedy wielu Polaków, wziętych do niewoli przez Francuzów z wojsk austriackich i aż tutaj, do Hiszpanii zwerbowanych. Tych jednak szwoleżery nie spotykali. Wogóle bawiono się w Madrycie dobrze. Chłopców roz-

¹⁾ *Zaluski* loc. cit. IX, 365.

noszących po mieście wodę do picia, nauczyli wołać popolsku: „zimna woda dobra!“ i cieszyli się tym okrzykiem, brzmącym poraz pierwszy na ulicach starej Iberów stolicy.

W mieście tymczasem wrzało głucho oburzenie i gotowało się powstanie. Miurat o tem wiedział i miał się na baczności. Rozkazy dzienne przypominały wojskom, by pojedynczo nie opuszczano koszar. Dnia 2 maja pod pozorem odpustu z powodu uroczystości Znalezienia Krzyża św., wielkie tłumy z okolicy do miasta się zeszły, uderzono w dzwony, napadnięto na posterunki francuskie i powstanie wybuchło. Mimo ostrzeżeń i rozkazów, w dniu tym znalazło się kilku żołnierzy i oficerów polskich samowtór, w oddalonych częściach miasta. Lud zabijał wszędzie, gdzie napotkał pojedynczych Francuzów, położenie więc Polaków było groźne, gdyby nie to, że swem postępowaniem i zachowywaniem się umieli sobie zjednać u mieszkańców sympatya. Mikułowski i Mogilnicki, świeżo mianowani wtedy oficerami, przeszli wśród rzezi pieszo cały prawie Madryt, od *Puerta del sol* aż do *Plaza de la Cabada*, gdzie kwaterowali z pułkiem pułkownik Krasieński i szef szwadronu Tomasz hr. Łubieński. Raz tylko napadła na nich gromada rozjuszonych chłopów i chciała ich zamordować, gdy zpośród tłumu dały się słyszeć głosy: *deja los que son Polacos!* (zostawcie ich, to są Polacy). Dwóch znowu

żołnierzy, Kowalskiego i Prędowskiego kilkunastu zakonników dominikanów na własnych rękach zaniosło do swego klasztoru i tam ukryło przed tłumem.

196
Ta sympatya zmieniła się po powstaniu w żywsze jeszcze u Hiszpanów uczucie. Ponieważ Polacy wraz z grenadierami konnymi i dragonami siedli przy wybuchu powstania na koń i uszeregowali się na szerokiej ulicy w pobliżu swych koszar i wcale nie brali udziału w rzeziach, jakie dokonywał Miurat na mieszkańcach, więc rozeszła się pogłoska między ludnością, że Polacy wyprosili się od działania przeciw ludowi, co oczywiście wywołało żywą miłość u Hiszpanów. Odtąd gwardya narodowa hiszpańska nie chciała z nikim patrolować po mieście tylko z Polakami, i wszędzie ich, gdzie się ukazali, przyjmowano okrzykami radości, częstowano i pojono ¹⁾. Polacy też nawzajem okazywali wszędzie poszanowanie obyczajów i uczuć narodowych. Gdy patrol polski szedł i spotkał księdza z Wijatykiem, zaraz zsiadał z koni, żołnierze zdejmowali czapki i w postaciach pełnych uszanowania towarzyszyli księdzu. To wszystko, to rozumne postępowanie, nie zawsze potem w innych pułkach polskich zachowywane, zjednało szwaleczkom tę miłość u ognistego i fanatycznego ludu

¹⁾ Loc. cit. •
Polacy w Hiszpanii.



hiszpańskiego, jakiej żaden inny żołnierz polski później nie uzyskał.

W czasie tego powstania, tak krwawo stłumionego przez Miurata, rozegrało się kilka dramatycznych, do głębi wstrząsających scen, w których i Polacy mieli udział. Mnóstwo osób, schwytanych z bronią w rękę i bez broni, spędzono do koszar szwoleżerów i kazano pilnować w tym celu, aby jeńców nazajutrz o świcie rozstrzelać. Było tam blisko ośmdziesięciu osób, a między nimi niejaka panna Eufrozyna, córka aptekarza, panna bogata, którą szwoleżer Wincenty Płaczkowski, pamiętnikarz, znał i w domu jej rodziców bywał. Właśnie zdarzyło się, że Płaczkowski pilnował więźniów i przemyślał ciągle, jakimby sposobem mógł uratować piękną pannę aptekarsównę. Wartą dowodził generał Pic, Francuz, komendant grenadyerów konnych gwardyi. O świcie rozkazał on wachmistrzowi od dragonów, by wyprowadził więźniów na plac kaźni. Wachmistrz wziął całą wartę i ustawił ją wzdłuż korytarza, którym więźniowie musieli przechodzić, sam zaś przy wyjściu stanął i liczył nieszczęśliwych skazańców. Generał Pic zaś stał na środku sieni, wprost korytarza, tak że mógł go widzieć w całej długości. Gdy nakoniec biedne ofiary poczęły wychodzić, zjawiła się i panna Eufrozyna. „...Chwytam ją za rękę, opowiada Płaczkowski, zatrzymuję i mówię do niej prędko

i cicho, aby dała mi się złąd uprowadzić, bo za chwilę wszyscy oni rozstrzelani będą. Dziewica się na to roześmiała, wyrwała rękę i pobiegła za innymi. Generał, który to widział, jak zatrzymałem dziewczynę, krzyknął na mnie surowo: „coto robisz? puszczaj!“ Gdy ich wyprowadzono na plac i postawiono w jeden szereg, a już stał komenderujący oficer z dragonami przygotowanymi do rozstrzelania i czekającymi tylko na ostatni rozkaz generała, ci nieszczęśliwi gdy zobaczyli broń do nich wymierzoną, prawie w trzeciej części ze strachu popadali na ziemię, a przeto wszyscy strzałami ranieni nie byli. Tu kazał generał przystąpić dragonom i skłóć leżących bagnietami“¹⁾.

Ciała w ten sposób zamordowanych, leżały przez trzy dni na owym placu, aż dopiero wyziewy, wydobywające się ze zwłok, zmusiły Francuzów, że pozwolili rodzicom zabrać ciała. Ileż to wtedy odbyło się scen rozdzierających duszę! „W kilka dni potem, pisze Płaczkowski, byłem u rodziców panny Eufrozyny, którą chciałem ocalić; mówiłem im o tem; rzewnie ją opłakiwali i wołali o pomstę do nieba, bo tylko tę jednę córkę mieli“.

Takie sceny, takie straszne bezprawia, mordowanie kobiet, starców i dzieci, wywołały

¹⁾ Płaczkowski, loc. cit. p. 57.

w Hiszpanach głęboką, niczem odtąd niezagładzoną nienawiść do najeźdców. Nie mogąc walczyć otwarcie z przemocą, poczęli mścić się potajemnie. Zatruli w magazynie wojskowym chleb i wino, a nawet w dwóch fontanach wodę, której szwoleżery i w ogóle jazda używała dla siebie i koni. Szczęściem dowiedziano się o tem, i chleb, który już rozdano żołnierzom, odebrano napowrót. Przez dziesięć dni nie dawano szwoleżerom ani chleba, ani mięsa, i wina; każdy żywił się jak mógł po znajomych domach. Przy fontanach warty stały dniem i nocą.

Takie po powstaniu było życie naszych i francuskich żołnierzy w Madrycie. Miurat za swe pastwienie się i brak taktu podczas rewolucyi, zniechęcony i zawiedziony w swych nadziejach, opuścił stolicę Hiszpanii, a po nim naczelne tymczasowo dowództwo objął Savary. Położenie jego było dość rozpaczliwe. Zamknięty z garścią wojska w mieście wzburzonym i wrogiem, nie miał żadnych wiadomości co się działo w reszcie kraju, gdyż wszystkie komunikacye były przecięte przez liczne bandy gierylasów, włóczące się dokoła. W tej sytuacji chcąc skomunikować się z flotami francuskimi w Kadyksie i Lizbonie, wpadł Savary na myśl, ażeby przesłać im rozkazy przez oficerów polskich. W tym celu wyjednał u posła rosyjskiego w Madrycie, hrabiego Strogonowa, pasporthy i mündury rosyjskie i zażądał z pułku

szwoleżerów ochotników na tę niezmiernie niebezpieczną wyprawę. Podjęli się tego dwaj porucznicy Ksawery Prażmowski i Józef Kamieński, obaj rodem z Wołynia, a więc znający język rosyjski tak, że mogli uchodzić za Rosyan. Kamieński puścił się do Lizbony, a Prażmowski do Kadyksu. Trzeba było istotnie takiej brawury, takiej pogardy wszelkich niebezpieczeństw i takiego poświęcenia, jakie ludzie tej epoki okazali, by podjąć się tego rodzaju przedsięwzięcia. Należało bowiem przejść nawskroś cały kraj wzburzony, nienawidzący każdego cudzoziemca, podejrzewający wszędzie zdradę, mszczący się okrutnie za zbrodnię na nim popełnioną. Wyprawa ta dziwna, romantyczna, niby bajka z Tysiąca nocy, nie udała się. Obu wędrowców Hiszpanie złapali. Kamieński po różnych próbach i prześladowaniach nie dostał się do Lizbony, ale cudownym prawie sposobem złączył się w Kadyksie z Prażmowskim. Ten ostatni wpadł był w ręce sławnego i okrutnego wodza hiszpańskich powstańców Castaniosa, szczęśliwie się wydobył z niewoli i dotarł do Kadyksu. Tu obaj, uchodząc ciągle za oficerów rosyjskich, wsiedli na okręt angielski i popłynęli do Tryjestu, zkąd pocztą pojechali do Wiednia do ambasadora francuskiego, który ich odesłał z powrotem do Hiszpanii. Wrócili więc szczęśliwie do pułku w listopadzie czy grudniu 1808 r., ale już po

zdobyciu wawozu Samosierry, które taką sławą wickopomną okryło szwoleżerów polskich ¹⁾).

Tymczasem szwoleżery z Madrytu, w nocy dnia 14 lipca wysłani zostali na pomoc marszałkowi Bessières, który na północy Hiszpanii, w okolicach Medina di Rioseco, znajdował się w dość przykrem położeniu, naciskany silnie przez jenerałów hiszpańskich Blake i Cuesta. Szwoleżery wystąpili ze stolicy w nocy, dla uniknięcia dziennego upału; w Madrycie zostało tylko nieco chorych pod zawiadywaniem porucznika Zawidzkiego. Szli na góry Guadaramy, Villa Castin, Arevalos, Medina del Campo, Torresillas, gościńcem szerokim i dobrze utrzymanym, śpiesząc się o ile można było. Przybyli jednak zapóźno. Bessières stoczył bitwę z Hiszpanami w dniu 14 lipca, t. j. w tej samej porze, w której szwoleżery opuszczali Madryt. Szwadrony więc, które na wiosnę z Krasieńskim, Łubieńskim i Kozietulskim weszły do Madrytu, w bitwie pod Rioseco nie brały udziału.

Bił się tam za to czwarty szwadron pod wodzą kapitana Wincentego Radziwińskiego, sformowany najpóźniej, bo we wrześniu 1807 r. i dlatego najpóźniej przybyły do Hiszpanii

¹⁾ Księżna d'Abrantès w swych pamiętnikach opisała obszernie przygody obu polskich oficerów, ale ustroiła je w taką ilość romantycznych dodatków i ozdób, że trudno rozróżnić, co jest prawdą, a co poetyczną fikcją.

i włączony odrazu po wkroczeniu do korpusu marszałka Bessières'a. Szwadron ten zatem wcale nie był w Madrycie. Przeszedłszy Pireneje niepokojony on był w górach przez bandy gierylasów i odpocząwszy sobie w Burgos, ruszył do Rioseco. Tutaj wraz z szaserami i Mamelukami gwardyi, uderzył on na sławny pułk dragonów królowej hiszpańskiej (de la Reyna) i rozbił ich doszczętnie. Pierwszy ten krwawy chrzest szwadronu przynosi mu zaszczyt. W szarży tej Joachim Hempel wpadł na działa z kilku żołnierzami i zrąbany szablami dostał się wraz z Gołębiowskim do niewoli.

Po bitwie Bessières zajął miasto Rioseco i przez dwa dni tam odpoczywał, oczekując na posiłki. Zdarzyło się, że piechota francuska plondrując wszystkie kąty po mieście, w klasztorze dominikanów w podziemnej piwnicy, znalazła zamkniętego Hempla i Gołębiowskiego, gdzie obaj leżeli ranni. Klasztor był pusty i zakonnicy wszyscy puciekali. Natychmiast biednych więźniów złamą zabrano. Hempel miał całą głowę posiekaną szablami i mała była nadzieja uzdrowienia go; jednakże wyszedł z tego. Gołębiowski zaś nie był ranny w bitwie, ale gdy wzięty został i obu jeńców dragoni hiszpańscy prowadzili do miasta, przechodzili małą rzeczkę i Gołębiowski spragniony mocno schylił się, aby się napić wody. Jeden z dragonów w tej chwili ciął go pałaszem

z boku w twarz i zranił go tak mocno, że mu oko ze wszystkiem wypłynęło. W mieście oddano ich dominikanom, którzy przyjęli jeńców z pogardą i surowością i wprowadzili ich do lochu podziemnego, gdzie ich zamknęli. I tu jednak polscy wojownicy nie mieli spokoju. Dominikanie pokilkakrotnie wpadali do lochu, krzyczeli na nich, grozili im, podawali sobie wzajemnie sztylety, aby ich pozabijać. Szczęściem nie znalazł się nikt między zakonnikami, co chciał się dopuścić morderstwa; scena ta jednak tak silnie na Hempla wywarła wrażenie, że potem ilekroć obaczył księdza, to mienił się na twarzy, bladł i omdlewał¹⁾.

Do Rioseco nadciągnęły nakoniec z Madrytu trzy szwadrony szwoleżerów i połączyły się z Bessièrès'em, a nadewszystko ze swym czwartym szwadronem. Marszałek Bessièrès utworzył z nich i ze strzelców konnych gwardyi francuskiej brygadę, którą oddał pod dowództwo walecznego jenerała jazdy Lassale'a. Zaraz też puszczono się w pogoń za Blakiem i Cuestą, ku północy, do prowincyi Leonu. Brygada Lassale'a szła w przedniej straży. Przeszli miasto Leon i dotarli aż do Astorgi, w pobliżu łańcucha gór Kantabryjskich.

Ten zwycięski pochód Bessièrès'a został po-

¹⁾ Płaczkowski, loc. cit. p. 49.

wstrzymany smutną wiadomością o kapitulacyi jenerała Dupont pod Baylen. Nie było czego czekać, jeżeli chciano uniknąć podobnego losu. Bessièrès natychmiast rozpoczął odwrót i w nocy cichaczem opuścił Astorgę. Szedł na Leon, Palencyą do Burgos nieścigany wcale przez Hiszpanów. Odwrót ten dziwne robił wrażenie na szwoleżerów. Przekonani byli i przekonanie to dotąd znajdowało usprawiedliwienie w ich czynach, że tak oni jak i Francuzi są niezwyciężeni. Tymczasem cofają się i to śpiesznie się cofają. Zdziwienie ich jeszcze bardziej wzrosło, gdy stanąwszy w Burgos dowiedzieli się, że niedawno zrobiony królem hiszpańskim Józef Bonaparte opuścił Madryt i przybył do Burgos, dokąd ze wsząd cofały się wojska francuskie.

Tu w Burgos król Józef zrobił przegląd szwoleżerów, którym jego mieszczańska, nie wojskowa postawa wcale się nie podobawa. Król z Burgos udał się do Vittoryi, a szwoleżerów rozstawiono eszelonami w tylnej straży, od Reynozy aż do Logrono, na brzegu lewym Ebro, z wysuniętymi posterunkami w Burgos i innych miastach. Gdy jednak armia hiszpańska posunęła się pod tę odwieczną stolicę Starej Kastylii, posterunki polskie cofnęły się aż do Briviesci, gdzie przez dłuższy czas konsystowano we względnym spokoju.

Zostawmy tu na chwilę waleczny pułk polskich szwoleżerów, by przenieść się w inne oko-

lice, do klasycznej, przez Rzymian jeszcze i Kartagów deptanej ziemi Arragońskiej, gdzie podczas pobytu szwoleżerów w Madrycie i ich pochodów po Léonie, lały swą krew i inne pułki polskie. Napotkamy tam dzieje niemniej dramatyczne i niemniej zaszczytne dla broni polskiej.

ROZDZIAŁ II.

Legia Nadwiślańska. Saragossa.

Legia nadwiślańska i jej pochód do Hiszpanii. — Przeglądy w Bajonnie. — Pułk pierwszy legii. — Lansyerzy i uczy w Bajonnie. — Siła legii i wartość jej żołnierza. — Przejście przez Pireneje. — Jakie wrażenie robi Hiszpania na Polakach i co o nich mówią Hiszpanie? — Ułani pod Tudellą i Mallen. — Utarczka legii pod Alagon. — Saragossa. — Atak grenadyerów polskich na bramę Carmen. — Odwrót. — Pułkownik Chłopicki i jego charakter. — Starcie pod Epilą. — Atak kolumny kapitana Notkiewicza na działą. — Zwycięstwo.

Pułki polskie, które się biły w Arragonii, należały do t. z. legii nadwiślańskiej. Legia ta, jak wiadomo, utworzona została wraz z pułkiem szwoleżerów, przez dekret cesarza Napoleona datowany z Finkensteinu d. 6 kwietnia 1806 r. ze szczątków legii polskiej, która zawiązała się we Włoszech zaraz po upadku Rzeczypospolitej. Składać się ona miała z trzech pułków piechoty i jednego jazdy, który przewano „lansyerami.“ Dowódcą legiiznaczony był wtedy generał

brygady Grabiński, pułkami zaś dowodzili: pierwszym Chłopicki, drugim Kąsinowski, trzecim Świdorski, którego później zmienił Estko, sióstrzeniec Kościuszki.

Na początku 1807 r. gdy legia z Neapolu powołano do kraju, składała się ona zaledwie z trzech słabych batalionów. Król neapolitański zatrzymał w swej służbie część podoficerów i wszystkich prostych żołnierzy z piechoty, tak że do kraju wrócili sami tylko oficerowie i część podoficerów. Większość tych oficerów przeszła do formujących się wówczas pułków Księstwa Warszawskiego, tak że niewielu zostało przy legii. Gdy ją na koniec jako tako uzupełniono nowozaciecznymi na Szlaku, zapytano jej, czy chce powrócić do ojczyzny, czy nadal pozostać w służbie francuskiej? Odpowiedzieli legioniści jednogłośnie, że pragną widzieć ojczyznę, której tak blisko byli. Mimo to wzięto ich na żołd francuski i wysłano walczyć z narodem, który Polakom nigdy nie nie zawinił i który bronił swej niepodległości. Dodać należy, że później począł formować w Augsburgu czwarty pułk piechoty legii, generał Bronikowski, sławny z czasem niemiecko-polski powieściopisarz.

Pułki te wezwane do marszu, wyruszyły ze swych kwater na wiosnę 1808 r. Punkt wyjścia był rozmaity od Szlaku aż do Westfalii, w skutek tego dla niektórych oddziałów pochód bardzo

gwałtowny. Wszystkie szły na Sedan, gdzie było główne depo pułków polskich, gdzie legia umundurowano, zaopatrzone w broń i rynsztunek. Następnie na Paryż, Mans, Alençon, Bordeaux, Dax szły pułki legii do Bajonny, gdzie wówczas znajdował się Napoleon i prowadził układy z rodziną królewską hiszpańską. Niektóre oddziały, jak np. pułk trzeci legii, który miał najdalszą drogę do odbicia, zastał w Angoulême przygotowane dla siebie podwozy, na których przyjechał aż do Bordeaux, gdzie wsiadł na statki i Garonną płynął do Laugon, a ztąd znowu na wozach do Dax, z Dax wodą do Bajonny.

Tutaj cesarz robił przegląd każdego pułku legii. Nie wszystkie mu się podobały, co zresztą nie było dziwnem, bo żołnierz był świeżo zaciągnięty, prawie rekrut. Niezadowolenie takie uczuł dość dotkliwie pułk pierwszy legii (Chłopickiego). Napoleon przeciw zwyczajowi przyjechał na przegląd w karecie i miał na nogach trzewiki i pończochy. Rewia trwała krótko, a cesarz był w złym humorze. Przy jakimś tam obrocie, który wypadł niekoniecznie szczęśliwie, zawołał:

— Ciekawy jestem coście wy robili w Kaselu? ale prefekt policji musiał mieć widocznie słuszną rację pisząc mi, że panowie oficerowie grają tylko w karty, a żołnierze zapijają sprawę. Będę ja tu musiał zaprowadzić jakiś inny porządek.

Spostrzegłszy, że dowódca batalionu, kapitan

Negalski trochę niedbale siedzi na koniu, krzyknął na cały głos dość szorstko:

— Ha! cóżto ja widzę? siedzisz pan na koniu jak stary Fryc!

Oficerowie będący w tym batalionie, zdawali się wywierać bardzo przykre wrażenie na cesarzu. Kapitan był mały i chudy, pierwszy porucznik kościsty i wysoki, a ponieważ odbył niegdyś pierwszą kampanią we Włoszech, nie był już wcale młodym; drugi porucznik był tęgi i pomimo swej młodości zanadto pulchny. Cesarz przeszedłszy w milczeniu przed batalionem, przemówił po dopełnieniu przeglądu kilka słów do pułkownika, których jednak nikt dosłyszeć nie mógł. Ale młodszy oficerowie, którzy nie lubili kapitana z powodu jego surowości, wkrótce rozgadali wszędzie, że cesarz miał powiedzieć:

— Proszę mi posłać na odwach poruczników tego batalionu!

Po chwili zaś, jak gdyby czegoś jeszcze zapomniał, miał dodać:

— I kapitana także! ¹⁾

Lepiej się powiodło pułkowi ułanów, przewzanych lansyerami. Ten składał się w ogromnej swej większości ze starego żołnierza, który od dwunastu lat, od powstania Kościuszkowskiego

¹⁾ *Jenerał Henryk Brandt*. Wspomnienia z wojny w Hiszpanii i Rosyi, p. 343.

bił się na wszystkich polach Europy, od Dniepru i Bugu po Apeniny i Ren, i rekrutów stosunkowo nie wielu miał pomiędzy sobą. Byli tacy w tym pułku, którzy jak kapitan Jacewski służyli jeszcze pod Pułaskim w konfederacji Barskiej, a większość odbyła całą kampanią Kościuszkowską, włoską i niemiecką. Dowodził nim, jakeśmy wspomnieli, pułkownik Konopka, grosmajorem (podpułkownikiem) był Klicki, szefem szwadronu Rutie. Cały pułk składał się z czterech szwadronów. Żołnierz odznaczał się postawą wojсковą i dzielnie robił lancą. Wspomnienia przechowały nazwisko flankiera z trzeciej kompanii, Czarneckiego, który jabłka ciskał w powietrze i chwycił je na grot lancy ¹⁾.

Przegląd odbył się d. 12 maja 1808 r. w Bajonnie, na placu Marax, prawie w tym samym dniu, w którym szwoleżery gwardyi opuszczali Madryt. Cesarz był w dobrym humorze; przyjechał wierzchem na ciężkim, normandzkim koniu z uciętym ogonem, w mundurze strzelców gwardyi, w bótach palonych. Ten koń ciężko sadzący wolnym kuregalopeni, ten ryszstunek nie uszedł oka żołnierza polskiego. Mówiono sobie, że cesarz dla tego ukazuje się jako ciężki kawalerzysta, żeby przed oczami lansyerów, świetnych jeźdźców, ukryć niedostatek swego trzymania się

¹⁾ *Wojciech Dobiecki*. Wspomnienia wojskowe (dodatek do „Czasu“ z r. 1859).

na koniu. Na przeglądzie była obecna i cesarzowa Józefina, siedząca samotnie pod drzewem na krześle.

Gdy cesarz przejechał, lansyerom kazano zsiść z koni i ustawiono ich w jeden długi szereg przy koniach. Cesarz także zsiadł ze swego normandzkiego olbrzyma i idąc wolno oglądał ludzi i konie. Gdy doszedł do kompanii piątej, żołnierz z pierwszego szwadronu, dobrze podpiły, z wąsikami jak wiechcie i z czterema szewronami na rękawie, rzekł kiepską francuszczyzną podnosząc nogę i pokazując bóty: „patrz cesarzu, jakie ja mam bóty, bez podeszew, a służąc 25 lat nie wiem ile mam masy (żołdu), bo książeczki nie mam, a pułkownik z kwatermistrzem zjadają fundusze“. Cesarz wysłuchawszy tego z błyskawicami gniewu w oczach, obrócił się raptownie i zawołał pułkownika. Nadbiegł Konopka nieco przestraszony i wytłómaczył się, że ułani istotnie książeczek nie mają, ale dla tego, że pisać po francusku nie umieją¹⁾. Napoleon widocznie skwaszony, już dalej pułku nie lustrował, ale kazał siąść na koń i rozpoczęły się manewry, które z początku szły kiepsko. Później dopiero poprawili się lansyerzy, a cesarzowi bardzo się podobało, że szwadrony polskim

¹⁾ *Kajetan Wojciechowski*. Pamiętniki moje w Hiszpanii (Warszawa 1845 r.) p. 20.

obyczajem nie czwórkami ale trójkami się odłamywały. Przegląd się powiódł. Ułani cudów lancami dokazywali. Puszczała się pędem ku cesarzowej, osadzali przed nią konia na kilka kroków, robiąc młynka lancą. Widowisko było ciekawe i niezwykajne dla Francuzów. Cesarz był zadowolony i rozdał między lansyerów czterdzieści krzyżów legii honorowej, prócz tego korpus oficerów pułku zaprosił do siebie na obiad. Obiad był wspaniały; damy z rozkazu cesarza bardzo uprzejme dla ułanów, bo jak mówiono, Napoleon chciał sobie ująć Polaków. Przepyszne talerze z sewrskiej porcelany zachwyciły oficerów.

Lecz nie na tem skończyły się bankiety w Bajonnie. Nazajutrz po obiedzie u cesarza, dał obiad dla całego pułku lansyerów, szwadron polskich szwoleżerów gwardyi, który pozostał przy cesarzu dla parady i ostentacyi. Bawiono się wybornie¹⁾.

Tym więc sposobem korpus wojska polskiego, noszący miano Legii Nadwiślańskiej, wkraczając do Hiszpanii, składał się z trzech pułków piechoty, przeważnie rekrutów, których wśród da-

¹⁾ Napoleon w Bajonnie nie bardzo rozumiejąc na czem polega dzielność ułanów polskich, rozkazał, by oficerom, podoficerom i żołnierzom flankierskim dano karabinki kawaleryjskie. Nowość ta jednak lansyerom wierzącym, zresztą bardzo słusznie, tylko w swoją lancę, nie podobała się wcale, i wkrótce karabinki porzucono.

lekich pochodów, od Wisły do Pirenejów nie miano ani czasu, ani możności jak należy wyćwiczyć. Wprawdzie jakeśmy to już zaznaczyli, oficerowie i podoficerowie byli starzy, doskonali żołnierze. Każden z tych pułków liczył od 1500 do 1600 ludzi, ogółem 5000 piechoty, która wkrótce pokazała, że nie ustępuje w niczem najstarszym pułkom francuskim, że jest wytrwała, karna i waleczna. Co do jazdy owych „lansyerów“ Konopki, których obliczają na 900 do 1000 koni, to posiadała ona nieocenione przymioty rycerskiej odwagi i brawury. O ułanach tych naoczny i nieuprzedzony świadek¹⁾ opowiada, że „odznaczeni się oni taką śmiałością, że byli postrachem Hiszpanów, a szczególnie ich kawaleryi we wszystkich bitwach. Pierwsi rzucali się na nieprzyjaciela, nie zważając na ogień, ścigali go krok w krok. Zabawą dla nich było zdobyć baterią lub rozbić czworobok; w wielu bitwach piechota nie dała nawet wystrzału, gdyż oni wszystko roztrzęśli i rozproszyli. Hiszpanie zwykle uciekali, skoro tylko ułanów (*los lanceros polacos*) ujrzeli. Często aby złudzić Hiszpanów, kiedy się ukazali, chowali swoje lance między konie, ci więc myśleli, że to są strzelcy

¹⁾ *St. Breker*. Pamiętniki z wojny hiszpańskiej 1808—1814 (Warszawa 1877) p. 79.

konni albo huzarzy; pomyłki tej nieraz żałowali“....

Takie to wojska wchodziły do Hiszpanii w czerwcu 1808 r. to jest prawie w przededniu krwawej walki, jaką wkrótce stoczyć miała ich ojczyzna, a w której to walce, niestety! dzielni ułani Konopki i świetne pułki nadwiślańskie nie miały wziąć udziału. Dość że w czerwcu wyruszały kolejno z Bajonny na St. Jean - pied. - de port, na sławne wawozy Ronsewalskie do Hiszpanii. Zgromadzić się miano w Pampelunie, gdzie już znajdował się generał Lefebre-Desnouettes z kilku batalionami francuskimi, i objąć miał naczelne dowództwo i wkroczyć do Arragonii. Najprzód przeszli Pireneje w ostatnich dniach maja lansyerzy i już w d. 4 czerwca stali w Taffala, pięć mil za Pampeluną; potem pułk pierwszy piechoty w d. 7, pułk drugi w 13, a trzeci w d. 23 czerwca 1808 r.¹⁾

Droga do Pampeluny na Ronsewalski wawóz była najkrótszą, ale z wielu względów niedogodną. Wąska, spinająca się po górach, przystępną jedynie była dla małych wózków krajowych. Pułk pierwszy Legii eskortował z Bajonny trzy działa, jedną haubicę i trzynaście wozów amunicyjnych. Przeprawa po takiej drodze była nie-

¹⁾ *Jenerał Józef Mroziński*. Obłężenie i obrona Saragossy w latach 1808—1809, p. 10.

słuchanie trudną i uciążliwą. Brano wprawdzie do pomocy woły i krowy z sąsiednich wiosek, bo o innym zaprzegu tamtejsi mieszkańcy pojęcia nie mają, ale to na nic się nie zdało i żołnierze własnymi rękami ciągnąć i wynosić działa musieli. Jakkolwiek był to czerwiec, przecież w górach zimno, zwłaszcza w nocy, było bardzo dokuczliwe. Gdy tedy jedne oddziały pracowały nad wyciąganiem dział w górę, drugie ogrzewały się przy rozłożonych ogniach. Pułk drugi i trzeci miały także powierzoną sobie artylerją i w przeprawie jej doznały niemniej znacznych trudności ¹⁾.

Widok górskich okolic, niebotycznych skał nurzających się w błękicie, widok orłów unoszących się ponad skałami, mocne czynił na młodych polskich żołnierzach wrażenie. Ale jeśli naga, dzika i surowa przyroda górska nie zapalała ich wyobraźni, to marzyli za to o rozkoszach, jakie czekają ich tam za tą skalistą ścianą, w słonecznej Hiszpanii, ojczyźnie słodkiego wina i słodkich ust kobiecych. Niestety! i tu ich miały czekać zawody. „Gdzieżto owe postacie urocze, wesole, skoczne, o których nazytałem się tyle w romansach z ziemi hiszpańskiej? — woła jeden z tych rozczarowanych wojowników polskich. — Daremnie szukałem oczyma owego szlacheica

¹⁾ *Loc. cit.*

hiszpańskiego, który ze szpadą u boku chodzić miał za pługiem; powabnych hiszpanek, które z gitarą w ręku nucić miały piosnki miłosne pod cieniem drzew w ogrodach. Nic z tego. Wszędzie zastawaliśmy drzwi domów zamknięte, sklepy zaryglowane, mieszkańców ponurych, na pytania odpowiadających: „nie rozumiem, nic nie wiem, panie“. Po drodze zabiegały nam tylko stare, obrzydliwe baby“... ¹⁾.

Początek więc nie był zachwycający, a przytem między Hiszpanami osobliwsze obiegały wieści o Polakach, o tych niewidzianych jeszcze dotąd na ziemi hiszpańskiej błękitno-okich najeźdcach. Mówiono, jakeśmy to już zaznaczyli przy wkroczeniu szwoleżerów, że Polacy są poganami, że żywcem ludzi jedzą jak dzicy. Nie dziw zatem, że legion spotykał ciągle przerażone, ponure twarze, domy zamknięte, sklepy zaryglowane. Już w Pampelunie zauważyli legionieści tłumioną nienawiść w narodzie do najeźdców. Jeżeli schwytali Hiszpanie gdzie jakiego żołnierza nauboczu, to zaraz go zamordowali. To też Legia otrzymała rozkaz nie wychodzić na ulicę bez bagnatów dla swej obrony.

Zadaniem głównodowodzącego, generała Lefebre-Desnouettes, nie czekając aż się zbierze reszta korpusu, było wyruszyć na Saragossę,

¹⁾ *Henryk Brandt, loc. cit.*

główne ognisko powstania w Arragonii. Jak wiadomo, Saragossa leży na prawym brzegu wielkiej i szerokiej rzeki Ebro, przez którą można było tylko przejść przez most pod Tudelą. Pierwszym więc krokiem wodza, musiało być konieczne zdobycie tego mostu, którego bronił głośny później wódz powstańców hiszpańskich, generał Palafox.

Ponieważ dowódcom francuskim zalecona była szybkość i energia w działaniu, a to w celu zgniecenia powstania w zarodku, więc generał Lefebre-Desnouettes, nie czekając aż się zbierze cały korpus, ruszył d. 6 czerwca z Pampeluny ku Tudeli na czele 3000 ludzi, między którymi Polaków reprezentowali sami tylko lansyerzy. Ci bowiem najprzód przeszli Pireneje, prowadząc po wąskich drożynach konie za uzdy i witani strzałami Hiszpanów zpoza gór. Przybywszy nad Ebro stanęli w bezludnej wiosce, gdzie nie było czem ani koni, ani siebie nakarmić. Plondrując po całej wsi, ktoś znalazł za ołtarzem w kościele pszenicę, którą dano koniom. Gdy nazajutrz trzeba było dalej ruszyć, konie tak się pochwaciły ową pszenicą, że pułk wprost został zdezorganizowany. Pomimo ratunku przeszło 20 koni padło; resztę musiano z trudnością za uzdy prowadzić. W parę dni potem, d. 11 czerwca, trójbarwiste chorągiewki ułanów polskich po raz pierwszy w dziejach, ukazały się pod murami

Tudeli. Ale tutaj musiano się zatrzymać; most był zerwany i Hiszpanie okazywali chęć silnego oporu.

Na rozkaz generała, lansyerzy przeprawili się na promach przez Ebro pod Arguedas, piechota przeszła tę rzekę w Valtierre, i gdy parlamentarza francuskiego, wysłanego w celu układów, Hiszpanie przyjęli kulami, ruszono do ataku. Piechota poszła na bagnety, wspierana przez dzielnych ułanów, którzy odegrali tutaj taką ciekawą scenę bojową; pozycją tworzyła piękna płaszczyna, ograniczona od frontu głębokim parowem, w którym siedzieli strzelcy hiszpańscy i prażyli Polaków dobrze utrzymanym ogniem. Szef szwadronu Kostanecki widząc to, a chcąc koniecznie nieprzyjaciela wywabić, z jednym szwadronem przypuścił nibyto atak do parowu. Powitany rżęsim ogniem począł uciekać, a Hiszpanie za nim wybiegli z parowu, krzycząc: *vittoria! vittoria!* Lecz nagle Kostanecki zatrzymał szwadron, robi obrót trzema w prawo: w tył do frontu, uderza na Hiszpanów i lancami ich wyklówa. Zdobyto cztery działa, z których kapitan Hupet¹⁾, niegdyś w legionach oficer artylerii konnej, urządził baterią konną, do czego wziął żołnierzy i podoficerów służących niegdyś w tej

¹⁾ Zwano go w pułku Jupe; prawdziwe jego nazwisko było Hoppe lub Hoppen i rodem był ze Lwowa.

bronii. Artylerya ta później nieocenione usługi oddawała ułanom¹⁾.

Hiszpanie na całej linii pierzchli, ścigani zawzięcie przez naszą jazdę. Tudela, a z nią droga do Saragossy była w ręku francuskich. Dla zreorganizowania lansyerów, którym zochwaczone konie przez pszenicę odmawiały ciągle posłuszeństwa, musiano się nieco zatrzymać w Tudeli.

Ale Hiszpanie jeszcze raz mieli zabiec drogę wojskom polsko-francuskim. W dniu 13 czerwca generał Lefebvre, wzmocniony pierwszym pułkiem piechoty legii nadwiślańskiej, który nadciągnął do Tudeli d. 12 t. m. przebiegłszy w pięciu dniach przestrzeń od Ronsewalskich wąwozów, posunął się dalej i napotkał pod Mallen dziesięć tysięcy Hiszpanów i 18 dział, pod wodzą margrabiego de Lassan, brata Palafoxa. Lansyerzy otrzymali rozkaz okrążenia nieprzyjaciela* od lewego skrzydła, popierani w tym ryzykownym ruchu przez oba bataliony pierwszego pułku piechoty nadwiślańskiej i dwa działa kapitana Hupeta. Piechota francuska zaś miała uderzyć od czoła, wziąć, jak to mówią, byka za rogi. Oczywiście los bitwy zależał od ruchu Polaków. Jakoż piechota francuska rozwinięta się w szturmowe kolumny, posunęła się naprzód śmiało, pomimo rżęsiwego ognia, ale nic działać nie

¹⁾ *Dobiecki* loc. cit.

mogła. Hiszpanie mężny stawili opór. Dopiero ukazanie się lanc ułańskich na skrzydle i żółtych rabatów piechoty polskiej wznieciło postrach w ich szeregach. Chłopicki szedł do ataku broń w ramię mając, rozwiniętym frontem, z muzyką, dobozami i sztandarami rozpuszczonemi. Natarcia polskiego nie wytrzymali Arragończycy z boku, a naciśnięci przez Francuzów z przodu, poszli w rozsypkę. Sześćset ludzi stracili oni w tej bitwie. Ułani pod wodzą kapitana Skarżyńskiego ścigali uciekających aż do rzeki Ebro, mordując każdego Hiszpana bez litości, gdyż nie rozumiejąc języka, nie wiedzieli czy proszą o pardon, czy nie. Wielu nawet lansyerów wpław się przez rzekę puściło i wtedy utonął podporucznik Topolczani i kilku żołnierzy¹⁾. Pęd wody był tak silny, że jednego szasera francuskiego pochwycił wraz z koniem i wpakował między pale, wbite w celu łowienia ryb. Wzięto pięć armat, które zwiększyły artylerję kapitana Hupet.

Jeszcze raz chcieli się Hiszpanie oprzeć postępowi Francuzów ku Saragossie. W dniu 14 czerwca rozwinęli się pod Alagon, broniąc przeprawy przez rzekę Xalon. Pozycja była dobrze wybrana, ale żołnierz powstańczy porażony w dwóch potyczkach, stracił zupełnie ducha. W chwili gdy poczęły się ukazywać kolumny

¹⁾ *Mroziński*, loc. cit.

polskie, bo te szły przodem, Hiszpanie przywitani je silnym ogniem kartaczowym. Legia w spokoju rozsypała się w tyraliery i po kilkudziesięciu strzałach karabinowych, nie widziała już przed sobą nieprzyjaciela. Hiszpanie straciwszy trochę ludzi pierzchnęli, oddając już teraz stanowczo drogę do Saragossy. Przednie straże wojsk polsko-francuskich już widziały szczyty wież stolicy Arragonii. Żołnierz pełen najlepszej otuchy, pewny zwycięstwa, mówił, że „wojna ta niewiele będzie kosztowała prochu“. Nie przeczuwał on, że nazajutrz miała się rozpocząć walka jedna z najkrwawszych w dziejach, walka na noże, jak ją zwali Hiszpanie.

Historia oblężenia Saragossy przypomina pod wielu względami słynną w starożytności obronę Saguntu. Ta sama nieustraszona niczem waleczność, ten sam duch nieograniczonego poświęcenia znamionuje tę smutną, krwawą, legendową nieomal historią.

W chwili gdy generał Lefebre ruszył ku Saragossie w d. 15 czerwca, poprzedzany przez dwa szwadrony lansyerów i pierwszy pułk nadwiślański, starożytna stolica Arragonii liczyła 50 tysięcy mieszkańców, kilka tysięcy żołnierzy i powstańców z okolicy pod naczelnem dowództwem Palafoxa. Nie tu miejsce opisywać Saragossę, w której każdy kamień nieomal zlany jest krwią polską; dość wspomnieć, że było to miasto na-

wskrós średniowieczne. Zpoza zębatach obwodowych murów, strzelały pod wiecznie błękitne niebo Arragonii wieże czterdziestu klasztorów, siedlisko całych tysięcy mnichów, pełnych fanatyzmu religijnego i patryotycznej egzaltacji. Zpomiedzy licznych i bogatych kościołów, brzmiał na całą Hiszpanią rozgłosną sławą kościół *Nuestra Señora del Pilar*, do którego pielgrzymują do cudami słynnego posągu Najświętszej Panny, stojącej na wysokim słupie jaspisowym.

Gdy przednia straż niewielkiego korpusu generała Lefebre-Desnouettes, złożona, jakśmy rzekli, z lansyerów i pierwszego pułku piechoty Legii Nadwiślańskiej, ukazała się w pobliżu Saragossy, Palafox wystąpił na czele 5000 Hiszpanów na drogę do Epili i postanowił jeszcze raz, w obliczu stolicy, stoczyć z nieprzyjacielem otwartą walkę w polu. Niestety! walkę tę musieli wytrzymać Polacy.

Pozycja Hiszpanów była bardzo dobra. Czoło linii zasłonięte było gęstym laskiem oliwnym, wśród którego kryli się tyralierzy; lewe zaś skrzydło opierało się o jeden z kanałów, który remi całą okolica Saragossy była poprzecinana. Generał Lefebre rozpoznawszy pozycyą, nakazał przedniej polskiej straży, pod wodzą pułkownika Chłopickiego rozpocząć atak¹⁾.

¹⁾ Loc. cit.

Polacy poszli i wkrótce wyparli Hiszpanów z pozycyi; zmusili ich do schronienia się za mury miasta i zdobyli dwa działa. Jenerał Lefebre, któremu się zdawało, że jednym zamachem weźmie Saragossę, sformował kilka kompanij polskich w kolumnę do ataku i kazał uderzyć na miasto. Atak był trudny z powodu terenu posianego gęsto oliwkami i ogrodami, tak że kolumna posuwająca się szturmowym krokiem, ujrzała mury i bramę Carmen dopiero w odległości 60 sążni. W chwili gdy kolumna debuszując zpośród ogrodów wysunęła się na otwartą drogę, Hiszpanie nagle zdemaskowali baterią dział ustawioną przed bramą i sypnęli kartaczami. Piętnastu grenadyerów polskich, kapitan Karol Emmerych, „oficer najpiękniejszych nadziei“, jak mówi dziejopis oblężenia Saragossy ¹⁾, i porucznik Mierzwiński padli ofiarą tej nierównej walki. Lansyerzy stracili podporucznika Antoniego Snarskiego, którego zpośrodku ognia wyniósł na plecach podoficer Piotr Rogojski, sądząc, że niesie rannego, a to był już trup tylko.

Na widok upadającego kapitana Emmerycha, grenadyerzy polscy zachwiali się pod tym de-

¹⁾ Loc. cit. Kapitan Emmerych głośny był w legionach z tego, że w r. 1806 w Salerno w Neapolitańskim, jako porucznik legii włoskiej, schwycił sławnego bandytę Fra Diavolo (Michele Pezzo).

szczem ognia i żelaza, jaki spadł na nich zprzed bramy Carmen, ale pułkownik Chłopicki zjawił się, kilku jędrnemi słowy i imponującą swoją postawą natchnął odwagą walecznych, i kolumna ruszyła znów naprzód, smagana ciągle ogniem, który zabił lub ranił kilkunastu ludzi, pomiędzy nimi podporucznika Ambrożego Borakowskiego, i dotarła do samej bramy. Ale tu miało być jej: „nie pójdziesz dalej“. Przed bramą zawiązał się straszny, uparty bój na białą broń, w którym Polacy z początku wzięli górę, ale wkrótce musieli ulec. Na odgłos bowiem walki pod bramą Carmen zbiegli się mieszkańcy, i kryjąc się poza mury, dachy, z okien, ścian i wież rozpoczęli gęsty ogień, który niszczył bezlitośnie walczących u bramy legionistów. Napróżno dwa działa postawione wprost bramy rzuciły w ulice miasta kilkadziesiąt kul, które zresztą nie grubym murem domów nie zaszkodziły, a same utraciły artylerzystów i konie; napróżno jenerał Lefebre, chcąc rozdzielić uwagę nieprzyjaciela zaatakował drugą bramę; musiano odstąpić od szturmów. Trzeci szwadron lansyerów zasłaniał odwrót, w którym utracił mnóstwo koni.

Hiszpanie uniesieni byli radością z pierwszego, jakie otrzymali nad Francuzami, zwycięstwa, ale zarazem poznali w czem ich siła leży. Postanowili przygotować się do walecznej, upartej obrony stolicy Arragonii. Pozataczali działa w bramy,

porobili strzelnice w murach, pobudowali barykady po wszystkich ulicach, klasztory i znacznie-sze budowle przemieniali w istotne twierdze i to wszystko z taką szybkością i precyzją, że jeżeli Saragossa w d. 15-tym czerwca mogła być wzięta nagłym napadem, oczywiście ze znaczniejszemi siłami niż kilka kompanij polskich, bo w d. 16-tym już to było niemożliwem i trzeba było formalnego oblężenia.

Wobec tego generał Lefebre postanowił czekać na posiłki i stanął obozem ponad rzeką Ebro. Pierwsze posiłki, jakie do niego przysły w dniu 21-szym czerwca, składały się z drugiego pułku Legii Nadwiślańskiej, pod dowództwem pułkownika Kašinowskiego. Pułk ten zajął stanowisko przy drodze idącej z Alagon.

Podczas kiedy korpus francuski, czekając na posiłki, patrzył bezczynnie na groźne mury Saragossy, Palafox przygotowywał cios, który mógł zgubne dla Francuzów za sobą pociągnąć następstwa, gdyby nie Polacy i nie pułkownik Chłopicki.

Zpośródka licznych nazwisk polskich, które jak w kalejdoskopie przesuwają się przed naszym wzrokiem w tej dalekiej i strasznej wojnie hiszpańskiej, nazwisko Chłopickiego świeci niepożytym blaskiem, a postać jego rysuje się przed nami w wybitnych posągowych konturach bohatera-żołnierza. We wszystkich pamiętnikach drukowanych i niedrukowanych o wojnie hiszpańskiej,

jakie mamy pod ręką, marsowa, imponująca postawa tego żołnierza wypełnia sobą niemal samą, ramy dziejów Legii Nadwiślańskiej. Gwałtowny, ostry, szorstki, niekiedy za surowy nawet, karmił bezwzględnie wszelkie wykroczenia przeciw służbie. Zdarzyło się raz, później już, po wzięciu Saragossy, w dobie upartej, drobnej, podjazdowej walki, jaką przyszło legionowi toczyć prawie przez cały rok 1808 i 1809 z powstańcami Arragonii, otóż zdarzyło się raz, że paru oficerów z kompanii woltyżerskiej drugiego pułku, posprzeczawszy się z sobą, wyzwało się na pojedynek. Pojedynek ten zresztą nie miał żadnych złych następstw; jeden z walczących dostał lekkie cięcie szablą, ale oczywiście o całej sprawie doniesiono Chłopickiemu, wtedy już generałowi, który gdzieindziej niż kompania woltyżerska się znajdował. Szczęściem dla pojedynkujących się oficerów szereg licznych utareczek i pochodów, trwających kilka tygodni przedawnił, że tak powiemy, sprawę pojedynku, ale generał nie zapomniał jej wcale. Na jednej z rewij kompanii woltyżerskiej, ukarał oficerów tem, że ani spojrzali na nich, ani jednego nie wyrzekł do nich słówka, „co nam wielką sprawiło przykrość“, jak zapewnia pamiętnikarz ¹⁾.

Obok jednak tej surowości pełnej taktu, występuje on niekiedy w rysach szlachetnej dobro-

¹⁾ H. Brandt, loc. cit.

duszości. W drugim pułku nadwiślańskim służył w czasie tych drobnych walk z powstańcami arragońskimi, podporucznik Dobrzycki, młody chłopak, pocciwy z kośćcami, ale szafawiła, roztrzepaniec i oczajdusza wielki. Często też za swoje figle otrzymywał surowe napomnienia od jenerała.

Otóż w czasie oblężenia Walencyi, w domu, w którym stał jenerał, Dobrzycki podczas jego nieobecności naszkicował węglem na ścianie Chłopickiego, jak w groźnej postawie udziela reprymandę podporucznikowi. Dobrzycki rysował nadzwyczaj biegle, oddał więc siebie i jenerała tak wiernie, że na pierwszy rzut oka poznawał każdy przedstawione figury. Chłopicki wróciwszy na kwatere, spostrzegł zaraz rysunek.

— Kto to wyrysował? — zapytał się ostro.

Gdy mu powiedziano, że artystą był sam podporucznik Dobrzycki, rzekł z uśmiechem:

— Ślicznie, ani słowa, ale wistocie nie tak znowu źle jest między nami.

Ta czysto polska dobroduszość i szlachetność serca, nieumiejąca się gniewać za żart, zupełnie zresztą niewinny, nie przeszkadza być Chłopickiemu prawdziwym bohaterem na polu bitwy. Głos jego w czasie boju miał w sobie jakiś ton przenikliwy, a mężny, który dodawał otuchy żołnierzom. Jego spokojna, marsowa postawa wśród gradu kul, czyniła zawsze silne wrażenie na starych, zpod Trasimenu jeszcze, legionistach. Już

tutaj na szmaragdowych polach Arragenii, Chłopicki podczas bitwy ukazuje się z późniejszą historyczną szpicrutą, którą wskazywał grenadyerom gwardyi drogę do Olszynki... A wieleż to razy postać jego ukazuje się nagle, niby z nieba spadła wśród szalonego ognia, w chwili gdy pułki legii chwiać się poczynają, i krótkiem, imponującym, zawsze jędrnem a niekiedy malowniczem w swej żołnierskiej prostocie słowem: „mać wasza za... grenadyery naprzód!“ Ileżto razy, powtarzamy, takim słowem ocala los bitwy Chłopicki! Przypada np. raz do kompanii z drugiego pułku i wskazując jej nieprzyjaciela, woła do dowódcy:

— Kapitanie! a wykurz mi ztamtąd tych... synów!

Przypomina to homerowskich bohaterów z ich brutalną, a niemniej przeto malowniczą prostotą języka. Nie zapominajmy, że te jędrne, niesalonne słowa, wybiegają zawsze z ust jenerała wśród boju, pośród gradu kul i kurzawy zbliżającego się nieprzyjaciela. Odzywa się wtedy w Chłopickim stara szlachecka, przypominająca pamiętnikarza Paska, natura i grzmi wśród boju lapidarnem słowem. Lubi on brawurę, bo sam jest niejako wcielonym typem żołnierskiej brawury. W czasie już tylokrotnie przez nas wspomnianego oblężenia Walencyi, gdy Hiszpanie ze wszystkich redut sypali ogień na oblegających, jeden z młodszych oficerów, opowiada naoczny

świadek, chcąc okazać że gardzi niebezpieczeństwem, stanął sobie z założonymi rękami na szanctu zewnętrznym. Za jego przykładem poszedł zaraz drugi, trzeci, nareszcie znaleźli się na stoku porucznicy: Dobrzycki, Piątkowski, Sorawski, Brandt, Kupść, Niedzielski i jeszcze kilku i rozpoczęli pogadankę. Wtem spostrzeżono jednego oficera jak krokiem mierzonym, spokojnie zdązał za obrębem stoków zewnętrznych prosto do grupy, zajętej konwersacją na grzbiecie szanctów.

— Moi panowie! — zagadnął przybyły — jenerał zapytuje, co znaczy ta fanfaronada i oświadcza, że nie życzy jej sobie stanowczo!

Wszyscy, rozumie się, zeszli w przykopy, poczem major Rechowicz, adjutant jenerała Chłopickiego, powrócił już drogą ostoniętą. „Dowiedzieliśmy się później, opowiada dalej rzeczony naoczny świadek, że jenerał wyraził się wprawdzie tak, jak nam powiedział adjutant, ale ostatecznie przyznał, że odwaga tych młodych ludzi zasługuje na szacunek“.

Waleczność w boju uważał on za powinność żołnierza. To też bardzo rzadko chwalił go za czyny okazane w bitwie, ale jeżeli wyrzekł kiedy pochwałę, to ta nabierała niezmierniej wagi. Przytrafiło się raz, że kompania wołyżerów drugiego pułku nadwiślańskiego, dowodzona przez Brandta, stoczyła upartą potyczkę z Hiszpanami. Nazajutrz po tej potyczce, w chwili, gdy kom-

pania szykowała się do odebrania dziennego rozkazu, zbliżył się do niej Chłopicki i rzekł:

— Biliście się wczoraj dzielnie, jak się tego po was spodziewałem.

„Po chwili, opowiada, sam Brandt, jenerał zatrzymał się przed jednym wołyżerem, któremu kula oddała kitkę i ogromną dziurę przewierciła w czaku i zagadnął go:

— Prawda, że wam wczoraj Hiszpanie tego zalali sadła za skórę!

— Nie było tam znowu tak gorąco jak pod Villastar — odparł żołnierz.

Chłopicki poklepał go po ramieniu i podał mu rękę do uścisku. Świadek tej sceny kapitan Solnicki, który znał jenerała jeszcze z Włoch, zawołał zdumiony:

— Jak Bóg w niebie, że to już chyba niedaleko do śmierci jenerała, bo takim nie widziałem go odkąd służyć i znam go!“

Takim był ten wódz, który wiódł biednych nowożytnych polskich straceńców. Z przykrością przychodzi nam się oderwać od tej bohaterskiej postaci, tak świetnie poczynający długi swój zawód, a kończącej go w dwadzieścia parę lat później tak smutno... ale wrócić się trzeba do przerwanej opowieści, do drzemających wśród gajów oliwnych pod murami Saragossy pułków polskich.

W dniu, w którym nie udał się jenerałowi

Lefebre nagły napad na Saragossę, dowódca Hiszpanów Palafox wyszedł z miasta na czele garstki piechoty i stu koni jazdy, i przeszedłszy Ebro, połączył się z baronem Versagą, mającym do 3000 ludzi pod swoim dowództwem. Wkrótce oddziały te przez napływ ochotników wzrosły do 8000 piechoty, 100 koni jazdy i czterech dział. Na czele takich sił postanowił Palafox uderzyć na Francuzów i Polaków. Ruchem skrzydłowym okrążył ich i pod Epilą przeciął im komunikacye. Oczywiście rzeczą konieczną, nagłą nieomal, było wyparcie z tamtąd Palafoxa i przywrócenie komunikacyi.

W tym celu generał Lefebre rozkazał Chłopickiemu wyruszyć do Epila na czele pierwszego pułku piechoty nadwiślańskiej ¹⁾, batalionu 15-go pułku francuskiego, pułku lansyerów i pięćdziesięciu koni bardzo podejrzanej jazdy hiszpańskiej i jednego dział, i rozpędzić powstańców.

Chłopicki wyruszył dnia 23 czerwca wieczorem i przybył pod Epilę już bardzo późną nocą. Przyjęty strzałami placówek, wśród nader ciemnej i wietrznej nocy, która spowodowała nawet lekkie w kolumnie zamieszanie, zajął wzgórek dominujący nad miastem, i w tej pozycji,

¹⁾ Pułk ten nie był cały. Jeden jego oddział pod dowództwem kapitana Padlewskiego, strzegł mostu na rzece Xalon w Alagonie.

z bronią w ręku czekał świtu. Jakoż wschodzące słońce dnia 24 czerwca oblało potokiem światła długie i groźne linie hiszpańskie, rozwinięte na wzgórzach przed miastem, oparte prawem skrzydłem o lasok oliwny. Przed frontem, na małym, lecz dość przykrem płaskowzgórzu, Hiszpanie ustawili baterią z czterech dział.

Chłopicki uszykował swe wojsko w trzy kolumny atakowe. Dwie kompanie polskie i jazda stanowiły rezerwę. Na czele pierwszej kolumny atakowej kapitan Notkiewicz miał ruszyć na działa; dwie drugie miały uderzyć na prawe skrzydło nieprzyjacielskie.

Hasło do bitwy dało jedno działko, jakie posiadał Chłopicki, sypnawszy kilkakrotnie kartaczami w ścieśnione szeregi powstańców, poczem kapitan Notkiewicz ruszył z pochylonym bagnetem do ataku. Przyjęty rżęsiwym ogniem armatnim i karabinowym, wdarł się na wzgórze, i porucznik Chajęcki, którego pluton formował czoło kolumny, wpadł pędem na działa, wybił artylerzystów i zdobył artyleryą. Na ten widok cała linia nieprzyjacielska zachwiała się, zakotłowała w sobie i pierzchnęła. Puszczona w pogoń jazda ścigała nieprzyjaciela aż do Almunii, wioski pod górami, a potem aż do Calatayud, już w górach. W tej dzielnej utarczce piechota polska nie dała ani jednego wystrzału. Oprócz porucznika Chajęckiego, odznaczył się pod Epilą

podporucznik Zawadzki Stefan, który własną ręką wziął do niewoli hiszpańskiego kapitana inżynierii, don Juliana Albo ¹⁾).

Tego samego dnia zwycięski Chłopicki powrócił do obozu, a w parę dni potem i Palafox z resztkami niedobitków dostał się do Saragossy.

Tymczasem ułani polscy i batalion francuski ścigając Hiszpanów do Calatayud, stali się świadkami strasznej a tak częstej w tej wojnie sceny. Gdy się zatrzymano obozem pod Calatayud, rozesłano na wszystkie strony patrole. Jeden taki patrol złożony z 20 Francuzów, poszedł ku wsi Richle, a że nie wrócił, dowódca francuski wysłał trzeci szwadron lansyerów na zwiady. Przyszli do wsi Richle, gdzie zastali mnóstwo ludzi, ubranych świątecznie i spokojnie patrzących na lansyerów. Zapytano się o Francuzów, i jeden młody Hiszpan dał znak ułanom i powiódł ich do stodoły gdzie leżały na słomie trupy żołnierzy z porozrzynanemi brzuchami. Wrócono więc

¹⁾ Za starcie pod Epilą krzyże legii honorowej otrzymali: pułkownik Chłopicki i porucznik Chajęcki. Były to pierwsze nagrody dla pułków pieszych Legii od czasu jej zawiązania. Odbierając krzyż rzekł Chajęcki: „ta wstążeczka życie mnie kosztować będzie, ale zaszczytu że ją pierwszy noszę, nikt już mi nie wydrze“. Biedna ofiara dumy żołnierskiej spełniła wkrótce to przyrzeczenie przy wzięciu ulicy Cosso w Saragossie.

do Calatayud i zameldowano o wszystkim dowódcy. Ten kazał wrócić się do wsi, otoczyć ją, spalić i wszystkich mieszkańców wyciąć do nogi. Z uwagi jednak, że trzeci szwadron był bardzo zmęczony, wysłano kapitana Stokowskiego z pięcią kompanią lansyerów, i ten rozkaz sumiennie wykonał. Podoficerowie, znany nam już Rogójski i Korytowski, w tej okropnej i oburzającej uczucie ludzkości, rzezi, nie jednej nieszczęśliwej ofierze życie uratowali ¹⁾.

Bitwa pod Epila stanowczy wywarła wpływ na losy oblężenia Saragossy. Odtąd Hiszpanie nie śmieli już stawiać czoła w otwartem polu i przestali myśleć o deblokowaniu miasta. Zaszczyt tego zwycięstwa, niestety! smutny zaszczyt, należy się broni polskiej.

¹⁾ *Dobiecki* loc. cit.

ROZDZIAŁ III.

Ulica Cosso. Odwrót.

Przybycie generała Verdier. — Zdobyć klasztoru św. Józefa. — Starcie pod Osera. — Szturm grenadyerów polskich do bramy Carmen. — Pułkownik Chłopicki wdiera się na ulicę Cosso. — Ranny. — Ataki na tę ulicę. — Armia francuska cofa się zpod Saragossy.

Podczas gdy Lefebre-Desnouettes przy pomocy broni polskiej zabezpieczał swe tyły, z drugiej strony zażądał posiłków. Jakoż cesarz Napoleon, bawiący w tę porę w Bajonnie, przeznaczył niektóre oddziały na wzmocnienie małej armii pod Saragossą, oraz naczelne nad nią dowództwo oddał generałowi Verdier. W liczbie posiłków znajdował się i trzeci pułk Legii Nadwiślańskiej, który od Pirenejów posuwał się forsownemi marszami, dzień i noc idąc, spoczywając tylko po parę godzin dla ugotowania jadła na polach, stanął dnia 30 czerwca pod Saragossą. Dowodził nim pułkownik Estko. Tym sposobem pod murami sto-

licy arragońskiej, już cała Legia Nadwiślańska się znajdowała.

Generał Verdier, przybywszy pod Saragossę, rozpoczął zaraz szereg ataków krwawych, trwających długo, ale których ostatecznym rezultatem miało być zdobycie miasta. Nie mamy zamiaru opowiadać szczegółowo o oblężeniu Saragossy; dość będzie gdy powiemy, że Hiszpanie każdego punktu, każdego domu nieomal bronili z zaciętością przypominającą, że jeszcze raz powtórzymy, mieszańców starej Numancyi, że Polacy stanowili główny rdzeń wojsk, przeznaczonych do najcięższych, do najkrwawszych ataków, i że pod murami Saragossy przeleli dużo szlachetnej krwi i wysoko podnieśli sławę męstwa polskiego.

Pomijając więc drobne szczegóły, te tysiączne boje staczane codzień pod murami Saragossy, opowiemy z dziejów jej oblężenia dwa tylko ustępy, dwa heroiczne czyny, w których główny udział wzięła Legia Nadwiślańska. Pierwszym z nich jest zdobycie klasztoru św. Józefa, drugim wdarcie się na główną ulicę miasta, zwaną Cosso.

Klasztor św. Józefa, była to wielka, czworoboczna budowla, wznosząca się poza miastem, i oddzielona od niego rzeczką Huerba. Zdobyć jego było rzeczą konieczną, jeżeli atak na bramę Carmen, która w pierwszej chwili tyle krwi polskiej kosztowała, miał się powieść. Generał Verdier więc postanowił współcześnie trzy miejsca

atakować. Pułkownik Piré miał dokonać fałszywego ataku na kastel; jenerał Habert zdobył klasztor św. Józefa, a jenerał Lefebre bramę Del Carmen.

Ruch ten odbył się dnia 2 lipca. Kolumna pułkownika Piré składała się tylko z pierwszego batalionu trzeciego pułku polskiego i, posuwając się w ścieśnionych szeregach naprzód, przywitana została takim gradem pocisków, że dotkliwe poniosła straty, a najdotkliwszą w osobie wspomnianego już majora Szotta. Dzielny ten żołnierz wysunął się naprzód przed szeregi dla rozpoznania nieprzyjaciela i ugodzony kartaczem w piersi, padł na miejscu, w dwa dni po swoim przybyciu pod Saragossę ¹⁾.

Drugi ważniejszy i krwawszy atak na klasztor św. Józefa miał być dokonany przez dwie kolumny. Jedną dowodził jenerał Habert, i w niej znajdowała się kompania woltżerów polskich z pierwszego pułku nadwiślańskiego; drugą pułkownik Chłopicki na czele czterystu ludzi z tegoż pułku. Na dany znak, pod gradem kul i kartaczy posunięto się śmiało naprzód, uderzono na klasztor, ale nieprzyjaciel, broniąc się zacięcie, odparł ten napad. Lecz pułkownik Chłopicki nie zwykł był ustępować. Zgromadził swoich żołnierzy, uszykował i z pochylonym bagnetem rzucił

¹⁾ J. Mroziński. Oblężenie Saragossy p 42.

się po raz wtóry na ziejący ogniem klasztor. Ataku tego Hiszpanie nie wytrzymali; klasztor św. Józefa był w rękach polskich. Poległ podporucznik Zawadzki Stefan, ranny kapitan Wysocki. Atak ten był tak dalece śmiały i dzielnie prowadzony, że nawet historyk hiszpański Cavallero opisujący te smutne chwile, a ztąd i słusznie nieprzyjazny Polakom, powiada, że „klasztor św. Józefa został zdobyty z największym męstwem (avec la plus grande valeur) przez czterystu Polaków“.

Odtąd rozpoczął się szereg krwawych szturmów, w których Polacy zawsze główny udział brali, a które ostatecznie pokazały jenerałowi Verdier, że miasta bez regularnego oblężenia nie weźmie. Obowiązkiem naszym jest tylko wymienić oficerów (bo o żołnierzach, w materyałach, jakie mamy pod ręką wzmianki wcale niema), którzy w tych olbrzymich walkach położyli życie. U stóp bramy Portillo zginęło kilkudziesięciu Polaków z podporucznikiem 2-go pułku Bartkowskim; pod bramą Carmen polegli dwaj bracia Głowaczewscy, jak to zaraz opowiemy, adjutant-major 2-go pułku Gałęcki zginął, obchodząc przednie strażę.

Tymczasem dla przecięcia wszelkiej komunikacji, zwłaszcza na lewym brzegu Ebro, wysłano w dniu 23 lipca na drogę wiodącą ku Leridzie, na most wznoszący się na dopływie Galliego, cztery kompanie lansyerów i batalion 3-go pułku

piechoty nadwiślańskiej pod pułkownikiem Estko, pod ogólnem zaś dowództwem Francuza, gross-majora od dragonów Laclede'a. Zadaniem tego oddziału było strzeżenie lewego brzegu rzeki Ebro.

W dniu wyżej wymienionym lansyerzy przeszli most przez Galliego, i posunęli się dalej traktem ku Leridzie, i spotkali się z oddziałem hiszpańskim, złożonym ze szwadronu strzelców królewskich, batalionu piechoty i jednego dział. Nastąpiło żwawe starcie. Hiszpanie pobici, stracili swą armatkę i ścigani zawzięcie przez kapitana Wasilewskiego (z 3-go pułku piechoty), cofnęli się za rzekę do Saragossy.

W czasie tej potyczki, lansyerzy doznali niemiłej przygody. Na kilka dni przedtem przysłano im do pułku młodego Francuzika, w stopniu podporucznika, nazwiskiem Tacher, jakiegoś krewnego cesarzowej Józefiny, po to, żeby się między lansyerami odznaczył i nauczył służby kawaleryjskiej. Za mentora dodano mu w pułku wachmistrza Zbroińskiego. Otóż gdy lansyerzy przy moście na Galliego wysunęli się przeciw strzelcom hiszpańskim, ci najprzód dali parę razy ognia kartaczami z armatki, jaką mieli, ale bez szkody dla naszych, potem ruszyli do ataku. Na czele ich szedł pułkownik Viana, ksiądz z krzyżem i „opasła baba“ jakaś¹⁾. Lansyerzy rozbili to wszystko na nic,

¹⁾ W. Dobiecki, loc. cit.

armatkę wzięli i rzucili się w pogoń za uchodzącymi strzelcami. W tym pościgu, jakaś zapóźniona kula trafiła w porucznika Tachera i zabiła go na miejscu. Śmierć jego surowo wyrzucali jenerałowie francuscy lansyerom; mówili: „co cesarz na to powie?“ W starciu tym poległo kilku lansyerów, a mentor Tachera, Zbroiński, padł także przestrzelony kulą nawylot.

W parę dni później zaszła nowa potyczka na lewym brzegu Ebro, pod wsią Osera. Zebrało się tam Hiszpanów około 2000 ludzi. Wyruszył przeciw nim jenerał francuski Habert z pułkiem 3 cim piechoty Legii Nadwiślańskiej, z jednym batalionem francuskim i dwoma szwadronami lansyerów. Tu trzeci szwadron poniósł dotkliwe straty, dostawszy się w wawóz wzdłuż drogi, którego ściany obsadzili Hiszpanie. Mimo to ci ostatni zostali pobici. Z piechoty polskiej raniony był kapitan Mazewski i podporucznik Wągrowski. Lansyerzy stracili sierżanta Lubańskiego, dla którego po śmierci nadzedł krzyż legii honorowej.

W tych utarczkach na lewym brzegu Ebro, lansyerzy raz o mało nie złapali samego jenerała Palafoxa. Oficer polski chwycił go już za kołnierz, ale złudzony skromną odzieżą puścił, a natomiast schwycił strojnego jakiegoś majora.

Wśród tego na prawym brzegu Ebro, rozpoczęto formalne oblężenie Saragossy, otworzono przykopy i dnia 3 sierpnia, gdy baterie dział były

gotowe, sypnięto na nieszczęsne miasto gradem bomb. Wezwany do poddania się generał Palafox, odrzekł pospartańsku: „walka na noże!”

Jakoż miała się wkrótce rozpocząć taka straszna, taka krwawa walka. Dnia 4 sierpnia generał Verdier postanowił przypuścić jeneralny szturm do Saragossy. Pułk pierwszy polski, poparty batalionem 70 pułku francuskiego, ruszył na klasztor Engracia, gdzie upartą stoczył walkę z obrońcami i zdobył ogromne te mury. Na bramę Carmen, która już tyle krwi polskiej kosztowała, ruszył pułkownik Kaśinowski na czele 2 go pułku Legii. Wystąpiono o godzinie 1-szej w nocy, z przednią strażą zwiniętą w kolumnę i posuwano się szeroką drogą, prowadzącą do tej bramy. Noc była ciemna, ponura i duszna; głęboka cisza obejmowała naturę. Koła armat słomą okręceno, żeby stłumić turkot. O godz. 2-giej stanęła kolumna na wyznaczonem miejscu, czekając świtu. Gdy nakoniec niebo poczęło różowić się na wschodzie, puszczone się dalej. Grenadyer idący na przedzie, napadł zeicha na czatę hiszpańską, powalił ją bagnietem i dał ognia. Na huk strzału, niby na hasło, zza wałów i murów Saragossy rozpoczął się straszny ogień. Pułk rzucił się do ataku. Kapitan Łaszewski uderzył z grenadyerami na baterię, broniącą morderczym ogniem wejścia do bramy, zdobył działa, choć stracił 90 ludzi! Brama Carmen wzięta i wdarto się w ulicę, ale tu wale-

cznych żołnierzy polskich przywitał grad kul, sypanych z okien domów. Poczęto więc pojedyncze domy szturmować zawzięcie. Wyłamano więzienia, nawet szpital waryatów otwarto. „Ja sam widziałem, opowiada naoczny świadek ¹⁾, jak jedna młoda waryatka, wśród rżęsistego ognia z ręcznej broni, zawiesiła się na szyi jednemu z naszych żołnierzy, i obsypując go najgorętszymi całusami, żadną miarą puścić nie chciała. Biedny wiarus nie mógł się żadnym sposobem jej karesów pozbyć i nie wiedział co z nią począć, czy się jej bronić, czy strzelać, aż nareszcie padła ofiarą z rąk swoich współrodaków, będąc kulą ugodzona“. Ileżto podobnych, głęboko dramatycznych scen, odegrało się wtedy na ulicy, w pobliżu dymiącej krwią bramy Carmen! Zdobyto np. szturmem klasztor jakiś zakonnic, i żołnierz rozgrzany walką, upojony krwią, rozdrażniony oporem, zezwierzęcony tą nieprzebrąganą wojną, począł dopuszczać się w zdobytym klasztorze strasznych, wstrętnych nadużyć. Gwałcono zakonnice, które wobec hańby same odbierały sobie życie „Widziałem, opowiada tenże sam świadek, grenadyera leżącego na korytarzu obok konającej zakonnicy, w sercu której sztylet tkwił, jako zadająca sobie samej śmierć“. Przy wrotach tego

¹⁾ *Saragossa* w r. 1809; wyjątek z niedrukowanych dotąd pamiętników (Biblioteka Warszawska z r. 1850 IV).

nieszczęśliwego klasztoru legł porucznik Skaliński, dwaj bracia Głowaczewscy, podporucznik i porucznik, obaj służący w jednej kompanii, stojąc obok siebie, dostali kartaczami w nogi i obaj padli. Żołnierze tak byli rozczuleni tą śmiercią, że chcąc się pomścić „nie baczyli na żadne niebezpieczeństwo, opowiada historyk oblężenia Saragossy ¹⁾, wdzierali się na mury miasta, dopóki nieprzyjaciel ze swych strzelnic prawie zupełnie tych męźnych nie wyniszczył“. Kapitan woltyżerów Notkiewicz z fajką w ustach, ze swą kompanią dostał się aż na plac kościoła Matki Boskiej „del Pilar“. Ponieważ w kościele tym były znaczne bogactwa, bo na głowie szczerozłotego posążku Matki Boskiej był wieniec z dyamentów, a w ołtarzu miało się znajdować dwunastu apostołów ze srebra lanych, więc Notkiewicz chciał to wszystko prawem zdobyczy wojennej zabrać, ale świętokradztwo mu się nie udało, bo Hiszpanie wszystkie kosztowności ukryli. Kapitan Świerczyński chciał zdobyć klasztor del Carmen, ale trafiony w brzuch kłuczami wystrzelonemi z armaty, umarł w parę godzin. Ranni byli kapitan woltyżerów Rybiński i porucznik Ojrzanowski; obaj mieli kartaczami zgruchotane nogi; podporucznik Dobrzycki i Piątkowski, porucznicy Dłuski, Borakowski, Lewicki i Niechcielski polegli. Nakoniec grena-

¹⁾ J. Mroziński, loc. cit.

dierzy po ogromnej stracie zmuszeni byli się cofnąć; z 80 żołnierzy, którzy wdarli się w ulicę, 27 tylko powróciło!

Podczas gdy u tej nieszczęśliwej bramy Carmen, poszarpane kulami niedobitki grenadyerów polskich cofały się z ręką na cynglu karabina, odpierając bagnetem ścigającego ich nieprzyjaciela, pierwszy pułk Legii, osadziwszy się w klasztorze Engracia, postanowił pod wodzą Chłopickiego ruszyć w ziejące ogniem ulice miasta.

Posuwano się naprzód ulicą Engracia, którą nieprzyjaciel kilku rowami i barykadami, uzbrojonemi w działa, poprzecinał. Hiszpanie strzelali z domów, z dachów i z wież kościelnych. Pułk topniał, szlusował w milczeniu i parł się naprzód. „Każdy pojedynczy dom, opowiada cytowany już przez nas historyk, wymagał oddzielnej walki, w nim jeszcze o każde piętro, o dach, o każdy zakątek walczyć potrzeba było“. Nakoniec wydostano się na wielką, prostą i szeroką ulicę Cosso, przecinającą miasta nawskróś, ogromnemi domami zabudowaną. Wszystkie wyloty na Cosso miały barykady, po większej części działami uzbrojone. Bateria usypana w środku Cosso miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą nadciągnął pierwszy pułk Legii. Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Cosso, z dział nakoniec baterii, przywitani piekielnym ogniem czoło wysuwającej się kolumny polskiej. Jak straszny był tu ogień, świadczą straty,

jakie poniósł waleczny pułk pierwszy w samych oficerach. Ranni kapitanowie: Godlewski, Engerdorf; porucznicy: Borowski, Chajęcki, (który umarł w parę dni potem z ran, ten sam, który za starcie pod Epilią dostał krzyż legii honorowej) Narwojń; podporucznicy: Burakowski, Kocurek; zabity podporucznik Grzymski.

Wobec takich strat i takiego ognia, Legia nie mogła wydostać się na Cosso. Nadbiegł na koniec pułkownik Henriot z 14 pułkiem francuskim, i już całą mocą miano ruszyć naprzód, gdy nagle oczom zdobywców ukazało się dziwne, poetyczne i w jednej tylko Hiszpanii możliwe zjawisko. Wśród ognia i mordu, wychodzi naprzeciw posuwającej się kolumnie, ksiądz z krzyżem w górę podniesionym, prowadząc drugą ręką małą, ledwie dwunastoletnią dziewczynkę, ubraną podług wizerunku „Virgen del Pilar“. Ksiądz szedł wolno, głośno odmawiając modlitwę. Na ten niezwykły, niespodziany widok, wszystko zatrzymało się; strzały ucichły, i w tej strasznej ulicy, przepełnionej dotychczas piekielną wrzawą, zapanowało poważne, głębokie milczenie. Trwało to jednak bardzo krótko. Żołnierze zniecierpliwieni dali ognia do księdza, który spokojnie i bez szwanku, wśród strzałów ustąpił z Cosso, a za ledwie znikł, gdy ze wszystkich dachów, okien i piwnic, grad kul sypnął się na nieszczęśliwą polską kolumnę. Ale pułkownik Chłopicki nie

myślał ustąpić. Skupił mocno przerzedzone swe szeregi, postanawiając koniecznie przejść na drugą stronę ulicy Cosso. Jakoż wśród strasznego ognia, zostawiając po drodze mnóstwo trupów i rannych, dostał się na drugą stronę, opanował uliczkę Arco di Cineja, i zdobył w niej kilka domów. Lecz tutaj raniony, tak że ledwie przez żołnierzy został z tego krwawego piekła wyniesiony, a podpułkownik Fondzielski objawszy dowództwo, z trudnością i niemałymi stratami uprowadził resztę oddziału.

Takim był ten straszny, krwawy, a niestety! bezowocny atak na ulicę Cosso. Obok toczącej się strumieniem najszlachetniejszej krwi polskiej, ileż tam odegrało się scen przejmujących zgrozą i przerażeniem, nawet najtrwarsze serca. Uderzono np. na szpital i zdobyło go, a w czasie szturmów wielki ten gmach zajął się ogniem, który z szybkością ogarnął cały budynek. Chorzy uciekając z pożaru, wyskakiwali oknami na bagnety żołnierzy; ranni, okryci pokrwawionymi prześcieradłami, podobni do widm, ostatnich sił dobywali, aby wlec za sobą pokaleczone członki. Wśród tych rozdzierających duszę scen, waryaci, których cele pootwierano, śpiewali, śmieli się, deklamowali, lub z powagą patrzyli na straszne sceny, rozgrywające się przed nimi. Większa część tych nieszczęśliwych padła pod bagnetem rozjuszonego żołnierza.

Noc przerwała ten bój okropny. W zdobytych domach usiłowano się umocnić. Sprowadzono pułk trzeci Legii, który zajął ulicę Engracia. Tym sposobem cała już Legia znajdowała się wewnątrz miasta, oczekując poranku, a z nim nowej walki.

Jakoż o świcie ryknęły strzały. Trzeci pułk polski, wraz z 14 francuskim, ruszył znów na ulicę Cosso. Ale i dziś napotkał ten sam uparty, nieprzełamany opór, jakiego nie mógł wczoraj zwalczyć pułk drugi. Kilkakroć debuszowano na tę straszną, pokrytą trupami, zlaną krwią ulicę, i zawsze cofano się ze stratą. I teraz, wśród tej walki odegrała się znowu oryginalna scena. Oto jak opowiada o niej naoczny świadek: „po długiej walce o tę nieszczęsną ulicę, pokazali Hiszpanie chustę białą na żerdzi. Oficer pułku 3 mniemając, że już się myślą poddać, wysłał ku nim sierżanta z podobnymże znakiem. Ustał w tem miejscu ogień. Tłumy Hiszpanów zaczęły się cisnąć do konwentu św. Franciszka, w naszych zostającego rękę. Żołnierz jeden polski spostrzegł, że pod płaszczem mają ukryte karabinki. Dano zaraz do nich ognia. W tem zamieszaniu porucznik Pągowski skłóty bagnietami, dostał się wraz z kilkudziesięciu ludźmi do niewoli“.

Używano więc wszelkich sposobów obrony. W tym ataku na Cosso polegli: kapitan Laskarys i porucznik Ciszewszki, ranny porucznik Lipiński, podporucznicy: Cieśliński i Sobucki. Pod-

porucznik Ginter z 3 pułku, zdołał podobnie jak Chłópiecki w dniu poprzednim, przedrzeć się na ulicę Arco de Cineja, ale ugodzony kulą, poległ tam. Oddział się cofnął szybko, zostawiając trzydziestu rannych na pastwę Hiszpanom. Ostatecznie i w tym dniu ulica Cosso nie została zdobytą.

Na ulicy Carmen bój także rozpoczął się ze świtem. Tu zajęto klasztor karmelitów i znaleziono w nim czterech żołnierzy polskich spalonych, a jednego jeszcze żyjącego, których Hiszpanie wczoraj wzięli do niewoli. Ale i tu nie posunięto się daleko. Walka z obu stron poczęła przybierać charakter dziki i okrutny; mordowano się bez litości, bez względu na wiek i płeć. W każdym razie bój ten wypadał na korzyść Hiszpanom, którzy zastępując murami, stosunkowo mniejsze straty ponosili. Od d. 4 do 14 sierpnia cztery tylko zdobyto domy. Hiszpanie bronili się z uporem, z zaciętością niesłychaną. Kobiety opatrywały chorych i rannych, a nawet wstępowały w szeregi wojowników. Między innemi, żona jednego poległego artylerzysty objęła jego miejsce i wypełniała obowiązki służby aż do końca oblężenia. Dowódca naczelny dał jej order i wyznaczył pensją dożywotnią.

Wobec takiego entuzjazmu, szczupłe siły, jakie miał generał Verdier, nie mogły zdobyć Saragossy. W dodatku przyszły z głębi kraju nie-

pokojące wieści. Francuzi doznali wielkiej klęski pod Bajlen, król Józef opuścił Madryt, armia francuska cofnęła się do Vittoryi, i nakoniec, że znaczne siły zbliżają się z odsieczą pod Saragossę. Nie było co robić. Jenerał Verdier w nocy z d. 14 na 15 sierpnia, postanowił opuścić te gruzy, tak drogo kupione. Popalono lawety, działa i amunicją potopiono w kanale i cofnięto się do Tudeli. W odwrocie tym tylną straż stanowił 3-ci szwadron lansyerów i kilka kompanij woltyżerów francuskich z 3-ma działami. Przez dwie noce z wyżyn Tudeli widziano krwawe łuny, unoszące się nad gorejącą Saragossą.

Takiem było pierwsze oblężenie tego miasta. Tyle krwi polskiej napróżno przelanej! Niestety, miały jej tam jeszcze potoki popłynąć; popłynęły one teraz i w innych stronach Hiszpanii, do których, z kolei rzeczy, zostawiając Legią, po cofnięciu się z Tudeli aż do Milagro, odpoczywającą przez jakiś czas po ciężkich stratach pod Saragossą, przenieść się musimy.

ROZDZIAŁ IV.

Pułk 4-ty, 7-my i 9-ty, Samo-Sierra.

Posiłki. — Dywizya polska. — Odpowiedź Feliksa hr. Potockiego. — Pułk 9-ty i jego pułkownik ks. Sułkowski. — Ilość wojsk polskich w Hiszpanii. — Uczta w Chatelreäu i jej następstwa. — Wkroczenie do Hiszpanii. — Szwoleżery i ich siły. — Dezercya Żellizera. — Bitwa pod Burgos. — Wybicki i Pokorski. — Marsz do Madrytu. — Szarża na Samosierrę. — Pobyt w Madrycie.

Po pierwszym peryodzie niepowodzeń francuskich w Hiszpanii, w liczbie wojsk, które wkroczyły tamże w październiku i listopadzie z pomocą, znajdowała się cała dywizya piechoty księstwa warszawskiego, złożona z pułków: czwartego, siódmego i dziewiątego. Podczas kiedy Legia Nadwiślańska, uważana zresztą za część armii francuskiej i płacona ze skarbu cesarstwa, spoczywała w okolicach Milagro i przygotowywała się do ponownego oblężenia Saragossy, podczas gdy szwoleżery zasłaniali armią francuską pod Bri-

bieską, dywizya polska przechodziła granicę hiszpańską.

Dywizya ta, jakśmy rzekli, składała się z pułków: 4-go pod wodzą pułkownika Feliksa hr. Potockiego, 7-go pod pułkownikiem hr. Sobolewskim i 9-go pod pułkownikiem Antonim ks. Sułkowskim. Pułki te maszerowały z Polski osobno i dopiero we Francyi i Hiszpanii złączyły się ze sobą i utworzyły dywizyą.

W kwietniu 1808 r. pułk czwarty piechoty stał na kwaterach w Płocku, gdy nagle otrzymał rozkaz przemaszerowania do Warszawy. Tutaj pułkownika hr. Feliksa Potockiego spytał książę Auerstädt, Davoust, czyliby był gotów do wyruszenia za granicę kraju. Na to, z rycerskością i poświęceniem, które jest charakterystyczną cechą tych romantyczno-rycerskich czasów, Potocki odrzekł: „że wszędzie, gdzie go tylko los Polski wysle, chętnie życie swoje wraz z pułkiem poniesie“. Obiegały pogłoski, że czwartaki pójdą na załogę do Kistrzyna, tymczasem kazano im wyruszyć do Hiszpanii. Jakoż w końcu kwietnia 1808 r. wzmocnieni o 300 ludzi, z tem wszystkiem liczący zaledwie dwa silne bataliony, około 2500 ludzi ogółem, wyruszyli do Francyi, do Sedanu, gdzie było główne depo wojsk polskich, będących na służbie francuskiej, i drogą na Paryż, Bordeaux do Bajonny, zkąd gościńcem, który przechodzili na wiosnę szwoleżery, na

Sain Jean- de Luz do Irun. Działo się to w końcu października 1808 r.

Tą samą drogą i w tymże czasie szedł pułk 7 i 9 piechoty księstwa warszawskiego. Ten w końcu czerwca 1808 r. wyruszył z Międzyrzecza, ostatniego miasteczka na granicy polskiej. Młody jego dowódca, 24-letni ordynat książę Antoni Sułkowski, był pięknej i ujmującej powierzchowności. Wychowany i kształcony po większej części za granicą, jakkolwiek odznaczał się mnóstwem dobrych przymiotów, nie miał jednak nic polskiego w sobie, prócz imienia i pewnego wyrozumowanego poczucia, że dla ojczyzny zrobić coś trzeba. Pułk sformował on własnym kosztem i miał już pewną sławę wojskową, zdobytą podczas oblężenia Kołobrzegu i Gdańska¹⁾. Pułk 9-ty składał się z dwóch kompanij grenadyerów, dwóch kompanij woltyżerów, i dwunastu kompanij strzelców, czyli jak ich wtedy zwano zfrancuska fizyljerów; ogółem szesnastu kompanij czyli 2400 ludzi. Prócz tego posiadał bardzo piękną muzykę

Siły więc polskie w ogólności, w chwili wkroczenia nowej dywizyi piechoty polskiej, wynosiły w Hiszpanii 13 do 14 tysięcy ludzi, a mianowicie:

¹⁾ St. Boeker loc. cit. p. 13.

Piechoty: Legia Nadwiślańska . . .	5000
Dywizya piech. ks. warsz. . .	7200
Razem piechoty	12,200
Jazda: Pułk lansyerów, koni . . .	1000
Pułk szwoleżerów gward. koni.	800
Razem jazdy . . .	1800

Żołnierz to był dobry i siła taka przy ówczesnem wycieńczeniu kraju, rzucona na obcą ziemię, dla obcych interesów, dowodziła wysokiego patryotyzmu w narodzie.

Pułk 9-ty i 7-my szły na Frankfurt nad Odrą, Torgawę, Lipsk, Erfurt, Gotha, Eisenach, Fulde, Hanau, Moguncyą i t. d. do Sedanu. Ztąd na Meziery przybyli do Charleville, gdzie spotkali starego generała Valence, który mianowany został dowódcą dywizji polskiej. W Paryżu Napoleon odbywał przeglądy pułków polskich, w miarę jak nadchodziły, na placu Vendôme, i dawał im obiady uroczyste w gmachu szkoły wojskowej. Szli na Wersal, Rambouillet, Tours, Poitiers do Chatelreau, gdzie zatrzymali się dłużej nieco i spotkali tutaj część pułku szwoleżerów gwardyi, maszerujących także do Hiszpanii. Jakkolwiek żołnierze nie byli bardzo zadowoleni z tego dalekiego pochodu do kraju, przeciw któremu biec się mieli Bóg wie za co i o co, zwłaszcza, że płacono im tylko dziesięć su dziennie i za to żyć musieli, bo Francuzi nie odznaczałi się gościnnością, jednakże przy lada sposobności bawili się

wesoło, może nawet za wesoło. W Chatelreau, miasto wyprawiło dla korpusu oficerów tak piechoty jak i szwoleżerów bal. Bal był prześlizchny; wszystkie kobiety i dziewczęta z miasta wzięły w nim udział. Tańczono w cienistym parku do późna w nocy. Następstwa tej zabawy były łatwe do przewidzenia. W rok potem, pisze cytowany przez nas pamiętnikarz ¹⁾, doniósł do Hiszpanii mer z Angoulême, że jedna dziewczyna została matką małego Polaka, do czego nasi żołnierze wcale przyznać się nie chcieli, zwalając na siebie wzajemnie winę. Gdy po wojnie austriackiej w r. 1809, szwoleżery idąc do Hiszpanii, przechodzili przez Chatelreau, mieszkańcy skarżyli się mocno, mówiąc, że żołnierze polscy porywali dziewczęta. Wywołało to wielkie oburzenie w szwoleżerach, i wypierali się uroczyście, że to nie oni, tylko piechota. Ze swej strony mieszkańcy trafili ze skargą aż do cesarza Napoleona, ale ten odrzekł im bardzo rozumnie: „iż jeżeli się co stało, kobiety miasta Chatelreau same temu są winne; bo uczciwe kobiety i panny nie powinny chodzić za żołnierzami, za ich muzyką po nocy“ ²⁾.

Z Chatelreau popłynęła dywizya rzeką Garonną do Bordeaux, ztąd do Roquefort przez Gaskonią, gdzie z tamtejszymi niegościnnymi

¹⁾ Loc. cit. ²⁾ *Zaluski* loc. cit.

chłopami, bardzo często przychodziło do bójek. W Bajonnie rozdano żołnierzom po 60 ładunków, 4 skałki i żywności na dziesięć dni. Przez Saint Jean de Luz nakoniec wkroczo no do Hiszpanii.

„Jednego z ostatnich dni października 1808 r. opowiada oficer 9-go pułku, przy wesołych okrzykach radości, przeszliśmy granicę Hiszpanii; pytanie zachodzi, czy z podobnem uczuciem każdy z nas ją opuścił“. Niestety! nie każdego ją miał opuścić, a wielu opuszczając istotnie się z tego cieszyło. Wojna to była straszna, przybierała z każdym dniem coraz dzikszy, krwawszy charakter, w miarę jak się w Hiszpanach budziły wszystkie uśpione tylko, ale nie wygasłe namiętności dawnych katów Meksykan, Indyan i Maurów, namiętności podsycane fanatyzmem, zaboronem i uczuciem gorącej miłości ojczyzny, jeżeli nie przywiązania do zdetronizowanej dynastji Burbonów. Wkrótce nowowstępujące do Hiszpanii pułki polskie miały się o tem przekonać.

Na Irun do Tolozy, maszerowano wśród ciągłych deszczów i przejmującego zimna. Za Tolozą Polacy posuwając się wśród błota i deszczów, z uczuciem znużenia i smutku, napotkali na drodze zamordowanego haniebnie kawalerzystę francuskiego. Ciało nieszczęśliwego przywiązane do czterech słupów było spalone. Wywarło to na żołnierzy przykre niezmiernie wrażenie. Stara

Legia Nadwiślańska tocząca już bój w Hiszpanii od pół roku blisko, przyzwyczajona była do mordów tajemnych i nie zrażała się niemi, ale świeże wojska dywizji polskiej były tem okropnem zjawiskiem ciężko zrażone, i budziło ono w nich chęć pomsty, budziło wszystkie niehumanitarne, krwiożercze namiętności, które zawsze i wszędzie tkwią w piersi człowieka. To też biada Hiszpanom, gdy ich dosięgła lanca lub bagniet polskiego żołnierza! Nie przebaczano ani płci, ani wiekowi. Była to wojna wyćpienia!

W dodatku do tego mieszkańcy wszędzie ze wsi i miast przed wojskiem uciekali. Zostawiano domy puste i nagie. Z Tolozy maszerowała dywizya na Mondrago, Wiktoryą, Mirandę, Poncorbo do Burgos, gdzie właśnie przed paru dniami cesarz Napoleon stoczył wielką, zwycięską bitwę, w której z wojsk polskich wzięli udział tylko szwoleżery gwardyi.

Zostawiliśmy ich, rozstawionych wzdłuż rzeki Ebro, od Reynozy aż do Logrono, z wysuniętym posterunkiem w Bribiesca. Stali tak aż do listopada, wzmacniani przybywającemi nowemi oddziałami z Polski. Pierwszy oddział, który przybył, należał do 3-go szwadronu pod wodzą kapitana Dziewanowskiego, który po kilkunastodniowym pobycie w Hiszpanii, miał swą głowę położyć za obcą sprawę. Reszta oddziału przybyła pod wodzą Francuza, pułkownika Dautan-

court. Wogóle były to znaczne posiłki. Pułk wzrósł do siły 800 koni ¹⁾, podzielony na dwa regimenty. Pierwszy regiment skupił się pod Santa Maria de Cubo; drugi pod pułkownikiem Dautancourt w Bribiesca, a szeroko rozrzuconymi dokoła posterunkami, pełniąc służbę podjazdową wobec skupiających się pod Burgos Hiszpanów. W Bribiesca zdarzył się szwależerom jedyny w ich historii i smutny bardzo wypadek. Podoficer Żellizer zdezerterował czy do nieprzyjaciela, czy też w lasy i góry, niewiadomo. Był to bardzo dobry podoficer, służbista gorliwy, tylko nieco gwałtownego i łatwo zapalnego charakteru. Służył on poprzednio w 3-cim pułku piechoty ks. warszawskiego, z którego wyszedł i wstąpił na szeregowca do szwależerów gwardyi. Miał iść pod sąd zato, że zabił na placówce spokojnego chłopca hiszpańskiego. Jaki był dalszy los biednego dezercera, niewiadomo, prawdopodobnie gdzieś, w jakimś kącie, Hiszpanie go zamordowali. Dezercya ta przykre bardzo w pułku zrobiła wrażenie.

Tymczasem powoli ściągały się wojska francuskie. Marszałek Soult ze swym korpusem stanął w Bribiesca, przybył i sam cesarz Napeleon. Hiszpanie chcąc zagrodzić Francuzom drogę do Madrytu, rozwinęli się w liczbie 40 tysięcy pod

¹⁾ Loc. cit.

starą stolicą Kastylii. O samym świcie dnia 10 listopada, szwależery polskie i dragoni francuscy, posuwający się w przedniej straży pod wodzą Lasalla, spotkali czaty hiszpańskie i po kilku strzałach cofnęli się, gdyż teren nie był odpowiedny dla akcji kawaleryjskiej. Gdy nadeszła piechota, rzuciła się na Hiszpanów i w parę godzin nie było już nieprzyjaciela. Trzydzieści armat i 12 chorągwi, około 900 jeńców stanowiło trofea zwycięzców. Przeszło 2000 ludzi padło pod szablą szaserów polskich i dragonów francuskich. Miasto samo zostało zrabowane.

Po tej bitwie, w której zresztą szwależery nie wielką odegrali rolę, cesarz przybył do Burgos, a na służbę do niego odkomenderowano pluton jazdy polskiej, pod porucznikiem Wybickim. Cesarz usłyszawszy to nazwisko, które mu przypominało świetne dnie Jeny i Eylau, pozdrowił wesoło porucznika i pytał, czy jest synem sławnego patrioty polskiego? Cesarz wogóle był w dobrym humorze. Dowiedziawszy się, że w tym plutonie znajduje się szwależer olbrzymiego wzrostu i siły, nazwiskiem Pokorski, kazał mu się zmierzyć z marszałkiem Mortier, który także odznaczał się wysokim wzrostem. Pokorski był wyższy: w roku 1809 już jako brygadyer spalił się żywcem w Lambach w Austrii.

Z Burgos, szwależery przyłączeni do korpusu piechoty generała Lasalle, wyruszyli do Lermy.

Miasto było puste, i między Francuzami, którzy szli za przednią strażą złożoną z Polaków, rozbiegła się pogłoska, że ci Lermę zrabowali, co było krzyczącą fałszem. Z Lermy wyruszyli do Osma, gdzie wstrzymani nowym rozkazem zawrócili się, i przez Aylon i Rianza stanęli u stóp gór Samosierry.

Tutajto Polacy ułani zapalili u swego czoła tę świetną gwiazdę niesłychanego męstwa, która jaśnieć będzie na zawsze w dziejach sztuki wojennej. Słusznie też, jeżeli cała ta dziwna, awanturnicza wyprawa pułków polskich, nie uwieczniła się żadną prawie pieśnią, wawóz Samosierry ma taką pieśń, którą ojcowie nasi chętnie nucili, a synowie prawdopodobnie już nie pamiętają, jak wiele innych pieśni.

Góry Samosierry stanowią rozległe, przeważnie strome pasmo skaliste, prawie nigdzie niedostępne. Jedna tylko droga, za czasów króla Karola III-go zrobiona, ośm do dziesięciu łokci szeroka, wciskała się i wykręcała między stromemi skałami, pnąc się coraz wyżej w górę. Hiszpanie silni na 14 tysięcy ludzi, obsadzili te góry i wawozy, zastępując drogę do Madrytu; na każdym załamaniu się drogi ustawiono piętrami po cztery armaty, wzgórek zaś który przy wyjściu nad całym wawozem panował, uzbrojono ośmiu działami. Tak obronne naturą i sztuką położenie, zdawało się być prawie niezdo-
bytem

dla piechoty, a cóż dopiero dla jazdy, którą oprócz dział mógł dziesiątkować celny i bliski ogień piechoty hiszpańskiej, ukrytej z obu stron wawozu za skałami. To też Hiszpanie nie przypuszczając nawet, by pozycja ta mogła być atakowana jazdą, nie porobili żadnych przeciw niej przygotowań. Prosty rów przez drogę przekopany, jaszczyki od dział wpoprzek drogi ustawione, nieprzełamana stanowiłyby dla ataku kawaleryi przeszkodę.

Wobec tej groźnej pozycji Napoleon stanął d. 30. listopada. Wysławszy znaczną część wojska dla okrążenia pozycji, sam stanął u wylotu wawozu, otoczony trzecim szwadronem szwoleżerów pod wodzą szefa szwadronu Jana Kozińskiego. Właściwie znajdowały się wówczas przy Napoleonie na służbie dwa szwadrony polskiej jazdy. Pierwszy pod wodzą szefa Tomasza hr. Łubieńskiego, i trzeci według numeru porządkowego, Kozińskiego; ale pierwszy stał dalej, a trzeci razem z cesarzem zbliżył się pod wawóz i w ścieśnionej kolumnie, stanął po lewej stronie drogi. Szwadron ten składał się z trzeciej kompanii pod dowództwem kapitana Dzierżanowskiego, i siódmej kompanii kapitana Piotra Krasieńskiego. Ogółem liczył 125 koni.

Dzień był chmurny, wilgotny i zimny, i szwoleżery otuleni w płaszcze w milczeniu stali u wejścia wawozu, patrząc jak piechota francuska

napróżno usiłowała wedrzeć się pod górę. Witaną strasznym ogniem działowym i karabinowym, gęsto kładła się trupem, nie posuwając się ani na krok naprzód:

Dumne Hiszpany z szczytu gór szydziły:
Pójdźcie tu, pójdźcie, dawno was czekamy,
Wam tu Kastylki dadzą uścisk miły,
Wam stary Madryt otworzy swe bramy!

Tak powiada pieśń, ale wistocie nie można było szydzić głosem wśród huku dział i karabinów, których kule dzwoniły po ulankach szwoleżerów, stojących przed wąwozem przy drodze. Tymczasem Napoleon patrząc niecierpliwie na bezskuteczne ataki piechoty francuskiej, która przełamać nie mogła przeszkód zamykających bramy Madrytu, chcąc uprzedzić nieomylny i pewny skutek, jaki sobie obiecywał z okrążenia pozycyi, licząc na odwagę wojska pod jego bokiem bić się mającego, mało ceniąc zresztą krew polską, ale trzymając wiele o jej bohaterstwie, rozkazał trzeciemu szwadronowi uderzyć na nieprzyjaciela. Powiadają, że kiedy mu szef sztabu Berthier zwrócił uwagę na niepodobieństwo zdobywania gór jazdą, oburknął się niecierpliwie i rzekł: „zostaw to Polakom“ (*laissez faire aux Polonais!*).

To też zostawiono im najcięższe, najkrwawsze przedsięwzięcie, kazano przelać najszlachetniej-

szą krew dla prostej fantazyi niecierpliwego wodza. Nic bowiem nie usprawiedliwia i nie tłómaczy tego szalonego ataku, tych potoków krwi, jaką wylała młodź polska na nagich skałach Samosierry. Czy kilka godzin wcześniej czy później Napoleon wszedłby do Madrytu, to fakt ten wcale nie zaważyłby na jego losach. Hiszpanie w żadnym razie nie mogli długo bronić Samoserry; w chwili bowiem, gdyby ich obesła wysłana piechota, cała waga „Termopilów hiszpańskich“ upadała, i trzeba je było opuścić, nie chcąc ulec niewoli. Pocóż więc było przelewać tyle krwi napróżno? Oto dlatego, że wielki ten zdobywca zepsuty już był powodzeniem i powoli nabierał tych fantazyj, tego nieposzanowania człowieka i jego życia, jakie znamionuje potomków starych, samowładnych, wyrodzonych dynastji.

Powiadają, bo do czynów wielkiego bohaterstwa przyczepia się zawsze jakaś legenda, że myśl zdobycia jazdą wąwozu i gór, podsunął Napoleonowi jeden prosty szwoleżer. W wigilią tego dnia, szwoleżer ten zapalił sobie fajkę u ognia, przy którym siedział Napoleon i zamiast przeprosić cesarza: „ja jemu tam, rzekł, wskazując na góry, podziękuje“¹⁾.

Czy tak było wistocie, trudno dziś wiedzieć,

¹⁾ Loc. cit.

dość że rozkaz wydany poniesiono Koziętulskiemu, stojącemu w milczeniu na czele świetnego swego szwadronu. Natychmiast z bystrością oka doskonatego dowódcy jazdy, sformował kolumnę w czwórki, gdyż miejscowość nie dozwalała szerzej się rozwinąć, dobył pałasza i przy okrzyku: „niech żyje cesarz!“ ruszył naprzód. Na czoło wysłał jako eklerera, znanego sobie z odwagi i zaciętości porucznika Krzyżanowskiego z czterema ułanami, i puścił się w wąż pędem. Krzyżanowski przywitany kartaczami i ogniem ręcznej broni, pada z trzema żołnierzami trupem; ocalał z tej piątki sam brygadyer Wasilewski, koń tylko jego był draśnięty w chrapy odłamkiem granatu. Ale już szedł jak wicher Koziętulski; wpada na baterią za baterią i bierze dwanaście dział. Na tych bateriach rozpoczyna się walka z artylerzystami hiszpańskimi. Porucznik Niegolewski z wachmistrzem Sokołowskim dotarli aż na sam szczyt góry do czwartej baterii; tu Niegolewski skłóty bagnietami, dziewięć pchnięć otrzymawszy, padł na działach, gdzie zostawiony został jako nieżywy. Koziętulski, bohater dnia, traci pod sobą konia i silnie kontuzyonowany, zdaje dowództwo kapitanowi Dziewanowskiemu, który zbiera rozpierchłych żołnierzy, pędzi dalej, zdobywa jeszcze jedną baterią i pada śmiertelnie ranny. Porucznicy Rudowski i Ronicki poległ; kapitan Piotr Krasiński niebezpiecznie

kartaczem ugodzony; przez chwilę niema ani jednego oficera w szwadronie. Obejmuje zatem dowództwo wachmistrz Roman i pada także ugodzony dwiema kulami. Żołnierze rozrzucony po górach robią szablami, i usiłują w piekielnej tej walce nie już otrzymać zwycięstwo, ale drogo sprzedać życie.

Wówczas nadjechał szef pierwszego szwadronu, późniejszy generał Tomasz hr Łubieński, wysłany przez pułkownika Krasińskiego dla objęcia komendy. „Wzmocniony świeżym plutonem pod dowództwem porucznika Roztworowskiego, opowiada sam Łubieński¹⁾, i plutonem szaserów gwardyi konnej, uszykowałem jak mogłem najprędzej nowy szwadron, zwinawszy się w kolumnę po czterech i uderzyłem na nieprzyjaciela. Idąc utorowaną przez dwa pierwsze, tak skuteczne natarcia, drogą, przeszliśmy resztę wąwozu i ostatnie nawet działa z łatwością i prawie bez straty odebraliśmy; wdzierająca się albowiem w góry francuska piechota, zajęła uwagę artylerzystów hiszpańskich“.

„Niespodziewane przejście tak mocno obwarowanego wąwozu, zajmowanie następnych zdobytych stanowisk przez nadchodzące za nami wojska, strwożyło tak dalece nieprzyjaciela, że bez żadnego porządku poszedł w rosypkę. Co

¹⁾ W czasopiśmie „Wanda“ Tom XVI.

sposprzegłszy, gdym wyszedł z wawozu, nie chcąc zostawić nieprzyjacielowi jednej nawet chwili do namysłu, zgromadziłem szwadron i co koń wyskoczy puściłem się w pogoń, napadając wszędzie na zbierać się chcące kupy, tak piechoty jako i konnicy. Zatrzymałem się dopiero za miasteczkiem Buytrago, przeszło dwie mile hiszpańskie od placu potyczki, na rozkaz Napoleona, który mi przywiózł szef szwadronu Ordener. Niewolniki, działa, sztandary, a nawet i kasy wojenne stały się łupem armii zwycięskiej. Jedna z tych kas, zatrzymana właśnie gdym za Buytrago przednie ustawiał czaty, rozdana była z mojego rozkazu pomiędzy żołnierzy, wszyscy albowiem nasi oficerowie dobrowolnie odstąpili swoich części“.

Jeżeli sam atak na wawozy Samosierry należy uważać za najśmielszy czyn w rocznikach wojennych jazdy, to bezwątpienia szybkość w ściganiu rozbitego nieprzyjaciela niejako uwieńczyła to zwycięstwo i otworzyła Napoleonowi bramy „starego Madrytu“. Zaszczyt tego czynu przypada wyłącznie Łubieńskiemu. Później już w dwadzieścia kilka lat potem, ten sam Łubieński, postarzały znacznie, nie umiał po bitwie pod Dębem Wielkim tak gwałtownie ścigać pokonanego nieprzyjaciela, choć tu szło o stokroć większe i świętsze cele, niż o wejście do Madrytu!

Szarża na Samosierrę drogo kosztowała szwa-

drony polskie. Z trzeciego szwadronu, który pierwszy wyruszył pod Koziętulskim, zginęło pięćdziesięciu siedmiu! Takie to hekatombie kładł z ciał młodzieży polskiej bohater wieku dla zadowolenia swej fantazyi, swej dumy i pychy, by co prędzej wstąpić w stolicę Filipa II, on, który tyle stolic europejskich zdeptał.

„Po skończonej całej przeprawie, pisze porucznik Szeptycki, który brał udział w drugiej szarży, szef Łubieński posłał mnie do pułkownika Krasińskiego, a gdybym spotkał cesarza, do samego cesarza z oznajmieniem tego wypadku i po dalszy rozkaz dla szwadronu. Z zadziwieniem spotkałem Napoleona na pół drogi, niepoprzedzonego żadnem wojskiem, jadącego sobie stępem. Savary i Durosnel o kilkadziesiąt kroków przed nim będący, uprzedzili mnie o wielkiem zadowoleniu Napoleona. W samej rzeczy znalazłem go w najlepszym humorze; kazał mi oświadczyć oddziałowi, że są warci być jego gwardyą, powtarzając kilka razy z widocznym ukontentowaniem: „vous êtes des braves Polonais“. Zresztą kazał szwadronowi czekać przybycia całej gwardyi, a kasę zarówno między wszystkich podzielić. Po danym rozkazie oficerowie dzielili garściami złoto i srebro, zaczynając od żołnierzy; tu nie należy zapomnieć, że byli tacy, którzy swoją część darowali żołnierzom. Wkrótce nadeszły gwardye: stare grenadyery i szasery, którzy tylko między

sobą żyli, wpadli do naszego biwaku, ściskali Polaków z rozrzewnieniem i nazywali ich odtąd kamratami, a widząc że byli zmordowani, sami wieczrę dla nich gotowali. Oficerowie ich, dalecy od dworaków, nie wynosili nas pod obłoki, ale nie zazdrościli; równie dobrzy jak szczerzy, otwarcie wyznali, że my im odtąd nie zazdrościć nie potrzebujemy. Tymczasem Napoleon, który miał zwyczaj tylko po wielkich i stanowczych bitwach dyktować biuletyn, uznał Samosierrę godną swego pióra, a powątpiewając albo nieprzypominając sobie podobnego natarcia jazdy, nazwał „atakiem świetnym, jakiego nigdy nie było“.

Oficerowie sztabowi francuscy chlubili się, jakoby w tej szarży brali udział. Mówili oni do podkomendnych: „jeżeli się marszałek o mnie spyta, powiedz mu, że jestem z Polakami“. Piechota marszałka Victora krzyczała, gdy koło niej przechodzili szwoleżery: „niech żyją Polacy!“

Takim był ten czyn, który gdyby roczniki wojenne polskie nie zawierały żadnego bohaterstwa, wystarczyłyby na to, żeby narodowi naszemu nadać przymiot nieporównanego męstwa. Męstwo to zresztą objawiało się także w niepojętej dziś dla nas pogardzie śmierci, w ubóstwianiu Napoleona, które trudno zrozumieć. Gdy cesarz po szarży jechał przez wawóz Samosierry, pokryty zabitymi i rannymi, ci podnosili swe pokaleczone i krwią zlane członki i konając, wołali: „vive

l'empereur!“ Szwoleżer Izabelewicz ranny czerepem granatu w sam brzuch, usiadł na ziemi i prawie konając, z najzimniejszą krwią wysnował ze siebie wnętrności. Trupy zabitych pod Samosierrą leżały długo na skrwawionym śniegu, nim je pochowano. Cesarz kazał je pogrzebać w pełnych mundurach, po dwóch w jednej trumnie...

Biedni kmiecie polscy, przeleli swą krew, jak zawsze, jak dotąd i później jeszcze ją przelewali, za sprawę, której nie pojmowali i legli nie na swych ojczystych mazurskich piaskach, ale na skalistym gruncie starej Iberów ojczyzny!¹⁾

Noc przepędzono w Buytrago, gdzie ściągnął cały pułk szwoleżerów i inna jazda francuska. Ztąd już droga była otwarta do Madrytu, do którego Napoleon chciał wejść w d. 2-gim grudnia, jako w rocznicę koronacy i bitwy Austerlickiej. W tym celu całą jazdę podsunęto pod samą stolicę i pagórki otaczające ją dokoła obsadzili szwoleżery. Mgła panowała ciągle taka, że podjazdy polskie z hiszpańskimi mijały się, nie widząc się wzajemnie. Dnia 2-go grudnia nakoniec pułk sta-

¹⁾ Malarz Vernet na obrazie, przedstawiającym zdobycie Samosierry, wymalował pułkownika Krasińskiego i majora Dautancourt, którzy tam wcale nie byli. Wszystkich zato wraz z Koziętulskim i Dziewanowskim oddał w paradnych strojach, kiedy z powodu chłodu i mgły byli oni w płaszczach. Inny malarz francuski Belangé zrobił szwoleżerów z lancami, kiedy w r. 1808 nie mieli oni ich jeszcze wcale.

nał rozwiniętym frontem oczekując cesarza, który nadjechał i zatrzymawszy się na prawem skrzydle, zdawał się oczekiwać deputacyi z miasta.

Gdy tak czekają na tę deputacyą, nagle zjawia się bardzo młody, małego wzrostu szwoleżer, który przypadł w pędzie przed pułkownika Krasińskiego i coś bardzo żywo począł mu rozpowiadać. Napoleon spostrzegłszy tę scenę, pyta się: „coto takiego?” Krasiński opowiada, że ten młody człowiek z kilku żandarmami zdobył armatę pod samą bramą Madrytu, ale że Hiszpanie z końmi uciekli, więc zostawił na straży żandarmów, a sam przybył prosić o uprząż, oraz żeby go opatriono, bo jest ranny. Był to syn konfederata barskiego, chociaż młody i małego wzrostu, ale waleczny. Napoleon kazał go sobie przedstawić i dał mu krzyż. Pamiętnikarze nasi nie zachowali nam nazwiska walecznego szwoleżera i syna barskiego rycerza.

Zjawiła się nakoniec niecierpliwie oczekiwana deputacya i Francuzi weszli do Madrytu, a z nimi szwoleżery. Sam Napoleon nie odwiedził miasta, ale stanął na jego przedmieściu w klasztorze św. Augustyna. Do stolicy hiszpańskiej ściągała powoli cała armia. Szła tam także dywizya piechoty księstwa warszawskiego, którą opuściliśmy na drodze do Burgos.

Burgos zastano puste prawie zupełnie i straszny tam panował zamęt. Pułki polskie rozstawiono kwaterą po domach; pułk 9-ty zajął jakiś

klasztor. Żywności zato nie nie było. Noc była taka ciemna, opowiada naoczny świadek ¹⁾, że żadną miarą nie można było odszukać magazynów. Francuzi, Polacy, Niemcy błądzili po ulicach i placach, pytając: *qui vive!* gdy nie było natychmiast odpowiedzi, dawano ognia. Z Burgos pomaszerowano dalej na południe, wprost na Madryt. Szła więc dywizya śladem szwoleżerów, szła na błyszczące polskiem bohaterstwem wawozy Samosierry. Na gościńcu, którym posuwano się, podobnie jak i na innych drogach, które armia postępowała, leżały gęsto ciała chłopów hiszpańskich, których Francuzi rozstrzelali. Ciał tych nie uprzątno wcale; armaty, wozy, furgony gniotły je na miazgę. Trupy te spuchnięte i spieczzone od skwaru słonecznego, podobniejsze były do skóry bydłowej zeschniętej, niż do zwłok ludzkich. Jednem słowem, wojna młodym żołnierzom polskim przedstawiała się w całej grozie i ohydzie. Dywizya zostawiła w tym pośpiesznym i męczącym marszu, wielu maruderów, których Hiszpanie zwykle mordowali; rzadko który z takich biedaków ocalał. Wielu z naszych Maćków padło ofiarą nadużycia wina, które zastawano w wielkich ilościach po kwaterach. Pili wino tak, że gdy przyszło do wymarszu, to kilku lub kilkunastu z pułku leżało nieruchomych. Zabierano im tornistry, ła-

¹⁾ Boecker, loc. cit.

dunki i broń, a samych zostawiano na pastwę losu, a raczej Hiszpanów. Rzadko, bardzo rzadko który z takich pijaków słodkiego wina południowego powrócił do pułku; zwykle mordowali ich chłopci.

Wśród takichto przygód, nie bez poważnych strat, spowodowanych pijaństwem i maruderstwem, dostała się dywizja polska do Madrytu. Weszła tu z rozwiniętymi sztandarami i przy odgłosie muzyki. Pierwszý raz białe orły polskie przylgądały się starym murom stolicy hiszpańskiej. Smutno się ona przedstawiała żołnierzom naszym. Domy, jeszcze z doby ostatniego wiosennego powstania, podziurawione były od kul! patrole z jazdy złożone, gęsto jeździły po ulicach, na których stały armaty nabite kartaczami, a obok każdej kanonier z zapalonym lontem w ręku.

Dywizją rozkwaterowano w mieście, w większej części po klasztorach. Zaznała tu ona po nużących pochodach, kilkudniowego słodkiego spoczynku. Opuścimy ją tu na chwilę, by przenieść się do Legii Nadwiślańskiej, gdzie wzywają nas obrazy nowych bojów i nowych bohaterstw.

ROZDZIAŁ V.

Drugie oblężenie Saragossy.

Przybycie posiłków. — Bitwa pod Tudelą. — Atak pułownika Kąsinowskiego na wieżę Maurów. — Oddzielenie się lansyerów. — Obozowiska nad rzeką Xalon. — Przygotowania Hiszpanów do obrony Saragossy. — Armia staje pod Saragossą. — Zdobycie Monte-Torrero. — Lazaret w Alagon. — Wzięcie klasztoru św. Józefa. — Głód. — Potyczka pod Belchit. — Atak na klasztor Santa Engracia. — Saragossa się poddaje. — Widok miasta. — Kościół del Plar. — Straty Legii.

Podczas, gdy się to wszystko działo, Legia Nadwiślańska odpoczywała w Milagro. Pułk lansyerów stał obozem nad Ebro, wysunięty naprzód ku nieprzyjacielowi. Obozowanie to należało do najprzykrejszych dni, jakie lansyerowie przepędzili w Hiszpanii. Deszcze i zimna dokuczały, a w dodatku w obozie ukazało się także mnóstwo szczurów, że sobie ułani rady z nimi dać nie mogli. Tutajto przysłano z pułku szwoleżerów gwardyi sześciu podoficerów, którzy zostali u lansyerów oficerami, mianowicie: Stadnicki, Ranowski, Sa-

wicki, Radłowski, Kadłubicki i Mikołajewski. Przykre to było bardzo lansyerom, że awans zabierają im zpod nosa obcy, ale cóż było robić?

Rekonwalescenci i ranni Legii, odesłani zostali do zakładów w Saint-Jean Pied de port. Było tam kilkunastu oficerów, między którymi porucznik Piątkowski podbił serce, słynnej w tej dobie w górach Pirenejskich piękności, Mary Mayte.

W początkach listopada 1808 r. Legia otrzymała znaczne posiłki w rekrutach. Sam Henryk Brandt, późniejszy generał pruski i autor najlepszych może pamiętników polskich o wojnie hiszpańskiej, przyprowadził 500 ludzi do drugiego pułku Legii. Ogólne dowództwo nad wojskami stojącymi nad rzeką Aragonem, objął marszałek Moncey. Wojska te otrzymały nazwę korpusu trzeciego.

Atoli, jeżeli Francuzi się wzmacniali, niemniej i Hiszpanie gromadzili znaczne siły. Generał Castanios na czele 60 tysięcy ludzi zagroził korpusowi trzeciemu, w którym nasza Legia ukryta, miała wkrótce zajaśnieć nowym blaskiem niepożytego męstwa i waleczności.

Przeciw armii Castaniosa wyruszył tedy marszałek Moncey, przeszedł Ebro pod Lodozą i spotkał Hiszpanów dnia 23-go listopada pod Tudelą. Właściwie dowodził w tej bitwie marszałek Lannes, który przybiegł na pomoc z jedną dywizją 6-go korpusu.

Nieprzyjaciół zajmował silną pozycją pod murami Tudeli. Wojsko jego składało się z Walencyan, Murcyan i Aragończyków, „bohaterskich zwycięzców Saragossy“, jak ich zwali Hiszpanie. O świcie dnia 23-go listopada, marszałek Ney rekognoskował pozycją na czele strasznych Hiszpanom lansyerów polskich. Powstańcy rozwinięci byli mając przed sobą miasto, a przed miastem, tuż nad rzeką Ebro, osadzili silnie szereg przykrych wzgórz, na których wznosiła się stara, Maurów jeszcze pamiętająca, budowla, a raczej baszta, którą zajęli. Wieża ta oczywiście stanowiła klucz pozycji. Lewe skrzydło Hiszpanów opierało się o rzekę Ebro, i trzymało most, stanowiący jedyną komunikacją armii z dywizją, którą rzucono za rzekę. Otóż przedewszystkiem należało zdobyć wieżę Maurów i opanować most, dla odcięcia owej samotnej dywizji, tak nierozsądnie pomieszczonej za rzeką. Atak zatem na wzgórza i wieżę, oraz na most, był pierwszorzędnego znaczenia i stanowił niemal o losie bitwy. Powierzono go Polakom, gdyż zawsze, gdzie był najkrwawszy bój, gdzie groziły wielkie straty, gdzie trzeba było niepospolitego męstwa i znacznych ofiar, zawsze tam Francuzi ślali biednych polskich żołnierzy. Widzieliśmy to już pod Saragossą, zobaczymy pod Tudelą i w wielu innych miejscach.

Marszałek Lannes dał tedy rozkaz, ażeby pułkownik Kąsinowski na czele pierwszego batalionu

pułku 2-go Legii, wdarł się na wzgórza, zdobył wieżę Maurów i opanował most na Ebro. Polacy ucieszeni, że im pierwszy krok dano w rozprawie, która miała zajść z najliczniejszą w Hiszpanii armią, ruszyli krokiem szturmowym, wdarli się na najbliższe wzgórze, wyrzuciwszy zeń bagnetem Mureyanów. Ale Hiszpanie osadzeni na innych wzgórzach, jak również dywizya stojąca za rzeką, rozpoczęła straszny ogień, który w oka mgnieniu wydarł z szeregów dzielnego batalionu siedm-dziesięciu ludzi w zabitych i rannych, a między tymi ostatnimi pułkownika Kąsinowskiego i kapitana Mędrzykowskiego. Mimo to Polacy przedarli się aż do mostu. Hiszpanie widząc to, zagrożeni przytem od swej prawej przez 2-gi batalion, pułku 2-go, który dochodził już do mostu, śpiesznie opuścili pozycyą. Zamieszanie poczęło się w ich szeregach, tak, że kilka rdzennych ataków francuskich, spowodowało zupełną rozsypkę armii hiszpańskiej. Trzy tysiące trupa, 30 armat, mnóstwo jeńców było owocem tego zwycięstwa, które słusznie Napoleon policzył do czternastu najpiękniejszych dni swej nieśmiertelnej epopei. Chłuba tego dnia spada w zupełności na dzielny batalion drugiego pułku Legii. To też Kąsinowski mianowany został baronem cesarstwa francuskiego, a do starego herbu swego przybrał wieżę, na pamiątkę wieży Maurów, którą wziął pod Tudelą.

Po bitwie pod Tudelą marszałek Moncey ruszył ku Saragossie, depcząc po piętach Palafoxa, a Ney puścił się za Castaniossem, który skierował się ku Calatayud. Z Neyem poszedł pułk lansyerów polskich, prócz jednego szwadronu pod wodzą grosmajora Klickiego, który został przy marszałku Moncey i przy Legii. Dzieje więc pułku lansyerów opowiemy gdzieindziej.

Od Monceya odłączył się także marszałek Lannes, który miał inne poruczenia do spełnienia, więc korpus trzeci nie czuł się dość na siłach do rozpoczęcia oblężenia Saragossy, która zbroida się i fortyfikowała na gwałt, na olbrzymią skalę. Marszałek Moncey stanął więc nad rzeką Xalon, oczekując tam na posiłki, które wkrótce miały nadejść. Tymczasem zaś robił przygotowania do ważnego działania, jakie miał przedsięwziąć.

Hiszpanie ze swej strony, jakkolwiek rozbici, wisieli przecież nad wojskiem francuskim jak chmura. Wokoło ukazywały się mniej lub więcej silne oddziały, które niepokoiły boki i tyły, przecinały komunikacye, niszczyły domy, napadały pojedyncze oddziały, mordowały podstępnie żołnierzy. „Często pod samym obozem, opowiada tylekroć już przez nas wspomniany naoczny świadek, znajdowano zabitych żołnierzy. Oddziały, wysyłane musiały czasem przez ciąg drogi odstrzeliwać się, ginęły lub były zabierane. Podporucznik pułku pierwszego Wiński, chory, niesiony

do lazaretu z obozu, był w drodze zabitym; porucznik tegoż pułku Wroński, wysłany w kilkadziesiąt ludzi z obozu nad Xalon po żywność, z całym oddziałem nielitościwie zamordowany. Nie walcząc traciliśmy codziennie ludzi¹⁾. Prócz tego żołnierz, podczas tego obozowania, znosił ogromny niedostatek. Zimno było nieznosne; to wiatr chłodny ścinał krew w żyłach, to znów deszcz ulewny trapił legionistów ciągle. Żywności brakowało, prócz wina, którego z początku mieli dosyć, a służba forpocztowa, pełna niebezpieczeństw, wyczerpywała. Bohaterski jednak żołnierz polski znosił to wszystko bez szemrania²⁾, lubo niekiedy strasznie się mścił na Hiszpanach. W parę dni po bitwie pod Tudelą, wysłany pułk drugi Legii i kilka batalionów francuskich do górzystej aragońskiej prowincji Cineo-Villas, spotkały oddziały powstańców, otoczyły je i wycięły bezlitośnie do nogi. Wojna przybierała straszny, dziki, eksterminacyjny charakter.

Podczas, gdy korpus francuski czekał na posiłki w pięknej dolinie Xalonu, Saragossa gotowała się do odparcia nowego zamachu na swą wolność. Mur otaczający miasto wzmocniono, gdzie tego było potrzeba, i opatrzone go w strzelnice. Chcąc osłonić bardzo długie jego ściany, ufortyfikowano wszystkie ważniejsze gmachy, znajdujące

¹⁾ Mroziński, loc. cit. ²⁾ H. Brandt, loc. cit.

się zewnątrz niego, jak zamek Alaferia, szaniec przedmostowy na Huerbie, klasztor św. Józefa, trynitarzy i kapucynów, oraz Sta Engracia. Naokoło miasta w promieniu 700 sążni zburzono wszystkie domy, drzewa oliwne, i ogrody wycięto doszczętu, żeby nie służyły nieprzyjacielowi za ochronę. Wewnątrz miasta każdy dom zmieniono w cytadelę. Ulice przecięto barykadami, pokuto we wszystkich domach strzelnice, porobiono komunikacje między domami, zewnątrz zamurowano okna i drzwi dolnych mieszkań. Na znaczniejszych ulicach i placach porobiono pochyłe od bomb nakrycia. Między ludnością obok niekłamanego zapału, panowała największa czynność. Kto nie pracował koło fortyfikacyi, ćwiczył się w robieniu bronią. Kobiety szyły mundury, zakonnicy robili ładunki. Posiadano 160 dział, z których sześćdziesiąt dużego kalibru, po większej części wydobytych z kanału, gdzie je generał Verdier zatopił odstępując od oblężenia. Składy pocisków były ogromne; każdy mieszkaniec miał broń. Żywności nagromadzono na 15 tysięcy załogi na sześć miesięcy. Mięsa była niewielka ilość i to tylko dla chorych, za to sztokfisz, ulubiona potrawa hiszpańska, znajdował się w ogromnej ilości. Każdy zresztą mieszkaniec opatrzył się w żywność. Klasztory miały wielkie zapasy mąki, kaszy, wina, ryb. Pozakładano także znaczne magazyny furazów. Załoga po bitwie pod Tudelą, z której

większa część żołnierzy schroniła się do Saragossy, liczyła 35.060 głów. Jak podczas pierwszego oblężenia, tak i teraz dowodził generał Palafox. Ufność mieszkańców w wodza, w opiekę Najświętszej Panny del Pilar, w swe męstwo i mury, była tak wielką, że nietylko za zbliżeniem się wojsk francuskich nikt miasta nie opuścił, ale nawet z okolicy kto żył, garnał się do Saragossy, co wywołało później liczne choroby.

Francuzi ze swej strony, wkrótce mieli już stanąć pod straszną zawsze a straszniejszą teraz Saragossą. Dnia 19 grudnia nadciągnęła im pomoc, składająca się z 5-go korpusu pod dowództwem marszałka Mortier, w sile 18 tysięcy ludzi. Razem więc armia francuska, zwana teraz aragońską, liczyła 32 tysiące żołnierza. Właściwie zaś oblężenie miał prowadzić tylko trzeci korpus. Składał on się z trzech dywizyj: pierwsza Grandjean, w której był pułk drugi i trzeci Legii Nadwiślańskiej; Musnier, w której był pułk pierwszy i Morlot. Artylerya była ogromna. Wojska, które oblegały największe nawet twierdze europejskie, nie były tak zaopatrzone. Dnia 20 grudnia armia ta stanęła pod murami stolicy Arragonii, i zaraz rozpocząć się miała ta długa, straszna, krwawa epopeja, znana w historii pod nazwą drugiego oblężenia Saragossy.

Żołnierze nie witali okrzykami wież i murów twierdzy, pod którą tylu towarzyszy ich poległo,

i gdzie wiedzieli, że przyjdzie im jeszcze przelać całe strumienie swej dobrej krwi polskiej. Obie dywizye: Grandjean i Mosnier, a z nimi cała Legia, przeszły na prawy brzeg rzeki Huerby, wpadającej do Ebro pod Saragossą. Miasto tym sposobem zostało dokoła szczelnie opasane; pomimo to Hiszpanie wciskali się pomiędzy obozowiska franko-polskie i mordowali pojedynczych żołnierzy. Takiemu losowi uległ podporucznik 3-go pułku Legii Berger, którego wysłano na lewy brzeg Ebro do marszałka Mortiera, aby jako obeznany, z czasów pierwszego oblężenia, z tamtejszym terenem, był marszałkowi pomocnym. Berger pojechał z małą eskortą huzarów: schwytany przez Hiszpanów, zamordowany został.

Na prawym brzegu Huerby wznosiła się fortyfikacya na wzgórzu zwanem Monte-Torero, którą trzeba było koniecznie zająć przed rozpoczęciem oblężenia. Ruszyła tam brygada złożona z 3-go pułku Legii i 44-go francuskiego i wzięła szturmem. Odtąd rozpoczęło się regularne oblężenie. Sypano okopy, robiono podkopy i posuwano się wolno, ale ciągle pod mury Saragossy. Służba była niezmiernie uciążliwa i nużąca. Żołnierz przechodził wielkie cierpienia i narażony był na ciągłe niebezpieczeństwo. Porucznik Brandt wysłany przez Chłopickiego z małym oddziałem do Alagonu, dla ściągnięcia przebywających tam żołnierzy Legii, zachorował i musiał być przeniesiony

do lazaretu. Oto jak opisuje ten lazaret i swą chorobę, co da nam zarazem miarę cierpień biednych polskich straceńców.

„Lazaret znajdował się w odosobnionym budynku dawnego klasztoru. Codzień wyrzucano zeń umarłych przez okna, zabierano na wozy i o kilkaset kroków od budynku grzebano całymi warstwami. Hiszpańscy grabarze pełnili tę służbę, jak mi się zdawało z wielką radością. Kiedy ich raz zagadnąłem, ilu już ludzi mogli pochować, ukazali z fanatycznym zadowoleniem na wielkie mogiły i dodali: „spodziewamy się wielu jeszcze pogrzebać“.

„Znalazłem się wkrótce w stanie zupełnej nieprzytomności i nie wiem, jak długo leżałem w lazarecie. Pewnej nocy poczułem dotkliwe zimno, ocknąłem się, jakby ze snu przykrego i znalazłem się ku wielkiemu przerażeniu pomiędzy umarłymi. Okropne, zabijające wyziewy zatruwały powietrze. Chociaż osłabiony byłem nad wszelkie pojęcie, zerwałem się jednak, ale zaraz opuściły mnie siły, wywołane na chwilę przerażeniem i upadłem napowrót na łóżko boleści, a raczej na warstwę zwłok ludzkich ohydnie cuchnących. W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł lekarz naszej dywizji pułku 3-go. Przysłał go baczny na wszystko pułkownik Chłopicki, który zasłyszawszy o nędznym stanie lazaretu, przysłał tu umyślnie lekarza sztabowego, ażeby się przekonał o prawdzie.

Człowiek ten poznał mnie i kazał niezwłocznie przenieść do innej izby. Otoczył mnie możebną w takich okolicznościach opieką i dzięki temu, oraz młodości mojej, postawił wkrótce na nogi“.

Pod Saragossą tymczasem oblężenie się posuwało naprzód. Trzeba było brać pokolei szturmem wszystkie wysunięte forty. D. 11-go stycznia 1809 r. uderzono na klasztor św. Józefa. Poszło tam 250 woltýżerów polskich z pułku 2-go i 3-go i tyluż Francuzów. Klasztor został wzięty, w którego długich, ciemnych, ponurych korytarzach wewnętrznych został raniony porucznik 2-go pułku Sośnicki. Po zdobyciu klasztoru żołnierze polscy powynosili z kościoła figury i posągi świętych, poubierali je w mundury i kaszkiety poległych towarzyszy, i oparli je o mur. Hiszpanie myśleli, że to nasi i strzelali do nich, a żołnierze cieszyli się z tego.

Nie było się jednak z czego cieszyć. Nędza wielka panowała między oblegającymi. Żołnierz po kilkakroć był na pół racyi chleba, a mięsa wcale nie było. Mieszkańcy chroniąc się do Saragossy, unieśli wszystką żywność ze sobą. Dopóki franko-polskie wojska były silniejsze, można było wysyłać oddziały na poszukiwanie żywności po wsiach, ale gdy odeszła dywizja Sucheta, gdy pozostało zaledwie 22 tysiące ludzi (w Saragossie było ich 50 tysięcy) nie podobna było myśleć o wysyłce oddziałów. Nędza i głód też był wielki. W braku

innego pożywienia, nasi jedli osły, ale i tych było niewiele ¹⁾. Mimo to żyło się wesoło, zwłaszcza między młodzieżą polską, która humoru nie traciła i figle jej się ciągle trzymały ²⁾.

Gdy taki stan rzeczy panował w obozie oblegających, na tyłach ich, powstała nieomal cała Arragonia. Uzbrajano się wszędzie i armia polsko-francuska była dokoła otoczona. Od strony wschodniej, po drodze od Tortozy pokazywały się zbrojne i silne liczebnie gromady powstańców. W Fuentes, miasteczku będącem na tej drodze stał generał Vathier z kolumną, w której znajdowała się jedna kompania woltżyerów 3-go pułku Legii

¹⁾ Kradli też sobie nawzajem te stworzenia. Porucznik z 2-go pułku Legii, Kaliński, dostał z kądś osła, a lękając się, żeby mu go nie ukradli w nocy, przeciągnął postronek od osła przez dziurę, umyślnie w baraku zrobioną, i przywiązał sobie do ręki. Jakież było jego zdziwienie, kiedy rano spostrzegł u postronka nie osła całego, ale tylko jego głowę!

²⁾ O takich figlach opowiada bezimienny autor artykułu: „Saragossa“, pomieszczonego w Bibliotece warszawskiej z roku 1850. W 2-gim pułku Legii był chirurgiem batalionowym, Niemiec, Gulicz nazwiskiem, wielki tchórz. Otóż raz, Gulicz przyszedł do szałasów autora, który chcąc chirurga nastraszyć, wziął karabin, nabił go kilku ziarnkami prochu, wycelował do Gulicza i strzelił. Niemiec padł, a krew zalała mu twarz. Przestraszony tem żartowniś przypadł do ranionego, wołając: „*Guliczchen du bist doch nicht todt?*“ Szczęściem Niemiec przyszedł do siebie, ale pułkownik Kąsinowski, gdy się o tem dowiedział, o mało żartownisia do kozy nie wsadził. Pocziwy Gulicz go wyprosił.

i paręset koni lansyerów. Gdy powstańcy posunęli się aż do Belchite, generał Vathier wyruszył przeciwko nim, rozbił i ścigał aż do Alkaniz nad rzeką Gwadalope. Hiszpanie zniszczyli most na tej rzece i zdawali się chcieć bronić przeprawy. Porucznik Lebrun z kompanii woltżyerów polskich, przechodzi rzekę wbród pod strasznym ogniem nieprzyjaciela, wdzierając się do miasta i rozbija wszystko przed sobą. Wszędzie błyszczało bohaterstwo polskie niepożytym blaskiem, niestety! bezpłodnym dla swej ojczyzny.

Poprawiły się losy oblegających, gdy nadciągnął ze swym korpusem marszałek Lannes dnia 22-go stycznia 1809 r. Zaraz też w dniu 27-mym t. m. przypuszczono szturm do miasta. Uderzono na klasztor augustyanów, gdzie poległ podporucznik Mikołaj Dobrzycki. W ataku na Casa de Gonzales, dostaje się do niewoli kapitan 2-go pułku Legii Matkowski, oraz Pągowski, którego Hiszpanie przywiązali do deski i tak obnosili po głównej ulicy El Cosso. Miano go spalić, lecz szczęściem miał na piersiach medalik z obrazem Matki Boskiej. Uznali go więc za „bono Christiano“ i darowano mu życie ¹⁾. W zdobytym gmachu przeraził legionistów polskich widok jednemu ich towarzyszy poległych, okropnie przez

¹⁾ Saragossa w r. 1809, loc. cit.

Hiszpanów pokaleczonych, którzy się musieli nad nimi pastwić.

Ale najważniejszym punktem był wielki klasztor Santa Engracia. Zdobyć tego stanowiska, które bezwarunkowo wiele krwi mogło kosztować, powierzył marszałek Lannes, Polakom i ich dzielnemu wodzowi Chłopickiemu. Ponieważ doświadczenie przekonywało, że wszystkie zagrożone szturmem miejsca, Hiszpanie podminowali, musiano więc wprzód wysłać garść żołnierzy, przeznaczonych zgóry na stracenie, dla przekonania się o istotnym stanie rzeczy. Na takich straceńców przeznaczono dwie kompanie z pułku 1-go Legii, pod wodzą kapitana Nagrodzkiego i garści saperów francuskich. Nagrodzki śmiało wyruszał, przebiega przestrzeń 120 sążni pod silnym ogniem i wdiera się na wyłom, zrobiony kulami i tu pada przeszyty dwoma strzałami. Żołnierze jego jednak usadawiają się w wyłomie, a wyćwiczni dobrze w tego rodzaju wojnie podczas pierwszego oblężenia, usiłują dostać się na dach klasztoru, gdzie miny zwykle najmniej szkodziły. Jeden z woltżerów zabitych na dachu, spadając zawisł na sterczącej z muru belce. Na ten szczególny widok zawieszono w takiej wysokości trupa, Hiszpanie wznoszą zewsząd okrzyki radości. Walka zawzięta i krwawa zawrzała, a reszta kolumny polskiej, czekając na skutek przypuszczalnych min, drżała z niecierpliwości poniesienia pomocy swym

towarzyszom, toczącym śmiertelny bój. Nakoniec generał Lacoste z zegarkiem w ręku daje znak. Chłopicki wysuwa się na czoło swego pułku i głosem grzmiącym ponad huk strzałów i krzyki walczących, woła do owych dwóch kompanij: „hura! trzymajcie się, idziemy do was!“ Jakoż wyruszył pułk pędem i klasztor zdobył. Za jednym zamachem, w entuzjazmie boju, zdobyto zaraz kilka domów na placu Santa Engracia.

Przy tym szturmie pierwszy pułk Legii poniósł znaczne straty. Liczył trzydziestu zabitych, ranni: kapitan Garlicki i porucznik Muszynowski. Atak ten wywarł wielkie wrażenie na Francuzach. W raportach do cesarza generałowie francuscy nie mogli się nachwalić waleczności polskiej Legii i jej wodza. Marszałek Lannes publicznie dziękował Chłopickiemu, a zaraz po szturmie pewien grenadier francuski zbliżywszy się do Polaków, pytał zdziwiony: „jakże z takimi ludźmi kraj wasz mógł utracić istnienie?“ ¹⁾ Niestety! nie wiedział, że ci żołnierze, gdy trzeba było bronić kraju, bronili go niemniej walecznie, ale wodzowie ci, którzy dla obcej sprawy cudów dokazują, dla własnej, ojczyściej, prostego obowiązku spełnić nie potrafia ...

¹⁾ R. hr. Żółtowski: Chłopicki w Hiszpanii (dodatek do „Czasu“ I, 332).

Odtąd, od zdobycia klasztoru Santa Engracia, rozpoczął się szereg okropnych, morderczych walk wewnątrz miasta. Musiano znowu zdobywać każdy dom, każdą ulicę, w czym Polacy, jak zawsze, główny udział mieli. Nie podobna nam się zapuszczać w te nurzące jednostajnością i cuchnące obficie przelewana krwią szczegóły; dość że Saragossa d. 21 lutego 1809 r. się poddała po pięćdziesięciodniowym oblężeniu. Z miasta wyszło 12,000 ludzi słabych, wyschłych, wybladłych, niosących w piersiach zarodki zarazy morowej, która w mieście wybuchła, i przed bramą Portillo broń złożyli. Zwycięzcy zaraz zajęli miasto, które straszny, rozdzierający duszę obraz spustoszenia przedstawiało. Dla Polaków, według zeznań naocznego świadka, dzień poddania się Saragossy był dniem smutku. „Nigdy nie miała przed oczami swemi tak okropnego widoku, opowiada ten świadek, garstka ta z ziemi rodzinnej usuniętych wojowników, którzy walczyli ciągle z narodami zupełnie obcemi dla swego kraju, bez nadziei prawie powrotu do niego, nie jak inni szczęśliwsi, w sprawie własnego narodu, ale w sprawie obcej, dlatego jedynie, aby dopiero kiedyś wolno im było, a przynajmniej ich ziomkom, walczyć o odzyskanie ziemi ojczystej. Nigdy, mówię, los nie dotknął ich tak ciężko, jak na widok tego nieszczęsnego miasta. Miejsca, w których miny poczyniły zniszczenia, okryte

były rozszarpanemi członkami ciał ludzkich. Domy którym miny nie szkodziły, zrujnowano, a wiele nawet powaliło czterdziestodniowe bombardowanie, przez który czas 16.000 bomb wypotrzebowano. Wewnątrz, pomiędzy przyległemi sobie domami, wszędzie pokute przechody, zewnątrz wszystkie wejścia zatarasowane, mury porujnowane strzelnicami, ulice poprzecinane poprzecznikami; wpośród gruzów i trupów, któremi ulice były zasłane, spostrzegało się gdzieniegdzie mieszkańców wybladłych, schorzałych. Przy tej okropnej cichości cmentarzowej, wychylali się oni z domów i wlekli z jakąś przerażającą ciekawością ku swoim zwycięzcom, silili wzrok swój gasnący, niektórzy padali i zaraz kończyli życie. W przeciągu 52 dni tego nadzwyczajnego oblężenia, straciło w mieście życie 54.000 osób różnego wieku i płci, to jest dwie trzecie części wojskowych, a połowa mieszkańców z różnych stron do miasta schronionych. W dniu kapitulacyi 6000 trupów jeszcze nie pogrzebanych, leżało przed kościołami, po rowach i ulicach miasta. Powietrze zarażone dobijało tych, którzy jeszcze pozostali. Zdarzało się, że wkrótce mieli iść za tymi, których pogrzebać nie mieli siły¹⁾.

Taką była ta straszna wojna. Inny świadek polski, po poddaniu się miasta poszedł do ko-

¹⁾ J. Mroziński, loc. cit.

ścioła Nostra Senora del Pilar, i oto jaki opis tego co tam ujrzał, zostawił: „Nie zapomnę nigdy wrażenia odniesionego na widok placu przed kościołem. Pełno tu było trumien, zwłok, modlących się kobiet i dzieci. W niektórych miejscach spoczywało po 10 i 20 zwłok ludzkich, leżących szeregiem lub jedne na drugich. W jednej z trumien spoczywały zwłoki sędziwego jakiegoś człowieka, w błękitnym mundurze i czerwonymi, aksamitnymi rabatami. Nad trumną jego modliła się młoda jakaś dama olśniewającej piękności. Bujny jej włos rozpuszczony spadał w nieładzie na ramiona; oglądała się trwożliwie, jakby szukając kogo oczyma. Przedsień kościoła usłana była literalnie zwłokami, w wielkim przybytku Bożym modliło się mnóstwo kobiet. W bocznych nawach stały trumny, jedna przy drugiej. U ołtarza krzątało się kilku księży. Świątynię przepęniał dym jakiś kłębiący się od sklepienia aż do posadzki. Nie wiem czy były to wyziewy, czy wskutek płomieni licznych świec jarzących, czy może wskutek spękanych kilku granatów, które przebiły sklepienie. Kilku żołnierzy francuskich modliło się z wielką skrucą nieopodal od wielkiego ołtarza“.

„Olbrzymie, niezapomniane, przejmujące do głębi wrażenie czyniły postaci zakwefione, ciche, pogrążone w modłach, zachodzące się od płaczu; monotonne, wpółgłosne modły księży, liczne zwłoki

ludzkie w nawach bocznych i ta cisza przerywana szeptem modlitwy i jękiem zbolełego serca. Oddawna przecie już nawykłem do widoku poległych i ciężko poranionych, a jednak wobec tylu żywotów zgasłych, spoczywających obecnie cicho, doznałem głębokiego wstrząśnienia i wzruszenia. Odbylem później bardzo krwawe kampanie, leżałem i sam niejednokrotnie pomiędzy zmarłymi i pokaleczonymi, ale nigdy już nie mogłem się pozbyć przykrego wrażenia na widok umierających. O! to co widziałem w kościele Matki Boskiej i na placu, głębiej się wryło w moją pamięć, niż później nawet ów szaniec tysiąca umarłych pod Mołajskiem¹⁾“.

Smutek ten, jaki wywierać musiał na polskich żołnierzach widok miasta, broniącego tak walecznie niepodległości swej ojczyzny, zwiększył się jeszcze przez to, że Legia poniosła przy oblężeniu bardzo poważne i ciężkie straty. W poległych liczyła ona 650 ludzi, co na ogólną cyfrę 5000, stanowiło bardzo poważną ilość.

Zostawmy Legią Nadwiślańską marzącą smętnie na ponurych, czerwonych od krwi gruzach Saragossy, a pójdźmy za śladami innych straceńców polskich, którzy w tej dobie właśnie rozpoczęli szereg krwawych, ginących w głuszy dziejowej walk, szereg przygód, mogących śmiało służyć za temat awanturniczego romansu.

¹⁾ Henryk Brandt, loc. cit.

ROZDZIAŁ VI.

Dywizya polska i lansyerowie.

Dywizya polska rusza do Estremadury. — Pułk 9-ty nad Tagiem. — Bitwa pod Almaraz. — Lansyerowie, ich pochód i atak pod Almaraz. — Dywizya maszeruje do Toledo. — Pobyt tam. — Przygody lansyerów. — Wymarsz z Toledo i potyczka w Juvenes. — Konopka i strata szlandarów. — Bitwa pod Ciudad-Real. — Rozbicie jazdy hiszpańskiej pod Santa-Cruz. — Powrót do Toledo.

Dywizya wojsk Księstwa Warszawskiego t. j. pułki czwarty, siódmy i dziewiąty, odpocząwszy sobie nieco w Madrycie po długim, wyczerpującym siły pochodzie, od granic Polski aż do stolicy hiszpańskiej, wyruszyła na zachód razem z korpusem czwartym, którego część stanowiła. Korpusem tym dowodził generał Lefebvre-Desnouette, i składał on się z jednej dywizji francuskiej, jednej niemieckiej i jednej polskiej, pod wodzą generała Lasalle. W pierwszych dniach grudnia 1808 roku, właśnie w chwili, gdy Legia

Nadwiślańska zabierała się do powtórnego oblężenia Saragossy, korpus czwarty, a z nim dywizya polska wyruszyła z Madrytu do prowincyi Estremadury. Szli na Talavera de la Reyna w kierunku Almaraz, gdzie zebrały się znaczne siły hiszpańskie. Z Talavera pułki 4-ty i 7-my poszły ku Almaraz, zaś 9-ty ku Puente del Arzobispo, dla zdobycia tam mostu na Tagu i obejścia pozycyi hiszpańskiej pod Almaraz, którą reszta korpusu miała brać z czoła.

Pułk dziewiąty śmiałym atakiem zdobył most pod Puente del Arzobispo, wśród gwałtownej ulewy, jaka się zerwała. Deszcz był tak silny, że Tag nagle wezbrał i gdy pułk przeszedł, most został zerwany i wszystkie polskie furgony i wozy z żywnością przepadły. Przez cztery dni lał deszcz i pułk nagle się znalazł w bardzo smutnem położeniu. Było głodno, chłodno i do domu daleko. Wykomenderowano dwóch oficerów z oddziałkiem żołnierzy, aby udali się w góry, gdzie pasły się wielkie stada owiec, i żeby sprowadzili nieco żywności. Oficerowie ci tak się spisali, że zabrali gwałtem owczarzom sześć tysięcy kóz i owiec, i dwieście sztuk świń. Zdobycz ta spowodowała wielką obfitość żywności w obozie polskim, jakkolwiek mięso było zbyt tłuste, ztąd przy stanie ówczesnym atmosfery, niezdrowe i wielu żołnierzy się pochorowało. Nakoniec wrócono się za Tag do Talavery. Marsz był niezmiernie utrudza-

jący. Deszcz ciągle padał, strumienie wezbrały, a tu pędzono ze sobą olbrzymią, sześciotysięczną trzodę kóz i owiec. W Talavera pułk dziewiąty połączył się z resztą swej dywizji t. j. z pułkiem czwartym i siódmym, które, jak wiemy, pomaszerowały do Almaraz.

W Almaraz, z drugiej strony Tagu, rozwinęły się znaczne siły hiszpańskie, wobec których trzeba było przejść rzekę, stosunkowo dość szeroką, bystrą i wezbraną przez ulewne deszcze, a przeszedłszy wyprzeć nieprzyjaciela z pozycji. Jak zwykle, trudne to zadanie powierzono Polakom. Na szczęście dla nich, tu w Almaraz pojawili się dzielni lansyerowie polscy.

Świetny ten pułk jazdy, zmniejszony po bitwie pod Tudelą o 400 koni, które zostały przy Legii Nadwiślańskiej i pociągnęły pod Saragossę, puścił się z marszałkiem Neyem na południe w pościg za Palafoxem. Dnia 25 listopada dogнали oni pod Burviedro tylną straż tego jenerała powstańców i znieśli ją zupełnie. Z Burviedro na Calatayud, Guadalexarę, Alcale do Madrytu, żkąd po bardzo krótkim spoczynku, ruszyli za czwartym korpusem ku Tagowi i pod Almaraz połączyli się po raz pierwszy z dywizją polską. Powitanie było bardzo serdeczne tych dwóch garści polskich wojowników, którzy nagle znaleźli się w głębi hiszpańskiej Estremadury. Lansyerowie tak dawno opuścili ojczyznę, nosili dumnie jej sztandar po Włoszech,

owej „ziemi włoskiej“ żkąd iść mieli w takt mazurek do Polski, a zaszli do Hiszpanii, znaleźli świeże wieści z ojczyzny w dywizji polskiej piechoty, nieomal trochę powietrza rodzinnego...

Ale nie było czasu na powitania. Bitwa się rozpoczęła zaraz. Czwarty pułk piechoty księstwa warszawskiego otrzymał rozkaz zdobycia mostu na Tagu i przejścia na drugą stronę rzeki i uderzenia z czoła na Hiszpanów. Zadanie było niezmiernie trudne, tem trudniejsze, że most w dwóch miejscach był przerwany i należało go naprawiać pod ogniem nieprzyjaciela. Uskuteczono to jednak i natychmiast kapitan Franciszek Młokosiewicz, z którego nazwiskiem nieraz jeszcze spotkamy się w tej wojnie, na czele pierwszej kompanii grenadyerów czwartego pułku przeszedł most pod strasznym ogniem kartaczowym i stanął na lewym brzegu Tagu. Za nim podążyła reszta piechoty i w miarę przybywania tworzyła linią czołem do Hiszpanów. Rozpoczęła się uparta i krwawa bitwa, której rozstrzygnięcie przypadło w udziale walecznym lansyerom polskim.

Ci, podczas gdy piechota franko-polska uciekała się z Hiszpanami od czoła i brała byka za rogi przeszli rzekę wpław i uderzyli z boku na lewe skrzydło Hiszpanów. Atak ten wykonany śmiało i ze zwykłą brawurą polską, wprowił Hiszpanów w zamieszanie, a następnie w rozsypkę. Lansyerowie puścili się w pogoń za ucieka-

jącymi i gnali ich do miasteczka Traijllo. Za nimi pociągnęła reszta korpusu, prócz dywizji polskiej, której rozkazano z Almaraz zwrócić się ku północy, ku Plasencyi.

Oba pułki czwarty i siódmy po krótkim pobycie w Plasencyi, pomaszerowały do Talavera, gdzie, jakśmy to już wyżej zaznaczyli, połączywszy się z pułkiem dziewiątym, razem już ruszyły do Toledo. Tutaj czekał ich słodki, i długi spoczynek. Stali tu bowiem Polacy całe trzy miesiące, w bogatej i rozkosznej dolinie Tagu. Miasto nie było zrabowane, było więc żywności dosyć, był spokój i cisza. Żołnierz codziennie otrzymywał swą racją, złożoną z dobrego, choć nieco ciężkiego wina hiszpańskiego, chleba, ryżu, mięsa i słoniny. Spoczywano więc wśród względnej obfitości i bawiono się jak można było. W Toledo istniało więzienie św. Inkwizycyi, a w niem mnóstwo nieszczęśliwych więźniów, których oczywiście zaraz uwolniono. Opowiadania ich o przebytych cierpieniach, zgrozą przejmowały polskich żołnierzy, i zaszczerpiały w nich tę nienawiść gwałtowną do Hiszpanów, tę dziką chęć pomsty, która całej tej wojnie nadała tak okrutny, tak krwawy charakter.

Podczas gdy piechota polska używała zasłużonego spoczynku w Toledo, lansyerowie przebywali daleko, wśród najrozmaitszych przygód i wypadków. Zapúściwszy się w pogoń za uciekającymi zpod Almaraz Hiszpanami, po czterech dniach

pościgu znaleźli się w Portugalii. Za lansyerami ciągnął czwarty korpus, oprócz polskiej dywizji, i także zaszedł do Portugalii. Odcięci wkrótce przez Anglików, przez kilka tygodni nie mieli żadnej wiadomości, co się dzieje z armią francuską i sami sobie musieli wystarczać. Lansyerowie pełnili teraz najcięższą, najprzykrzejszą służbę. Musieli oni strzec całości bezpieczeństwa obozu, i w dodatku dostarczać mu żywności, której korpus całkiem nie miał ze sobą. Wreszcie w końcu marca, robiąc wielkie koło, przez góry Leonu, gdzie dla armat musiano torować drogę, nasi lansyerowie dostali się do Avila. Tu dowiedzieli się, że cesarz Napoleon opuścił Hiszpanię, udając się na wojnę Austryacką. Z nim pociągnął także pułk szwoleżerów gwardyi. Z Avila na Eskuryal, Madryt, pomaszerowali lansyerowie do Toledo, gdzie nakoniec połączyli się z dywizją polską. Dowództwo czwartego korpusu objął generał Sebastiani, gdyż Lefevra cesarz powołał na wojnę austryacką.

Po takich jednak długich i uciążliwych pochodach, lansyerowie nie cieszyli się długim spoczynkiem, w pięknej dolinie Toledańskiej. Już w parę dni po swym powrocie z Portugalii, ułani wraz z całą dywizją polską, zmuszeni byli wystąpić z Toledo przeciw gerylasom hiszpańskim, którzy na południu w znacznej sile się gromadzili. Natknęto się na nich pod Consuegra, gdzie lansyerowie przy pomocy strzelców konnych francuskich,

stanowiących z nimi brygadę, rozegnali wszystko co napotkali przed sobą. Zabrano nieprzyjacielowi cały obóz i wrócono do Toledo.

Jednakże i teraz niedługo spoczywali. Do Toledo doszła wieść, że nad rzeką Gwadianą, w pobliżu Ciudad-Real, zebrały się poważne, bo obliczone na 20,000 ludzi, siły Hiszpanów. W ostatnich dniach kwietnia 1809 r. wyruszono na nich. Dywizja piechotna pomaszerowała drogą na Almonacid i Moro, gdzie się zatrzymała na noc; lansyerowie zaś na Orgas do Juvenes (Jebenes), wioski oddalonej od Moro o milę. Pozycja dla jazdy była jak najgorsza. Wieś leżała wśród wysokich gór, odrosli wielkiego łańcucha Sierry-Moreny; góry te przecinała jedyna droga, pnąca się przez skały w zygzak. Z jednej strony tego połamanego gościńca były niebotyczne prawie góry, z drugiej przepaść, a przecież ta droga w razie ataku stanowiła dla jazdy polskiej, jedyną linią odwrotu. Pułk we wsi rozlokował się kompaniami; piąta kompania będąca na służbie, stanęła pod murem kościoła. Ponieważ znajdowano się w obliczu nieprzyjaciela, wysunięto więc na obu końcach drogi, przecinającej Juvenes, pikiety. Bagaże, kantynierki, furgon pułkownika stanął na placu we wsi, bez żadnej osłony, jakby się znajdowano w ziemi przyjacielskiej i w czasie pokoju.

Tymczasem Hiszpanie gotowali się sprawić lansyerom krwawą łaźnię. Pułk ten jazdy był po-

strachem Hiszpanów, zwali go *los Infernos* (piekielnym) i nie mogli mu nigdy dotrzymać czoła. Kawaleria hiszpańska zawsze przed trójbarwistemi chorągiewkami lansyerów uciekała, a piechota częstokroć nawet w czworobokach oprzeć mu się nie mogła. Była to istotnie garść szalonych straceńców, gotowych z lancami uderzyć na twierdzą nawet, gdyby im kazano. Wywiczeni w wojnach włoskich, przez swego dawniejszego wodza Różnieckiego doprowadzeni w ewolucjach do możliwej doskonałości, oddaleni przeszło od dziesięciu lat od swej ojczyzny, zapomnieli o niej prawie, stali się żołdakami walecznymi niesłychanie, ale współcześnie zdziczeli prawie zupełnie. Straszna była ta jazda, tem straszniejszą dla Hiszpanów, ruchawki zrywającej się do boju od pług i warsztatu. To też władze powstańcze postanowiły raz z lansyerami skończyć i zniszczyć ich zupełnie. Uformowano ośm pułków jazdy pod wodzą jenerała Urbin de Urbino, i na wieść o wpłątaniu się ułanów w ciasne wąwozy Juvenes, zamierzono ich tam atakować.

Tymczasem lansyerowie o niczem nie wiedząc, spokojnie nocowali we wsi. Deżur nocny przypadł właśnie wtedy na kapitana Szulca, oficera pełnego gorliwości i służbisty wielkiego, co jednak tym razem nie wiele pomogło pułkowi. Noc była cicha i ciepła. Placówki przy odjazdach zameldowały kapitanowi, że psy ciągle szczekały w są-

siednich *kortychach* (folwarkach), że po nocy słychać w oddaleniu jakąś stłumioną wrzawę, jakby tętent koni. Szule doniósł o tem pułkownikowi Konopce, ale ten na to uwagi nie zwrócił, utrzymując, że nieprzyjaciel jest jeszcze oddalony o parę dni marszu, nad rzeką Gwadianą. Po północy spadła silna mgła w górach i otuliła sobą całą wioskę. O świcie otrąbiono pobudkę, rozkazano konie rozkulbaczyć i czyścić. Żołnierze się tem zajęli, a oficerowie w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa spali w najlepsze po kwaterach, gdy nagle pikiety dały ognia, a placówki spędzone galopem wróciły do wsi.

Piąta kompania będąca na służbie, dosiadła natychmiast koni i pędem za wieś, ku nieprzyjacielowi wyskoczyła. Mgła jednak nie pozwalała wiele dostrzec; szedł tylko gęsty ogień, który dzielnie wytrzymała kompania, dając tym sposobem czas pułkowi do sformowania się i wystąpienia. Sformował się nakoniec pułk i stanął przy wejściu do wsi. Nadjechał pułkownik Konopka, szef Rutie i Kostanecki. Wreszcie mgła opadła i na wielkie swoje przerażenie dowódca polski, spostrzegł przed sobą długi front kawalerii hiszpańskiej, w gęstych masach stojącej, a przed nią dwie baterie artylerii konnej, ostrzeliwującej kartaczami drogę. Nie było tu co robić i postanowiono cofać się ku wsi Orgas, jakkolwiek ten odwrót, prowadzący po jedynej, wąskiej drodze, przez długie

defilé górskie, mieścił w sobie mnóstwo niebezpieczeństw. Nie było jednak innej rady. Rozległa się komenda: trzema w lewo zajdź, naprzód, stępo, marsz! Pułk złamał się i rozpoczął odwrót. Na czele postępowała ósma kompania, a w niej wachmistrz Wojciechowski, naoczny świadek tego zdarzenia, które potem opisał w swych pamiętnikach. Przed kompanią jechał pułkownik Konopka i szef Rutie. Odwrót osłaniała będąca na służbie piąta kompania, na którą nieprzyjaciel silnie nacierał i zarabiał oficera od warty Stawiarskiego i kilku żołnierzy. Wogóle jednak tylna straż dzielny stawiała opór. Tak przeszli wieś Juvenes i dostali się na drogę do Orgas.

Zaledwie jednak uszli stają pod górę, patrzą, a tu bagaże, furgony i wozy, które były wcześniej wyruszyły ku Orgas, pędem nazad umykają, a za nimi z dobytymi pałaszami gna pułk karabinierów królewskich (*Carabineros reales*), który zastąpił całą drogę. Tym sposobem okazało się, że lansyerowie są otoczeni dokoła, że przed sobą mają dwa pułki jazdy, za sobą pięć i znajdują się w ciasnem przejściu, gdzie nawet rozwinąć się nie można było. Położenie było bardzo groźne; Hiszpanie też przekonani byli, że noga polska zład nie wyjdzie.

Pułk na widok karabinierów zatrzymał się w miejscu, a Hiszpanie powitali go rzęsim ogniem. Dowódca hiszpański wysunął się naprzód

i wezwał lansyerów do poddania się. W odpowiedzi na to pułkownik Konopka dobywa pałasza i woła; „naprzód dzieci!“ W jednej chwili zawarczały chorągiewki, lance spuściły się do ataku, i z wielką furją, przy okrzyku: hura! uderzono na Hiszpanów. Oficerowie hiszpańscy stojący na froncie padli na miejscu; kłóto kogo tylko można było dostać i posuwano się wolno naprzód. Pułk popychał tych, co stali na froncie. Bito się w miejscu, i Hiszpanie z powodu ciasnoty miejsca uparty stawiali opór. Trup padał gęsto i zawałał drogę. Obie strony ani cofnąć, ani posunąć się nie mogły i walka toczyła się między frontami dwóch kolumn. Lansyerowie, jak zwierzę dziki obsaczony przez psów dokoła, zażarcie się bronili.

Szczęściem, że nakoniec przed dzielnością wojowników polskich, Hiszpanie poczęli ustępować. Jazda atakująca lansyerów z tyłu, pierwsza zawahała się i nacierając miękko, powoli zawracała się wstecz. Za nią poszli karabinierowie królewscy, napadający ułanów od czoła. Stawiając coraz słabszy opór lancy polskiej, nie mogąc się cofnąć, wielu złażyło z koni i drapało się w popłochu na góry, lub rzucało w przepaść. W zbitej tej kolumnie zrobił się zamęt. Widząc to ułani wyteżyli wszystkie siły, i krzycząc: hura! z wściekłością rzucili się naprzód. Atak ten poskutkował na tyle, że wielu Hiszpanów zepchnięto z drogi, a resztę zmuszono do pośpiesznego odwrotu.

Droga stała się wolniejszą; z początku ruszono kłusem, następnie galopem. Pułkownik Konopka, szef Rutie i kilkunastu ułanów, będąc ciągle na przedzie i torując sobie drogę szablą i lancą, przebili się najprzód i tak się zapędzili, że wydestawszy się z wąwozu, stracili całkiem swój pułk z oczu. Zjeżdżając z góry, Konopce spadła czapka z głowy, a wachmistrz Wojciechowski jadąc tuż za nim, zsiadł z konia i mimo strzałów sypiących się z góry, podniósł ją i podał Konopce. Ten płakał i wołał: „wszystko straciłem!“ i pędem przez pola gnał ku Mora, gdzie stała polska dywizya piechoty.

Tymczasem pułk wydobywszy się z ciasnego, górskiego wąwozu na równinę, formował się spokojnie na polu, frontem do ciągnącego za nim nieprzyjaciela. Uciekający Konopka, któremu się zapewne zdawało, że pułk będzie się musiał poddać, z miejsca przez które jechał, mógł doskonale widzieć formujących się swoich dzielnych lansyerów. Dlaczego się więc nie zatrzymał? dlaczego nie zatrzymał się Rutie z adjutantami i podoficerami: Krobickim, Karabanem i kilku żołnierzami? Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie. Wspomniany już przez nas Wojciechowski, nie rozumiejąc także tej niepojętej dla niego ucieczki, zajechał drogę Konopce i mówił mu, że pułk na równinie krzywdy sobie zrobić nie da, że niema nic straconego. Konopka nic na to nie odrzekł,

tylko srogo spojrział na mówiącego i pojechał dalej.

Zbliżając się do Mora, dostrzeżono szykujące się pod tą wsią kolumny. Widząc to Konopka i powątpiewając czy to są nasi, choć wiedział, że w Mora piechota stanęła na noc, kazał Wojciechowskiemu z paru ułanami zrobić rekonesans. Ledwie atoli Wojciechowski ujechał kilkanaście kroków, patrzy, a Konopka zawróciwszy konia, leci pędem ku Toledo. Szczęściem Wojciechowski napadł w polu na jakiegoś chłopca, od którego się dowiedział, że w Mora stoją nasi, dogał widocznie nieprzytomnego Konopkę i zawrócił.

Pod Mora zastali dywizyą w szyku bojowym, ze starym jenerałem Valence na czele. Ten spostrzegłszy Konopkę w towarzystwie kilku ułanów, pyta: „a gdzie pułk?“ Na to polski pułkownik z rozpaczliwym giestem wskazując na otaczającą go garstkę, rzekł: „ot, tyle z mego pułku zostało“. Słowa te Valence wprawiły w rozpacz; załamał ręce i płacząc rzewnymi łzami, począł gorzkie czynić wyrzuty Konopce. W szeregach piechoty polskiej także rozlegały się narzekania i domagano się głośno pomsty. Wielu płakało nad losem towarzyszy.

Wśród tego wszystkiego Wojciechowski, który zupełnie nie rozumiał postępowania i naglejucieczki Konopki, zbliżył się do podoficera Karabana i pytał: dlaczego pułkownik tak zmykał, kiedy pułk

wydobył się na równinę i tam prawdopodobnie dał sobie radę z napastnikami. Na to Karaban odrzekł, że „choćby nawet było prawdą, że pułk ocalony, strata nasza jest nieodwetowaną; straciliśmy bowiem godło pułku naszego, godło jeszcze za rewolucyi francuskiej we Włoszech pułkowi dane, godło, które Napoleon zostawszy cesarzem chciał zmienić, a pułk na to przystać nie chciał, a tem godłem są nasze cztery sztandary“.

— Co mówisz? — zawołał Wojciechowski — w piekle chyba były, kiedyśmy je pod Madrytem w zakładzie zostawili.

— Tak, tam zostały z futerałami proporce, a chorągwie, ja, mojem i rękami zapakowałem do mantelzaka, którego w największym sekrecie w furgonie pułkownika był zachowany. Furgon ten pozostał po tamtej stronie góry i pewnie się dostał w ręce nieprzyjaciela ¹⁾.

Wiadomość ta była straszną. Z utratą swoich sztandarów, pułk tracił istnienie jako jednostka odrębna, a służący w nim prawo do wszelkich nagród. Wśród ogólnej, rzecz można, rozpacz, Valence zdecydował się wysłać ku Juvenes kilka

¹⁾ *Wojciechowski*, loc. cit. Według podań Boekera, sztandary te haftowane były własną ręką cesarzowej Józefiny, co się nie zgadza z twierdzeniem Wojciechowskiego, jakoby je lansyerowie dostali jeszcze za rewolucyi we Włoszech. Wszak prawdopodobniejszą jest wersja Wojciechowskiego, boć przecie pułk we Włoszech nie mógł być bez sztandarów.

kompanij strzelców konnych. nie tyle dla niesienia pomocy lansyerom, których stanowczo uważano za przepadłych, ile dla dowiedzenia się co Hiszpanie robią. Strzelcy jednak przerażeni klęską niepokonanych dotąd, jak ich uważano powszechnie, ułanów, zdaleka tylko manewrowali i wkońcu wrócili z niczem. Wysłano więc batalion piechoty, ale i ten nic się nie dowiedział i nie nie zrobił, i dywizya pogrążona w głębokim smutku ruszyła drogą ku Consuegra. Nagle od prawego maszerującej piechoty, ukazała się ogromna kurzawa, a wkrótce przypadł oficer Stadnicki z doniesieniem, że pułk lansyerów się zbliża. Radość była niezmierna. Stary Valence prawie skakał z uciechy, a gdy spostrzegł wyłaniające się z kurzawy trójbarwiste chorągiewki, rozplakał się jak dziecko, a za nim cała dywizya szlochała. Na czele zbliżających się ułanów, jechał dzielny szef Kostanecki. Wielu żołnierzy było bez czapek, bez lanc i bez pałaszy; znać było na nich straszne zmęczenie, znać, że przeszli ciężką chwilę, ale bądźcobądź utrzymali swą sławę niezwyciężonych.

Podczas bowiem, gdy Konopka przerznawszy się przez Hiszpanów i przypomniawszy sobie zapewne o sztandarach, stracił całkiem głowę i zmykał jak człowiek tchórzliwy albo szalony, pułk bił się i bił się dzielnie. Odrąciwszy, po licznych wysileniach, karabinierów, zastępujących mu drogę w wąwozie, wydobył się nakoniec na obszerną

równinę. Szef szwadronu Telesfor Kostanecki objął dowództwo, i w miarę jak plutony debuszując z wąwozu, wydostawały się na równinę, on je formował w linie szwadronowe. Gdy nakoniec cały pułk się znalazł na równinie, sformowany w kolumnę szwadronową, poprowadził go naprzód i rozmiótł wszystko przed sobą.

Jakkolwiek lansyerowie z ciężkiego i rozpaczliwego prawie położenia wyszli z chwałą i zwycięską ręką, przecież ponieśli znaczne straty. Po przybyciu pułku do dywizyi pieszej pod Mora, zjawiły się jeszcze kupki pojedyncze ułanów, którzy się rozbiegli. Pokazało się, że najwięcej ucierpiały piąta i ósma kompania, z których pierwsza zasłaniała odwrót pułku, a druga idąc na czele torowała mu drogę. Do niewoli dostali się kapitanowie: Szulc i Kajetan Stokowski. Porucznik Stawiarski i lekarz pułkowy, Włoch rodem, Grill, bardzo miły i lubiany w pułku człowiek, polegli. W zabitych, rannych i jeńcach, pułk stracił prawie trzecią część swych sił, bo około dwustu ludzi¹⁾. Wszyscy oficerowie stracili bagaże; przepadł i ów nieszczęsny furgon pułkownika, mieszczący w sobie sztandary. Furgon ten podobno z początku zdołał się szczęśliwie wymknąć, lecz na

¹⁾ Tak utrzymuje Wojciechowski. Dobiecki oblicza stratę na 80 ludzi; Boeker powiada, że 40 ułanów dostało się do niewoli. Najprawdopodobniejsze jednak twierdzenie jest Wojciechowskiego, i dlatego poszliśmy za jego podaniem.

nieszczęście przewrócił się na drodze, i choć lansyerowie znajdowali się kilkakrotnie obok niego, nikt jednak nań nie zważał, bo nikt nie wiedział co on zawiera. Wskutek tej straty, ułani utracili nazwę pierwszego pułku lansyerów, a otrzymali natomiast tytuł „7 pułku szwoleżerów“ francuskich. Konopka z rozrzewieniem, ze łzami w oczach tłumaczył się oficerom jak mógł; mówił, że go koń poniósł i dlatego odłączył się od pułku.

Bądźcobądź, jakkolwiek straty były bardzo dotkliwe, jakkolwiek pułk żałował szczerze swych biednych towarzyszy, poległych Bóg wie za co wśród gór Moreńskich, jednakże lansyerowie utrzymali i tutaj, w wąwozach Juvenes, swą dawną sławę. W podobnem położeniu, na wąskiej, górskiej drodze, otoczona ze wszech stron przez ośm razy silniejszego nieprzyjaciela, każda inna jazda byłaby bezwarunkowo stracona. Trzeba było tylko Maćków polskich, opalonych słońcem włoskiem, straceńców rzuconych aż pod Moreny hiszpańskie, by z takiej matni wyjść obronną ręką. Zawdzięczali to oni swej karności, niepospolitemu męstwu, ufności w lancę polską, i dzielności Kostaneckiego. Nie stracił on ani na chwilę głowy; utrzymywał porządek, i swą postawą marsową, zimną krwią wlewał w żołnierzy odwagę i ufność. Najtrudniejszą rzeczą było wydostanie się z wąwozu, gdy już raz ztamtąd się wydobyli na szerokie otwarte

pole, wtedy lancy ułańskiej nie już oprzeć się nie mogło.

Zpod Consuegra pomaszerowano, już z całym korpusem, ku Ciudad Real nad Gwadianę, gdzie stało 20,000 Hiszpanów. Pod miastem tem stanął korpus dnia 26 marca, w wielką sobotę wieczorem. Zatrzymano się w lesie oliwnym o milę od posterunków nieprzyjacielskich, wśród ulewego deszczu. Nazajutrz o świcie, w sam dzień Wielkiej Nocy wyruszone kolumnami na nieprzyjaciela, który uformował się za rzeką w zamiarze bronięcia mostu i przeprawy przez Gwadianę. Wysunięto artylerię i poczęto most ostrzeliwać, a tymczasem lansyerowie, a za nimi pułk hużarów holenderskich, ruszyli kłusem na most, przebiegli go wśród straszego ognia kartaczowego, i znalazłszy się na lewym brzegu, poczęli się formować. Jenerał Sebastiani uradowany, że tak łatwo przeszedł przez most, przypadł z pałaszem w rękę przed front ułanów i zakomenderowawszy: formuj szwadrony, rozwiń kolumnę! sam poprowadził jazdę do szarży na piechotę hiszpańską. Ta utworzyła karabataliony, ale ledwie miała czas raz dać ognia, gdy już lansyerowie roztrącili ją lancami, przewrócili, przebiegli kłusem Ciudad Real i zajęli tyły Hiszpanów. Wszczęł się szalony popłoch. Śmiały ten i zuchwały atak wywołał takie zamieszanie między powstańcami, że cały ich korpus rzucił się do ucieczki. Lansyerowie

mszcząc się za Juvenes kłóli i rąbali naokoło bez litości, i dowiedli Hiszpanom, jak powiada pamiętnikarz, że „pułk Los Infernos, o którym doniosły im rozkazy dzienne, że został zniesiony, istnieje i rąbie podawnemu, a jeżeli utracił sztandary, to lance jeszcze zachował“. Wzięto tysiące niewolnika, wszystkie armaty, i co jest najdziwniejsza, co znamionuje paniczny przestрах Hiszpanów, że ze strony franko-polskiej w tej bitwie nikt nie zginął.

Piechota hiszpańska rozbita została doszczętnie, a jazda uciekła z pola bitwy. Za nią puścili się w pogoń lansyerowie, a raczej, jak ich teraz zwano, szwoleżerami. Po drodze, na Miguelturra, Almagro ułani zabierali furgony, wozy, bagaże, armaty, jaszczyki kasowe, i doścignęli kawaleryą hiszpańską pod Santa - Cruz, miasteczkiem oddalonem o milę od wioski Alvizoglio, stanowiącej wejście w górskie wąwozy Sierry Moreny. Jazda hiszpańska, której czoło stanowił żółty pułk dragonów, uszykowała się na równinie za miastem. Nie czekając na korpus, leniwie się za nimi wlokący, lansyerowie uderzyli na Hiszpanów i w jednym oka mgnieniu rozmiotli wszystko przed sobą, i gnali kłójąc aż do owej wioski Alvizoglio, gdzie zatrzymali się, nie chcąc zapuszczać się za uciekającymi w niebezpieczne przesmyki górskie. Zabrali całą kasę wojskową hiszpańską, i choć zpomiedzy naszych zuchów nikt grosza przy duszy nie miał,

oddali ją jednak w całości jenerałowi korpuśnemu. Cała droga od Santa-Cruz do Alvizoglio zasiana była trupami owych żółtych dragonów, tak się krwawo mścili lansyerowie za Juvenes.

Nadciągnął nakoniec do Alvizoglio jenerał Sebastiani z korpusem, i stano tutaj trzy dni, odpoczywając po tylu starciach, bitwach i tarapatach wszelkiego rodzaju. Tutaj wszystką zdobycz wziętą Hiszpanom, broń, amunicją, wozy, bagaże, ładownice, pałasze, tornistry, Sebastiani kazał ułożyć na stosie na polu, za wsią i spalić.

Z Alvizoglio, po dokonaniu tego wszystkiego, cofnięto się napowrót ku Santa-Cruz do Valdepeñas. Turozdzielono się. Dywizya piechoty polskiej poszła do Manzanares, a lansyerowie do Toledo, gdzie zaraz poczęli się reorganizować po stratach pod Juvenes i Santa-Cruz.

Wypadki powołują nas teraz znowu do Arragonii, do Legii Nadwiślańskiej, którą po wzięciu Saragossy, oczekiwały niemniej ciężkie przejścia i niemniej krwawe znoje.

ROZDZIAŁ VII.

W Arragonii.

Wycieczki po Arragonii do Moreli i Barbastro. — Kapitan Solnicki w Monzonie. — Alkad i jego śmierć. — Odwrót do Barbastro. — Pochód do Sienny i burza. — Strata w Pomaru. — Odwrót pod Saragossę. — Bitwy pod Alcaniz i Marią. — Odznaczenie się Brandta. — Chłopski generałem brygady. — Starcie pod Belchite. — Marsz do Alcanis.

Po krwawem wzięciu Saragossy, Legia Nadwiślańska, rozdzielona między różne dywizye, nigdy a przynajmniej bardzo rzadko zebrana razem, toczyć rozpoczęła szereg drobnych, uciążliwych, wyczerpujących walk i utarczek z gierylasami, którzy wysuwając się z gór arragońskich, grozili Saragossie, przerywali komunikacye, napadali i niszczyli odosobnione oddziały. Mała ta wojna, niemniej przeto krwawa i zacięta, jest nadzwyczaj trudną do zobrazowania należytego, zwłaszcza, że do dziejów Legii, w tej dobie jej pobytu w Hiszpanii mamy bardzo skąpe i niejasne materyały.

W parę tygodni po ostatecznem poddaniu się Saragossy, brygada jenerała Habert, w której znajdował się pułk drugi Legii, wyruszył na wschód, prawym brzegiem Ebru, dla oczyszczenia tamtejszych okolic od gierylasów. Miasteczka, przez które przechodzono, były puste. W El Burgo np. nie znaleziono żywej duszy, oprócz jednej starej kobiety, pozbawionej zmysłów, która żyła wyżebranym u wojska chlebem. Domy wszystkie stały pustką, zrabowane; na ulicach tylko mnóstwo kotów i niechlujstwa, które tu zostało po stojącej obozem kawaleryi. W Alkaniz, gdzie spodziewano się dopaść nieprzyjaciela, nie znaleziono go wcale. „Dwie kompanie, a w tej liczbie i moję, opowiada naoczny świadek, odkomenderowano do zajęcia, tak zwanej cytadeli. W przybytku tym o wysokich murach uganiał się wiatr szalony. W niektórych tylko zakątkach zamku można było rozniecić ogień; musieliśmy się obchodzić bez światła i ognia. Drżeliśmy od zimna jak w febrze, gdyż drzewa dostarczono nam tak skąpo, że ledwo starczyło na zgotowanie strawy. O! lepiej stokroć bić się z nieprzyjacielem, niż używać tego rodzaju wypoczynku“.

Z Alkaniz pułk drugi Legii, w towarzystwie kilku pułków kawaleryi francuskiej ruszył na Monroyo do twierdzy Morelli, dla jej oblegania. Jeden batalion tylko został w Alkaniz, zkąd pomaszrował do miasta Kaspe i połączył się z trzecim

pułkiem Legii. Przeszedłszy tu most na Ebrze, ruszono na północ, gdzie, jak wieść niesła, nad rzekami Ciuko i Segre, znajdować się miały znaczne siły nieprzyjacielskie, pod wodzą generała Pereny. Na Penalwę, Fragę, Beluer doszli do ładnego miasta Monzonu, gdzie pozostały dwie kompanie polskie pod dowództwem kapitana Solnickiego, reszta zaś brygady zajęła Barbastro. Solnicki był to stary żołnierz, który z niejednego pieca chleb jadał, a choć nie był uczony w czytaniu i pisaniu, zato wybornie się znał na rzemiośle wojennem. Tego rodzaju oficerów zwano w Legii „wygami“. Stary wyga Solnicki zostawszy w Monzonie z dwiema kompaniami zaledwie, jakby na straconej pikiecie, zajął przedewszystkiem zamek górujący nad miastem, w mieście zaś samem patrolował ciągle, podobnie jak i w sąsiednim lasku oliwnym. W zamku znaleziono dziesięć armat śpiżowych i dwa moździerze, ale wszystkie nie miały lawet; przy pomocy jednak belek, lin i desek ustawiono tę artylerią jak można było na murach, forteczka improwizowana nieźle się na zewnątrz przedstawiała.

Jak dalece wojna ta była straszną i nieubłaganą, świadczy fakt, który się przydarzył w Monzonie, właśnie podczas pobytu tamże legionistów, o którym opowiada jeden z pamiętnikarzy polskich.

„Wkrótce po naszym przybyciu, miałem interes urzędowy i nie biorąc żadnej straży przyboecznej, udałem się prosto do domu alkada. W wielkiej sali przedsiensia zastałem całą rodzinę. Ojciec rodziny i miasta grał na gitarze i śpiewał narodowe pieśni ludowe, być może, iż prawdziwie pohiszpańsku, ale też i serdecznie źle. Na zapytanie, czy jestem muzykalny, wziąłem w ręce gitarę i po kilku akordach, odśpiewałem jakąś pieśń niemiecką i nakoniec kilka krakowiaków. Zdaje się, że ojcu, a szczególnie córeczkom dość się to podobało i *sennor don Enrique*, to jest ja, uzyskał odrazu wstęp do domu. Mogłem przychodzić kiedy mi się podobało“.

„Pewnego rana, gdy jak codziennie obchodziłem ulice miasta, uderzyło mię niezwykle zebranie ludu przed domem alkada. Zbliżyłem się żywo. Jako osobistość dość znana w miasteczku, wszedłem śmiało pomiędzy ludzi. Ze sposobu jednak, w jaki mi się ustępowano z drogi, zauważyłem, iż zaszło coś niezwykłego. Drzwi domu alkada otwarte były naościę, on sam leżał na posadzce przeszyty kulą w piersi. Lud zgromadzony na ulicy, przypatrywał się temu prawie obojętnie.

— Uważany był za *Afrancesado* (przyjaciela Francuzów), mówili mi niektórzy pociechu. Inni twierdzili, że czynu tego dopuścił się jakiś kontrabandzista z osobistej zemsty, słowem każdy

z obecnych podawał inną przyczynę śmierci alkada. Gdy wieczorem powtórnie chciałem wejść do domu alkada, zastałem drzwi pozamykane. W pierwszej chwili sam sądziłem, że skrytobójstwo było skutkiem osobistej zemsty, ale nazajutrz nie dostarczano nam już zwykłych porcyj żywności. Dano mi zatem rozkaz udania się do pana Sindico i Escribano, dwóch innych członków junty miejscowej, ale gdy nam dano wiedzieć, iż panowie ci wyjechali, wiedzieliśmy już co to znaczy. Na targ, który się zwykle odbywał w tym dniu, nie przybył ani jeden przekupień z okolicy, w mieście widać było tylko kobiety i dzieci ludności warstwy niższej.

Fakt ten charakteryzuje dosadnie tę straszną, krwawą wojnę. Nie przebaczone nikomu i niczemu. W okolicy kręcił się generał hiszpański Perena, mając główną kwaterę w Tamarita, wiosce leżącej niedaleko Monzonu. Solnicki wysłał tam jedną kompanię, która wyrzuciła Hiszpanów i zajęła wieś. Tym sposobem jedna kompania stała w Monzonie, druga w Tamaricie. Komunikacje między temi dwiema miejscowościami były bardzo często przerywane przez gierylasów. Radzono sobie na to, jak można było. Chłopi hiszpańscy nosili listki oliwne, skrawki papieru itp. drobnostki, nie wiedząc o tem i nie przeczuwając ich znaczenia.

Bądźcobądź położenie było dość niebezpieczne i niepokojące. Otrzymano nakoniec rozkaz, by dnia 7 maja opuścić Monzon i skierować się ku Barbastro dla połączenia się z resztą brygady. Było to dość trudnem do wykonania z taką garstką ludzi, wobec mnóstwa gierylasów przepełniających całą okolicę.

Wysłano najprzód chorych i bagaże, pod osłoną 25 ludzi i oficera. Ledwie atoli ten oddziałek opuścił miasto, został zaatakowany przez nieprzyjaciela, który mu zabrał muły, trochę rzeczy i zmusił do odwrotu do miasta. Wyruszone już teraz razem, stoczono żwawą utarczkę w lasku oliwnym i wśród ciągłego prawie boju, przybyło szczęśliwie i cało do Barbastro. Tu stano kilka dni.

„Pobył w Barbastro, opowiada cytowany przez nas pamiętnikarz, wystawił na próbę cierpliwość krewkiego generała Haberta. Codzienne wieści niepokojące o pochodzie Pereny, bliskość gór, fałszywe wieści o wielkich siłach nieprzyjacielskich, wywoływały wzburzenie w ludności miejscowej i uzuchwalały ukrytych ochotników hiszpańskich. Napadano na oddalone straże w polu, zniewalano pojedynczych żołnierzy do opuszczania placówek bez karabinów, i jak na nieszczęście trafiało się to zawsze Francuzom, co tem bardziej jątrzyło generała. Generał miewał z tego powodu przemowy górnołotne, zwoływał sąd wojenny, ale wszystko to nie pomagało; zbiegowstwo opa-

dniętych przez Hiszpanów placówek powtarzało się co nocą“.

Nakoniec d. 12 maja wyruszono z Barbastro i rozpoczął się szereg rozmaitych, niesłychanie nużących i prawie zawsze bezkorzystnych pochodów. Na Sarinena maszerowano do Sienny, gdzie spotkała brygadę straszna burza. Obalała ona konie, muły juczne a nawet ludzi. Małe strumyki urosły na wielkie i gwałtowne rzeki. Cały oddział rozprysnął się i zmieszał tak, jak gdyby poniósł wielką klęskę. Szczęściem, że burza nie trwała długo i dowieczono się do wioski Syksena, gdzie odpoczęto w obszernym klasztorze. Ztąd odbył się pochód do miasteczka Alkolei nad Cinką, którą tu generał Habert chciał przejść. Ponieważ jednak na przeciwnym brzegu ukazały się wojska hiszpańskie, zaniechano więc przeprawy i puszczone się w górę rzeki ku Pomaru. Tutaj brygadę spotkała przykra strata.

„Były w Pomaru dwa wielkie promy, opowiada świadek naoczny, z których każdy mógł zabrać po pół kompanii przeszło. Zatrzymano wojsko u brzegu w szyku bojowym. Rozpoczęła się przeprawa pod osłoną kilku dział. Najprzód wysłano wołyżerów 74 i 116 pułku francuskiego, drugiego pułku nadwiślańskiego i grenadyerów pułku 116-go, razem 8 kompanij i 50 kirasyerów. Przeprawa szła dość żwawo i w porządku wzorowym. Kompania muszkietierów naszego pułku

(2 Legii) poczęła się była właśnie spuszczać ku łodziom, kiedyśmy spostrzegli jak generał Habert tratował nogami jednego z przewoźników. Nikt nie umiał sobie zdać sprawy w czem zawinił ten człowiek i później dopiero dowiedziano się, że doświadczony przewoźnik ostrzegał generała, ażeby powstrzymał na chwilę przeprawę wojska, gdyż wskutek przerwania się chmury w górach, rzeka wzbierze wkrótce i zagrozi życiu znajdujących się ludzi na łodziach. Ostrzeżenie to, które generała tak dalece wzburzyło, miało się wkrótce sprawdzić. Woda przybywała tak nagle i z takim impetem rozpierała brzegi, że musiano zwrócić kilkudziesięciu muszkietierów znajdujących się już na promie. Fale spienionej rzeki niosły olbrzymie kamienie, urwiska skał, drzewa i bale, grube liny promu prysnęły jak nitki. Woda wystąpiła niebawem z brzegów tak groźnie, że wojska musiały się cofnąć na płaskowzgórze nad brzegami. Generał uganiał tam i sam nad brzegiem, usiłując się porozumieć z wojskiem przeprawionem już na stronę przeciwną, ale huk spienionych bałwanów zagłuszał jego głos potężny. Wpadł potem na myśl, ażeby rzucono kilka granatów próżnych, wewnątrz z rozkazami, lecz i ten pomysł się nie udał. Nakoniec wezwano ochotników, którzyby się podjęli przebycia wpław i zanieśienia rozkazów ustnych, ale wielu mężnych przypłaciło to życiem nim do połowy rzeki zdołali

przepłynąć. Jednemu tylko się udało dostać przez rozszalałe fale na obłom skały, z kądem usiłował na migi wykonać polecenie. Nareszcie zdaje się, że stracił siły i runął w odmęt“.

„Wkrótce część naszych wojsk na drugim brzegu znikła nam z oczu, a brygada rozbiła obóz na wzgórzach. Niepokojni o los odciętej kolumny, ruszyliśmy nazajutrz ku Monzonowi. Za zbliżeniem się naprzeciw tej miejscowości przywitani nas Hiszpanie ogniem. Rzucono granaty, rozpoczęła się strzelanina bezowocna aż do wieczora. Dnia 18 maja przybyliśmy napowrót do Barbastro, które zajęto bez oporu. W d. 20 na placówce za miastem, spostrzegłem zdala jazdę. Ponieważ mi się zdawało, że z tej okolicy mógł nadciągnąć nieprzyjaciół, dałem więc wiedzieć o tem i niezwłocznie wyprawiono oddział naszych kirasyerów przeciwko rzekomemu nieprzyjacielowi. Wielka była radość i niespodzianka, gdy w zbliżającej się jeździe poznano kirasyerów, którzy w dniu 16 maja przeszli na brzeg przeciwny. Od nich dowiedziano się o losie 1,000 żołnierzy, wyborowych kompanij brygady, którzy padli ofiarą uległszy nieprzyjacielowi. Ja zaś dodam, iż kolumna ta była raz ofiarą nieogłędności swego komendanta i generała Haberta, którzy nie użyli odpowiednich środków w celu ostrzeżenia narażonego i odciętego oddziału.

„Nieszczęsna ta katastrofa, którą marszałek Suchet w pamiętnikach swoich przypisuje wypadkom elementarnym, była właściwie skutkiem chwiejności generała Haberta. Gdyby zresztą dowódca owego odciętego oddziału, skoro poznał niebezpieczne położenie, był się skierował ku Monzonowi, opanował tam zamek, który był niedawno w naszej mocy, nie byłoby przyszło do tak smutnych następstw. Naturalnie, że i generał Habert powinien był niezwłocznie wykonać ruch ku Monzonowi z tej strony rzeki. Tymczasem traciliśmy czas na pochodach w górę rzeki, a dowódca odciętej kolumny wpadł znowu na nieszczęsną myśl dostania się przebojem ku Francji. Opierał się wprawdzie dzielnie powstaniu i wojskom Pereny, ale skoro zabiegły mu drogę regularne wojska nieprzyjacielskie i gdy nakoniec brakło amunicji, cała kolumna złożona z tak dzielnych żołnierzy dostała się do niewoli.

„Nieszczęsne to zdarzenie przejęło nas wszystkich głębokim smutkiem. Ale najmocniej bolał generał Habert. Kiedyśmy naprzeciw Monzonu stanęli obozem, widziałem go jak ukryty pod przyczółkiem mostu, stał łamiąc ręce w rozpacz i powtarzał raz po raz:

— Oh, mes pauvres grenadiers! mes braves voltigeurs! (o, moi biedni grenadyerowie! moi dzielni woltyżerowie)

Powtarzał to ze łzami w oczach, ale nie przyszło mu na myśl, temu zresztą tak dzielnemu mężowi, co był mógł, co był powinien uczynić celem uratowania tych biednych grenadyerów. A jednak nietylko ja, lecz i wszyscy niemal oficerowie mniemali, że można było zrobić, jak powyżej wypowiedziałem“.

Z Barbastro znowu zwrócono się na południe-zachód, przez góry Albukierra, wśród uciążliwego pochodu, aż do Villafranca nad Ebro, gdzie znużona niesłychanie brygada, dowiedziała się, że dowódcą 3-go korpusu został generał Suchet. Ztąd posunięto się pod Saragossę, dla jej obrony, gdyż Hiszpanie kusili się o odebranie tej twierdzy, z takim mozołem zdobytej przez franko-polskie wojska.

Cofano się dlatego, że się zewsząd z Arragonii cofano ku Saragossie. Generał Suchet d. 24 maja, po całodzienniej bitwie pod Alcanizem z generałem Blake, zmuszony był wśród nocy rozpocząć odwrót. Noc była ciemna i burzliwa, i wśród tego odwrotu w zmęczonych szeregach polsko francuskich nastąpiło zamieszanie. Zdawało się, że jazda hiszpańska atakuje rejterujących się. Rozpoczęto strzelaninę do siebie, którą ledwo uspokojono. Powodem zamieszania był muł, który się wyrwał.

Po tej niefortunnej bitwie, ściągano wojska z kąd można było do Saragossy i uzupełniano

pułki. Generał Chłopicki nowozaciecznymi, sprowadzonymi z Polski, bo ta biedna Polska nie żałowała wcale krwi, uzupełnił mocno przetrzebione szeregi Legii.

W połowie czerwca, przyszedłszy nieco do siebie, Suchet postanowił wyruszyć przeciw Blakemu, który podsunął się bardzo blisko i zagrażał Saragossie. O siłach hiszpańskiego generała obiegały najrozmaitsze pogłoski; mówiono, że ma tak liczną armią, iż maleńki, dziesięć tysięcy zaledwie liczący korpusik Sucheta, nie poważy się z nim stoczyć bitwy. Suchet jednak śmiało wyruszył, i pod wioską Marią, dnia 15 czerwca natknął się na Hiszpanów.

Od rana rozpoczęły się utarczki, pojedyncze napaści, tyralierka wzajemna, do stanowczego boju jednak nie przyszło. W tych utarczkach wiarusy Legii odznaczyli się jak zwykle. Kompania woltysterów 2-go pułku Legii wytrzymać musiała gorącą przeprawę z szarżą jazdy hiszpańskiej. „Okolo południa, opowiada dowódca tychże woltysterów, wysforował się cały szwadron dragonów z Numancyi, znacznych zdaleka żółtymi mundurami. Lecieli prosto na punkt, którego ja strzegłem na czele świeżo utworzonej szczupłej kompanii woltysterów. Przewidziałem, że godzą ku mojej pozycji i wstąpiłem na mały nasyp kamieni, zgromadziwszy do koła moich ludzi. Przyjeliśmy Hiszpanów głośnie „hurra“

i dobrze wymierzonym ogniem. Zbliżyli się do nas, rzec mogę, aż pod same ostrza bagnetów, ale nie chcieli próbować ich skutku, gdyż zawrócili wnet napowrót. Druga ich próba nie powiodła się równie lepiej od pierwszej. Za trzecim razem zatrzymali się już i zawrócili z większej odległości. Rzecz osobliwsza, że pierwsze i drugie swoje usiłowanie przypłacili stratą kilku zaledwie ludzi, gdy natomiast w trzecim natarciu stracili mnóstwo koni i wielu jeźdźców“.

„Jenerał Suchet, który się temu przypatrywał zdaleka, posłał rozkaz z zapytaniem, kto jest komendantem tej wytrwale bronionej pozycji i kazał mi za pośrednictwem ordynansowego oficera, kapitana Desaix wyrazić swoje uznanie za bohaterską obronę. W nieustannych natarciach i odpieraniu ataków hiszpańskich schodził czas, aż do południa“¹⁾.

O południu dopiero Hiszpanie ruszyli całą swą linią do ataku. Na prawem skrzydle franko-polskiem stanął jenerał Chłopicki, na czele 1-go pułku Legii i rezerwą z 14-go pułku francuskiego, wspierany przez szwadron lansyerów polskich. Deszcz lał jak z cebra i zamoczył broń. Chłopicki więc ruszył na bagnety, wspierany przez ułańskie lance. Cóż oprzeć się mogło tym dwom rodzajom broni w ręku legionistów pol-

¹⁾ H. Brandt, loc. cit.

skich? Hiszpanie wyparci zostali z pozycji, utraconiejszy przeszło 1000 ludzi i 25 armat, ale cofnęli się we wzorowym porządku.

Atak Chłopickiego był tak piękny i tak stanowczy, że Suchet zwykle skąpy w pochwałach dla Polaków, w czym się nie różnił od innych jenerałów francuskich, tym razem oddał hołd zasłudze wodza polskiego i kazał mu przedstawić oficerów i żołnierzy z pułku 1-go Legii, do krzyżów. Sześciu oficerów i ośmiu żołnierzy otrzymało tę tak upragnioną przez polskich wojowników nagrodę, a Chłopicki mianowany został jenerałem brygady.

Trzeba było ściagać pobitych Hiszpanów, którzy cofnęli się aż do Belchite, obsadzili je mocno i zdawali się mieć zamiar upartej obrony. Legia znajdowała się na lewem skrzydle armii franko-polskiej. Starcie jednak było krótkie. Hiszpanie rozbici w popłochu uciekli, zostawiając znaczną zdobycz w rękach zwycięzców.

Z Belchite przez La Puebla i San Per ruszono do Alkanizu, któreto miasto zajęli z 1-ym pułkiem Legii pułkownik Kaśkowski. Zgromadził on tu znaczne zapasy żywności. W Belchite została kompania 2-go pułku Legii. Qdąd rozpoczyna się w Arragonii szereg drobnych utarczek i walk z gierylasami, istna romantyczna epopeja, której szczegółów niepodobna tu opisywać,

a w której Legia bodaj czy nie główną i, jak zwykle, najkrwawszą odegrała rolę.

Opis tych walk przerwać jednak musimy, by zobaczyć co się dzieje na słonecznych polach Kastylji i La Manszy.

ROZDZIAŁ VIII. Toledo i Almonacid.

Posiłki dla pułku czwartego. — Wypadek w Lipsku. — Pobyt dywizji w Manzanares. — Pojedyncze posterunki. — Czyński w Herencia. — Napad na niego. — Kapucyn Franciscueti. — Kapitan Zdziennicki w Valdepenas. — Lansyerowie. — Marsz Lansyerów ku Manzanalbas. — Otrucie Hołowni. — Straszna zemsta w Villafranca. — Bitwa pod Talavera de la Reyna i śmiała szarża lansyerów. — Dywizya polska spóźnia się na pole bitwy i wypadkowi zawdzięcza swe ocalenie. — Zdzitowiecki i Grotowski w Toledo. — Waleczna obrona tego miasta. — Bitwa pod Almonacid. — Świetny atak dywizji polskiej. — Śmierć pułkownika Sobolewskiego. — Straty polskie. — Smutny los rannych w Ermitażu.

Przed wyruszeniem pod Ciudad-Real, dywizya wojsk księstwa warszawskiego, a mianowicie jej pułk czwarty, otrzymał posiłki z kraju, które przyprowadził do Toledo, adjutant major Józef Rudnicki. Posiłki te składały się ze 106 żołnierzy i kilku podoficerów wyszłych z lazaretu. Szli oni zwykłą drogą pochodu wszystkich wojsk pol-

skich, maszerujących do Hiszpanii. W Lipsku oddziałek ten miał bardzo przykre zajście. Jeden z żołnierzy postawiony na kwaterze u Niemki, nie umiając języka, znaki dawał swej gospodyni, by go nakarmiła i poślanie mu dała. Znaki te musiały być bardzo oryginalne u polskiego Bartka, skoro Niemka sądziła, że żąda od niej rzeczy nieprzyzwoitych. Oburzona w swej niemieckiej skromności, kobieta widać gwałtowna i zła, nie wiele myśląc, cisnęła na żołnierza butelką pełną wódki. Rozgniewany tem żołnierz kopnął nogą Niemkę tak nieszczęśliwie, że padła głową na pieńek raniąc się śmiertelnie. Umarła zaraz potem, wydając na świat przedwczesne dziecko. W mieście wypadek ten wywołał ogólne oburzenie i niechęć przeciw Polakom. Rudnicki rozkazał biedaka, Bogu duszę winnego, z raportem odesłać do Warszawy. Szedł tam właśnie jakiś oddziałek Francuzów, który zabrał ze sobą przestępcę.

Zresztą posiłki przeszły szczęśliwie całe Niemcy. W Sedanie oddano pod rozporządzenie Rudnickiego 300 żołnierzy, dla Legii Nadwiślańskiej, których poprowadził ze sobą do Hiszpanii. Szli zwykłą drogą na Saint-Jean de Luc do Irun i ztąd do Madrytu i Toledo, gdzie stała cała dywizja polska.

Po bitwach pod Ciudad Real i Santa Cruz, jakeśmy to poprzednio powiedzieli, dywizja pol-

ska obozowała w Manzanares a jazda w Toledo, by tam zreorganizować się po stratach w Juvenes. W Manzanares, miasteczku bardzo pięknie położonem, przepędzili wojownicy polscy we względnym spokoju całe trzy miesiące. Żywności i wybornego, ciężkiego wina hiszpańskiego, mieli dostatek. Dokoła we wszystkich miasteczkach i wioskach, rozstawione były posterunki, liczące po większej części po kilkudziesięciu ludzi, rzadko bardzo dochodzące do kilkuset. Byłyto stanowiska nadzwyczaj niebezpieczne. Powstańcy, których tu nazywano brygantami, napadali na te odosobnione posterunki, zabierali je i mordowali. Trzeba było niepospolitej odwagi i niepospolitej czujności, by z takich straconych placówek wyjść cało. Maszerujący z Toledo podporucznik Pęczkowski z czwartego pułku, na czele kilkudziesięciu żołnierzy, został napadnięty w Consuegra i po upartej obronie haniebnie zamordowany.

Porucznik Czyński, z 9-go pułku, wysłany został z 36 ludźmi do miasteczka Herencia, odległego od Manzanares o trzy mile hiszpańskie, dla przywrócenia komunikacji i zabezpieczenia głównego obozu od napadu z tej strony. Czyński, młody człowiek, nudząc się w takiej dziurze, jaką była Herencia, zapoznał się z miejscowym proboszczem, zaprzyjaźnił się z nim, grywał w karty i całe dnie na plebanii przepędzał. Żołnierze zaś stali kwaterą za miasteczkiem, w du-

żym budynku murowanym, będącym niegdyś fabryką oleju. Zabezpieczono się tu od nagłego napadu rowem i palisadą; zaopatrzone w żywność na dwa tygodnie. Zachowywano jednym słowem wszelkie ostrożności i nie napróżno. Jednej nocy bowiem napadło na Herencyą 800 brygantów na koniach, osłach, mułach, pod wodzą kapucyna Franeisqueti z klasztoru Comunnios. O samej północy przyszli oni na rynek miasteczka, gdzie stała placówka, złożona z sześciu żołnierzy. Szyldwach widząc snujące się gęste cienie, zawołał: *qui vive!* Bryganci odrzekli mu na to, że dyabeł, i rzucili się na biednych polskich straceńców, których pomimo rozpaczliwej obrony, wymordowali do nogi. Strzały i krzyki zmusiły kompanię stojącą w olearni, do chwycenia za broń; ponieważ jednak porucznik Czyński był, jak zwykle, na probostwie, wysłali więc po niego podoficera. Proboszcz usiłował porucznika zatrzymać u siebie, ten jednak poszedł do żołnierzy. Tutaj już wrzała walka. Bryganci zacięcie szturmowali do olearni i w rezultacie zdołali ją zapalić, tak, że o świcie zgorzała zupełnie. Hiszpanie powłazili na dachy sąsiednich domów i gęstym ogniem prażyli niczem nieosłoniętych teraz Polaków. Wobec tego Czyński, widząc niemożność dalszej obrony, postanowił się cofać, najprzód na sąsiedni cmentarz a ztamtąd na pole. Jakoż udało się małejemu pol-

skiemu oddziałkowi dostać do cmentarza. Tu Czyński spostrzegł proboszcza, wyglądającego przez okienko w dzwonnicy, zbliża się więc do niego i chce kilka słów przemówić. Ksiądz tymczasem wymierza doń strzelbę, daje ognia i przeszywa mu kulą szyję. Biedny polski wojownik, zginął marnie w zapadłej mieścinie hiszpańskiej. Byłto młodzieniec bardzo dobry, poczciwy, lubiany przez kolegów i żołnierzy.

Oddziałek polski pozbawiony swego wodza nie wiedział co robić. Hiszpanie nieustannie strzelali z domów, okien, dachów. Odstrzeliwano się dopóki można było, ale liczba Polaków zmniejszała się z każdą chwilą. Wszyscy wreszcie wyginęli, dwóch wzięto do niewoli, a jeden ukrył się w gołębniku i ten tylko ocalał, dzięki pomocy jakaś nakoniec nadbiegła z Manzanares.

Gdy bowiem tam usłyszano gęsty ogień, natychmiast wysłano do Herencia cały pułk 9-ty i kilkuset jazdy francuskiej. Spóźniono się jednak. Hiszpanie uprzedzeni o marszu, szybko się cofnęli. Miasto zastano zupełnie pustem: na rynku tylko spotkano starca, który zapewne pozostał tu dla szpiegowania Polaków. Ci spostrzegłszy trupy swych towarzyszy strasznie pomordowane, wszyscy polegli bowiem mieli poobrywane uszy i nosy, oczy wyłupione, wpadli w takie rozdrażnienie, że owego starca natychmiast zakłóli bagnietami, miasto zrabowali i spalili. Za złapanie kapucyna

Francisquettiego naznaczono 5000 franków nagrody. Nagrodę tę wkrótce uzyskał oddział kawalerii francuskiej, któremu udało się schwycić fanatycznego mnicha. Był to mężczyzna z długą brodą czarną, z wiszącym u pasa krzyżem. Uzbrojony był w dwa pistolety, sztylet i pałasz przy boku. Powieszono go w Manzanares.

Taką była ta straszna wojna. Tępiono się, mordowano wzajemnie bez litości i bez miłosierdzia, krwią za krew płacono. Wojna przybrała powoli charakter dziki i okrutny. Rzadko tylko, bardzo rzadko udawało się rozrzuconym dokoła Manzanaresu posterunkom polskim wychodzić cało z nagłych napadów gierylasowskich. Do rzędu takich szczęśliwych, należał kapitan Zdziennicki z 4-go pułku piechoty.

Stał on w miasteczku Valdepenas, w pobliżu Manzanaresu, z jedną kompanią piechoty i dzieściu dragonami francuskimi. Pewnego dnia dowiaduje się, że znaczna siła gierylasów maszeruje na Valdepenas. Zbiera więc swój oddział i cofa się ku Manzanaresowi. Ledwie atoli doszedł do wsi Alaurin, gdy Hiszpanie go doścignęli. Zatrzymuje się więc, postanawiając się bronić. Wieś była opuszczona przez mieszkańców i wszystkie domy zamknięte na głucho. Zdziennicki rozkazuje wysadzić drzwi w jednym z domów, zajmuje go i broni się w nim uparcie. Dom był murowany, jednopiętrowy i mocny, i za jego

ścianami waleczni żołnierze polscy mężny stawiali opór. Bito się w ten sposób przez cały dzień i w nocy bój nie ustał. Hiszpanie korzystając z ciemności zdołali dom podpalić. Wtedy dowódca polski kazał wybić otwór w ścianie do sąsiedniego domu, przeszedł tam i bronił się dalej zacięcie.

Ta mężna obrona uwieńczona wreszcie została pomyślnym skutkiem. Nadbiegła наконец po 48 godzinnej walce pomoc z Manzaneresu i rozpędziła gierylasów. Zdziennicki za tę obronę otrzymał krzyż legii honorowej.

Takiето boje, krwawe walki staczano prawie ciągle przez trzymiesięczny pobyt dywizji polskiej w Manzanaresie. Pułk lansyerów ze swej strony zorganizowawszy się w Toledo, wyruszył zaraz do Valdepenas, owego miasteczka, z którego tak szczęśliwie udało się wydostać kapitanowi Zdziennickiemu. Ponieważ gierylasi napadali głównie od strony południowej, od gór Moreńskich, w których siedlisko mieli, lansyerowie więc zajmując Valdepenas, zasłaniali sobą obóz polskiej piechoty w Manzanares, i narażeni byli na nieustanne starcia z powstańcami. Samo miasteczko zastali opuszczone zupełnie przez mieszkańców, że jednak kraj był bogaty, nie brakowało więc niczego ułanom, i choć codziennie trzeba się było bić, pobyt w rozkosznej krainie Manszy nie przykrzył im się wcale. Już teraz nie

dowodził pułkiem Konopka. W Juvenes popadł w niełaskę i musiał odjechać do Francyi. Z porządku dowództwo przypadło szefowi Kostaneckiemu, ale ten zachorował i leżał w lazarecie w Toledo; drugi szef Rutié otrzymał komendę pułku strzelców konnych francuskich, więc kolej starszeństwa przypadło dowództwo nad lansyerami, znanemu nam już kapitanowi Hupet.

W Valdepenas, w Manszy, ojczyźnie Donkiszota, pędzili ułani polscy rozkoszne życie, które sobie nieraz potem przypominali, „rajem“ je nazywając. Miasteczko leży na obszernej równinie, dokoła otoczone nieprzebranymi winnicami. Żywności tu były ogromne zapasy, a wina taki dostatek, że komendant placu, adjutant Majewski twierdził, iż przez czas pobytu wydał dla wojska do jedenastu milionów butelek¹⁾. Wypili to lansyerowie i pułk huzarów holenderskich, razem z nimi stojący, oraz dywizya polska w Manzanares. Ze zbytku konie nawet myli winem. Kucharze pułkowi ciągle tylko gotowali i piekli. Myśląc, że tu długo pozostaną, karmili wieprze na szynki i kielbasy. Gospodarny Majewski urządził gorzelnię, gdzie wódkę pędzili z wina, a Skarzyński sporządzał doskonałe salcesony i kielbasy. Jadali na srebrze, którego mieli dosyć zrabowanego w różnych miejscach w Hiszpanii.

¹⁾ *Wojciechowski*, loc. cit.

Po każdej wycieczce i utarczce, następowały, jak opowiada pamiętnikarz, wesołe uczty, żarty i śmiechy z wypadków, z których szczęśliwy, kto unosił życie. Żołnierz, mówi dalej ten sam autor, z natury waleczny, gardził niebezpieczeństwem, nie suszył sobie głowy nad tem, co jutro będzie, nie zastanawiał się nad przyczynami wojny, którą prowadził, nad powodem swych poświęceń i ofiar, a jeżeli kiedy westchnął za rodzinną strzechą, w winie hiszpańskim topił smutne wspomnienie.

Ten spoczynek w Valdepenas, przerwał w początkach lipca rozkaz wymarszu nad Tag, na zachód od Madrytu, w okolice Mazanalbas, o sześć mil od Toledo. Tu znowu Hiszpanie dali dowód swej strasznej, nieprzebranej zaciętości. Wincenty Hołownia, oficer, z kilku towarzyszami znalazł się raz u alkada miejscowego w Mazanalbas. Alkad uraczył ich winem, które, jak się później okazało, było zatrute. Wszyscy się pochorowali ciężko i musieli być odesłani na kuracyą do Madrytu. Hołownia ocalał dzięki staraniom doktora Scardini, ale do dalszej służby był już niezdatny i musiał wojsko opuścić.

Drugi, stokroć tragiczniejszy wypadek rozegrał się w małej wiosce Villafranca. Drobnny oddziałek piechoty polskiej, złożony z 20 ludzi, rekonwalescentów, wracających do pułków z lazaretów w Toledo, został napadnięty przez

Hiszpanów i rozbrojony. Zdziczali gierylasi obwiązali biednych jeńców słomą i pakułami w oliwie maczanemi i żywcem spalili. Doniesiono o tem lansyerom, niestety! dość późno, tak, że choć pędem lecieli do Villafranca, przybyli jednak po wszystkim. Zastali już tylko zwęglone trupy swych rodaków. Straszna wściekłość opanowała ułanów na ten widok. Wieś spalili, a mieszkańców bez różnicy płci i wieku do nogi wykłóli.

W parę tygodni potem ułani polscy przyłączeni zostali do korpusu marszałka Victora i ruszyli z nim przeciw Anglikom. Przyszło do krwawej bitwy dnia 26 lipca, pod Talavera de la Reyna, w której ułani, jak zwykle, nowy liść uszczknęli z wieńca sławy. Podczas boju, który wogóle nie przechylał się na stronę Francuzów, pułk dragonów angielskich ubranych czerwono jak raki, ruszył do ataku na jazdę francuską. Stawił mu najprzód czoło pułk 10-ty strzelców konnych i został rozbity; ten sam los spotkał sławny pułk 26-ty szaserów. Jazda francuska rozproszona doszczętnie, w popłochu uchodziła z pola bitwy. Dragoni angielscy wpadli aż na tyły rezerwy francuskiej, wywołując straszny popłoch między wiwandyerkami i bagażami. Zrozpaczony marszałek Viktor przypadł do ułanów i donośnym głosem zawołał: Polacy naprzód! Kapitan Hupet sformował swych dzielnych zuchów, ruszył do ataku i z taką furją uderzył na

Anglików, że ich rozbił, wykłół lub rozbroił doszczętnie. Świetny ten atak ocalił armię francuską od zupełnego rozbicia, tak, że mogła na noc zatrzymać się na pobojowisku i czekać na posiłki, które szybko ku niej dążyły.

Posiłkami temi była dywizya polska. Po trzechmiesięcznym pobycie w Manzanares, rozpoczęła ona w czerwcu szereg marszów i kontrmarszów od Consuegra, aż do Almuradiel, wioski leżącej u wylotów górskich wąwozów Sierry Moreny¹⁾. Przybyto nakoniec po tych bezcelowych, a jednak nużących niesłychanie przechadzkach po Manszy, do Toledo, zkąd wyruszono śpiesznym pochodem na pomoc Victorowi pod Talavera de la Reyna. W dywizyi zaszły wówczas pewne zmiany. Dowódca czwartego pułku Feliks hr. Potocki, zaziębiwszy się mocno, dostał suchot i musiał wracać do kraju, gdzie też wkrótce umarł. Komendę nad pułkiem objął grosmajor (podpułkownik) Wierzbński.

Pod Talavera dywizya stanęła dopiero d. 27 lipca, to jest nazajutrz po bitwie i po świetnym ataku lansyerów. Ledwie Polacy przebyli Tag, gdy otrzymali rozkaz natychmiastowego masze-

¹⁾ W Almuradiel znaleziono tak wyborne wina, że żołnierze polscy zapijali się niemi. Gdy dano znak do wymarszu, chowali się po domach i piwnicach i pili. Gwałtem ich musiano wypędzać do szeregu.

rowania w sam środek zaciętego boju. Na szczęście sprzeciwił się temu komisarz francuski, przykomenderowany do dywizji polskiej, z tej racji, że jeszcze nie rozdano Polakom sucharów, które znajdowały się w furgonach. Furgony te spóźniły się i należało na nie czekać. Wypadek ten ocalił pułki polskie od niechybnej zagłady. Poślana bowiem na ich miejsce dywizja niemiecka, doszczętnie została zniszczona. Polacy byli tylko widzami przez cały dzień bitwy, stojąc w pobliżu gór z bronią do nogi. Późną nocą rozpoczął odwrót i wycofał się w porządku do Toledo.

Dla zasłonięcia odwrotu i dla obrony niezmienne ważnego mostu na Tagu, rozkazano ażeby w Toledo pozostał jeden batalion pułku czwartego pod wodzą szefa Zdzitowieckiego, jeden batalion pułku 9-go, pod wodzą pułkownika Grotowskiego, ogółem tysiąc dwieście ludzi miało bronić dużego i nieprzyjaznego sobie miasta wobec Hiszpanów a prawdopodobnie i Anglików, upojonych zwycięstwem pod Talaverą.

Nasi zajęli Toledo dnia 2 sierpnia. Zatarasowano zaraz bramy miasta gruzem kamieni, gnojem i workami z piasku; przy każdej z nich postawiono na straży jedną kompanię. Samo miasto ogłoszono w stanie oblężenia; zabroniono mieszkańcom zbierania się w większej niż po trzech ilości; po godz. 10-ej wieczorem nie wolno było nikomu pokazywać się na ulicach, a żołnierze

mieli rozkaz do nieposłusznych strzelać. Domy wieczorami winny być zamknięte. Patrole dniem i nocą przebiegały przez ulice. Pomimo tych koniecznych surowości, pułkownik Grotowski, który objął naczelną komendę, łagodnie się obchodził z mieszkańcami, czem zyskał sobie ich sympatya, rzecz ważną w tak rozpaczliwym położeniu, w jakim byli Polacy w Toledo. Przez cały tydzień tego oblężenia, wszyscy prawie żołnierze musieli stać ciągle pod bronią od świtu do nocy, co było niesłychanie nużącym ze względu na gorącą, dochodzącą do 32 stopni.

Nazajutrz po zajęciu przez Polaków, Toledo, dnia 3 sierpnia, zjawił się pod miastem generał hiszpański Venegos, i wezwał załogę by się poddała. Oczywiście odmówiono mu i rozpoczęło się oblężenie, przykre i niebezpieczne z tego względu, że Toledo dokoła otoczone jest górami, dominującymi nad miastem. Góry te zajęli Hiszpanie, ustawili na nich artyleryą i ogromne wyrządzali szkody, tak miastu, jak i jego obrońcom. Mnóstwo kul i granatów wpadało do domów i kościołów. Najgorzej jednak dokuczał nieprzyjaciel ze skał, wznoszących się naprzeciwko mostu. Mostu tego broni wysoka, maurytańska jeszcze wieża, i warta stojąca na niej, była na równej wysokości ze skałami, tak że żołnierz polski, ukryty w strzelnicy, i gierylas hiszpański, przyczajony za odłamek głazu, patrzyli na siebie ze

stosunkowo bardzo bliskiej odległości. Zwykle dwaj tacy przeciwnicy, nim poczęli sobie przysyłać kule, homerowskim obyczajem przeklinali się i wymyślali sobie wzajemnie. Jednej nocy, Hiszpanie okręciwszy słomą koła armaty, doprowadzili ją pod bramę broniącą mostu, aby ją wysadzić. Czujny jednak sierżant, którego nazwiska historia nam nie przekazała, dowodzący wartą, usłyszał ruch i spostrzegł podkradanie się Hiszpanów. Dano ognia, zabito kilku kanonierów, reszta uciekła, porzuciwszy pod bramą armatę. Cały tydzień trwało to oblężenie i zostawiło ono w pamięci uczestników w niem, wrażenie niezmiernie przykre z powodu doznanego cierpienia i niewygód.

Nakoniec w nocy z dnia 9 na 10 sierpnia, oblężeni usłyszeli hasło strzelców nasauskich, należących do dywizji niemieckiej, oraz o świcie spostrzegli trójbarwiste chorągiewki ułanów polskich. Na pomoc oblężonym śpieszył teraz z Aranjuez cały korpus, trzy dywizye: francuska, polska i niemiecka, które po bitwie pod Talavera cofnęły się dla odpoczynku, aż do owej ślicznej miejscowości, ulubionego zacisza monarchów hiszpańskich. Oblężeni postanowili teraz uderzyć wstępnym bojem na zaniepokojonych mocno Hiszpanów ukazaniem się na ich skrzydłach nieprzyjaciół. Grotowski wyszedł więc z miasta na czele swych żołnierzy, uderzył na

zastępujących mu drogę powstańców, wziął do niewoli kapitana hiszpańskiego z kilku ludźmi przy młynie na Tagu, i o parę mil dalej połączył się ze swym korpusem. Hiszpanie pod wodzą sławnego Castaniosa zajęli pozycją pod Almonacid. Liczono ich tam na 50,000 ludzi.

Przeciwko nim wyruszył teraz mały korpus franko-polski. Składał on się, jak wiadomo, z trzech dywizyj: francuskiej, polskiej i niemieckiej, ogółem około 25,000 piechoty, pułku ułanów polskich: 500 koni, dwóch pułków strzelców konnych francuskich, jednej polskiej baterii lekkiej pod wodzą kapitana Kamińskiego, dwóch takichże baterii francuskich, jednej badeńskiej i jednej konnej holenderskiej. Naczelne dowództwo nad tym korpusem miał generał Sebastiani. Dnia 11 sierpnia o świcie, zbliżono się pod Almonacid, miejsce nieśmiertelnej chwały dla polskich wojowników. Zatrzymano się przed frontem linii hiszpańskiej, w lasku oliwnym i śpiesznie szykowano do boju. Dywizją polską, stojącą w owym lasku z bronią na ramieniu, dowodził generał Verley.

Pozycja Hiszpanów była bardzo obronna. Prawe ich skrzydło, wprost Polaków, zajmowało wysoką górę, na której wznosił się starożytny zamek maurytański. Górę tę obsadzili Hiszpanie liczną artyleryą i regularnem wojskiem. Koło godziny 9 rano, dywizya otrzymuje rozkaz zdo-

bycia jakim bądź kosztem owej góry i zamku. Śmiało dzielne szeregi polskie wysunęły się z osłaniającego je dotąd lasu, i bez wystrzału, biegiem rzuciły się naprzód. Powitani strasznym ogniem, zmiatającym całe szeregi, wojownicy nasi nie zachwiali się ani na chwilę, nie zachwiali się również, gdy na nich uderzyło kilka szwadronów jazdy pod wodzą sławnego partyzanta Miny. Z najzimniejszą krwią bataliony formują czworoboki, przypuszczają kawalerzystów hiszpańskich na 60 kroków i rotowym, spokojnym, dobrze wymierzonym ogniem zmuszają do odwrotu. Nadbiega na pomoc holenderska artyleria konna i kartaczami smaga z boku uciekającą kawalerię.

Po tym epizodzie dywizja ruszyła dalej, dopadła наконец owej góry, wdrapała się na nią i bagnetem wyrzuciła z niej Hiszpanów. Pułkownik Sobolewski, dowódca 7-go pułku, dostaje kulą w piersi, pada i woła; „nic to dzieci! naprzód, naprzód, szczęśliwe będę miał skonanie, gdy ujrzę was na wierchołku skały zwycięzcami“. I ujrzał górę w ręku polskich i bitwę wygraną. Cała linia hiszpańska rzuciła się do ucieczki w szarzejące zdala Moreńskie góry.

Straty polskie były bardzo znaczne i bardzo bolesne. Przedewszystkiem dotkliwie uczuć się dała dywizji śmierć walecznego pułkownika Sobolewskiego. Poległ on jak bohater, prowadząc

swych żołnierzy do ataku, poległ na obcej ziemi i za obcą sprawę. Nad jego zwłokami starzy, osiwiali w bojach wiarusi płakali jak dzieci. Na znak żałoby sztandar pułku 4-go okryto krepu, a piewca bojów hiszpańskich, Kantorbery Tymowski, takim wierszem uczcił poległego bohatera.

„Maż nieulekły w boju, nieugięty w cnocie,
Polskiej pod Almonacid przywoził piechocie:
Dzielną ręką zwycięstwa sam przeważył szale,
I śmiertelny zdał życie nieśmiertelnej chwale“.

Oprócz swego pułkownika, pułk 7-my utracił jeszcze szefa batalionu Łubę, kapitana Wiśniewskiego, poruczników Sielskiego, Tomickiego, Gajewskiego i około 200 żołnierzy. Z pułku 9-go zginął szef batalionu Sielski, kapitan Zaleski, porucznik Gurowski. Pułkownik książę Sułkowski utracił konia pod sobą. Z pułku 4-go, zginął podporucznik Kleniewski. Pole bitwy, rozstrzygniętej przez śmiały atak polski, zasłane było trupami. Z obu stron padło około 3,000 ludzi.

Dzień był niesłychanie gorący; termometr w cieniu pokazywał 32 stopnie; ludzie głodni, padali ze znużenia. Mimo to puszczono się w poгон za uciekającymi Hiszpanami. Lansyerowie dopadli ich pomiędzy Morą i Consuegra i wi-

dok proporców ułańskich straszny wywołał zamęt między Hiszpanami. Artylerzyści odrzynie konie od armat, jaszczyków z prochem, bagażów i siadali na nie i uciekali. Zdobyć była znaczna, jakkolwiek okupiona życiem kilkunastu lansyerów. Ktoś strzelił do jaszczyku z prochem, który wybuchł. Od wybuchu tego zginęło, powtarzamy, kilkunastu naszych.

Prócz tych strat korpus poniósł jeszcze jedną, niemniej dotkliwą i bolesną. Podczas bitwy, wszystkich rannych znoszono do wielkiego klasztoru, zwanego Ermitaż, opuszczonego przez mnichów, leżącego w onym lasku oliwnym, z którego dywizya polska wystąpiła do ataku. Zebrało się tu rannych do 400 ludzi, pod opieką trzech lekarzy. Po bitwie, gdy cały korpus puścił się w pogoń za uciekającymi, zapomniano zupełnie o nieszczęśliwych rannych, którzy żadnej nie mieli przy sobie obrony. Skorzystali z tego gierylasi i chłopci z sąsiednich wsi Orgas i osławionej Juvenes, zebrali się w znacznej liczbie, napadli w nocy na klasztor, wymordowali wszystkich rannych i zrabowali. Zginął tu kapitan 9-go pułku Stablewski, który przed wieczorem w dzień bitwy zaszedł do klasztoru, a znużony zasnął tak mocno, że służący nie mógł go obudzić, gdy gierylasi napadli. Przestraszony ordynans dopadł jakiegoś konia

i drapnął do Toledo, nie zapomniawszy wprzód zabrać swemu panu zegarka. Gierylasi Stablewskiemu ucięli głowę ¹⁾.

¹⁾ Boecker powiada, że Stablewski ukrył się w klasztorze z tchórzowstwa.

ROZDZIAŁ IX.

Legia Nadwiślańska.

Charakterystyka wojny w Arragonii. — Przygody Lubańskiego. — Wesoły pobyt w Belchite. — Zajęcie Daroki. — Romans Bradta z zakonnicej. — Jej los. — Bitwa pod Ojos-Negros i pod Origuelą. — Ataki skrzydłowe polskie rozstrzygają bitwę. — Zdobycie klasztoru. — Wybuch ła-dunków.

Podczas gdy takie tryumfy odnoszono na rozkosznych i żyznych dolinach La Manszy, w Arragonii pułki Legii Nadwiślańskiej wiodły życie pełne przygód i nieustannych bojów. Po bitwie pod Belchite powstanie arragońskie nie tylko nie zostało stłumione, ale przeciwnie wzrastało i rozszerzało się z każdą chwilą, a oddziały gierylasów ukazywały się we wszystkich stronach, jak grzyby po deszczu. Teren w sam raz nadawał się do takiej wojny, niszczącej i nużącej najeźdźników. Wielkie góry, sposób budowy miast i wsi, gdzie zwykle domy były murowane i każdy stanowił, rzec można, osobną twierdzę, liczne zamki, fol-

warki ukryte w wąwozach, młyny, kaplice i pustelnie czynią ten kraj prawdziwie klasyczną ziemią partyzantki. Wobec tego, wobec mnóstwa oddziałów gierylasowskich, rzadko tu można było działać większymi masami i na większą skalę. Toczono wojnę ciągłą, drobną, krwawą i mnóstwo czynów bohaterskich, mnóstwo nieznanych śmierci, kryje się przed okiem historyka w tej nieprzejrzałej i nierozplątanej gmatwaninie starć, bojów, marszów i wycieczek.

Kiedyniekiedy jednak zpośrodku mgły, otaczającej całą tę epopeję polską w ziemi hiszpańskiej, wypłynie ku nam fakt jakiegoś pojedynczego bohaterstwa, jakiegoś cudownego, rzec można, ocalenia. Do rzędu takich zdarzeń, należy szereg romantycznych przygód niejakiego Lubańskiego, żołnierza z 3-go pułku Legii.

Zostawiony z patrolem, złożonym z czterech żołnierzy w jednym z miasteczek Arragonii, którego nazwiska relacje pamiętnikarzy nie przytaczają, zagrożony pojawieniem się gierylasów, schronił się do piwnicy domu, w którym stał kwatery z zamiarem wyruszenia w nocy i połączenia się z pułkiem. Dom ten stał na przedmieściu i tym sposobem był do pewnego stopnia odosobniony. Wieczorem jeden z żołnierzy dla zasięgnięcia języka wyszedł ze swego ukrycia, ale natknął się nieszczęściem na Hiszpanów, którzy go złapali, usta chustką mu zatkali i ze sobą unieśli. Lu-

bański widział to, i lękając się, aby schwycony towarzysz nie wydał jego kryjówki, postanowił ją natychmiast opuścić. Jakoż wyruszone zaraz i szczęśliwie dostano się do pobliskiego lasku, przez który szedł gościniec prowadzący w góry. Wszyscy czterej nic cały dzień nie jedli i głodni byli straszliwie. Gdy się naradzają co czynić należy, aby zdobyć choć trochę żywności, słyszą odgłos dzwonka, przyczepionego zwyczajem miejscowym do szyi muła. Ukryli się w krzakach i czekają. Wkrótce nadszedł wieśniak, pędzący przed sobą muła obładowanego żywnością. Lubański wybiega na gościniec i zatrzymuje chłopą. Ten sądząc, że ma do czynienia z jednym tylko, dobył noża i rzucił się na polskiego żołnierza. Na to wypadli jego towarzysze, chłopą schwycili, związali, żywność zabrali, najedli się nią do syta, a resztę zabrali. Muła puszczono, a chłopą związanego rzucili pod drzewo, a sami ruszyli w góry.

Szli całą noc. O świcie ujrzeli zdaleka karabinierów hiszpańskich, liczną artylerję i liczniejszych jeszcze gierylasów, posuwających się ku nim. Nie było czego czekać. Szybko zbiegli z drogi w bok i ukryli się w górskich wąwozach. Gdy Hiszpanie przeszli, nasza czwórka pomaszzerowała dalej gościńcem ku zamkowi, który widziano sterczący zdala. W zamku tym mieszkał hidalgo hiszpański Ramon Perez, wraz z córką panną Anną, niezwyklej piękności Hiszpanką. Wśród swych

błądzeń po Arragonii, Lubański był już parokrotnie w tym zamku, udało mu się zyskać przyjaźń don Ramona, a córki miłość.

Tam więc, w obecnem opłakanem położeniu skierował swe i swych towarzyszy kroki. Lękając się jednak, czy zamek przez powstańców nie jest zajęty, zbliżywszy się do niego, ukrył swych kolegów w krzakach, a sam poszedł na zwiady. Na szczęście pierwszą osobę, którą spotkał, była czarnooka donna Anna. Ta ujrawszy Lubańskiego, położyła paluszek na koralowych ustach, a gdy znaleźli się w bezpiecznem miejscu i dowiedziała się, że Lubański ma towarzyszy, poleciła mu sprowadzić ich do zamku, ale zachowywać się bardzo ostrożnie, by ich nikt nie zobaczył, gdyż gierylasi dziś jeszcze mają tu przybyć. Jakoż bohater nasz sprowadził swych współrodaków, i wszyscy ukryli się na piętrze, w jednej ze sal, gdzie dano im trochę jeść i posłano do spania. Znużeni drogą i doznanemi trwogami ostatnich dni, zasnęli zaraz mocno, jeden tylko Lubański czuwał.

Wieczorem pojawili się powstańcy i przyprowadzili ze sobą stu jeńców francuskich, a między nimi pochwyconego wczoraj legionistę polskiego, gdy z piwnicy wychodził. Noc przeszła spokojnie, ale nazajutrz o świcie gierylasi poczęli mordować jeńców. Kłóli ich bagnetami i sztyletami, a tak poranionych i skrępowanych rzucali

do wielkiego ognia, palącego się na dziedzińcu. Jeden tylko Polak ocalał dzięki donnie Annie, która zdołała go usunąć. Miłość do błękitnookiego Lubańskiego, robiła z tej dziewczyny bohaterkę, robiła ze wszystkich Hiszpanek zakochanych w Polakach do pewnego stopnia zdrajczynię własnej ojczyzny. To też słusznie powiada jeden z polskich wojowników, że „gdyby nie kobiety, noga polska z Hiszpanii nie byłaby wyszła“.

Wśród tych mordów na dziedzińcu zamku Don Ramona Pereza, wśród strasznej trwogi, miotającej Lubańskim i jego towarzyszami, nagle rozlegają się strzały, błyszczą trójbarwiste chorągiewki lansyerów. Za chwilę wpadają oni, kłóją, rozpędzają powstańców i wyswobadzają Lubańskiego.

Takie romantyczno-krwawe historie, takie cudowne ocalenia, powtarzają się w Hiszpanii podczas tej wojny dzikiej nieomal codziennie. To też była to prawdziwa szkoła partyzantki i szkoła bohaterstwa zarazem. Niejednokrotnie oficer z garstką kilkudziesięciu ludzi, rzucony na jakąś straconą placówkę, w jakimś samotnym, wśród gór, domku lub wiosce, siedział zamknięty całe długie miesiące, czuwając nad regularnem przesyłaniem korespondencji, nad rekwizycją żywności, lub konwojując kuryerów. W takim położeniu sam sobie wystarczać musiał, sam wynajdywać środki zabezpieczenia siebie i ludzi swych od nagłego na-

padu, od tysiąca podstępów i zrad. Trzeba było istotnie tylko tej dzielnej gienieracyi, urodzonej wśród łoskotu zapadającej się w grób przeszłości, tej żądzy przygód i dalekich awantur, jaka tkwiła w ówczesnem polskiem społeczeństwie, aby na takich stanowiskach, z ziemią podminowaną pod nogami nieomal, w jakimś zapadłym kącie kraju do dna wzburzonego, pozostawać spokojnym i przytomnym, bez wieści, co się dzieje na świecie nie raz całe tygodnie. W dodatku do tego, na co zresztą uskarżają się wszyscy pamiętnikarze wojny hiszpańskiej, nie chciano oceniać bohaterstwa polskiego, puszczono je w zapomnienie, ale za to najmniejszy błąd, najmniejsze niepowodzenie podnoszono, rozgłaszano wszędzie, nie szczędzono surowych napomnień i nagany.

Na to wszystko jednak nie było rady. Wojownicy polscy pełnili swe obowiązki ściśle i dzielnie i pocieszali się jak mogli. W Belchite i Alkani-zie, gdzie po ostatnich bitwach Legia się zatrzymała, bawiono się bardzo dobrze, z pewnem lekceważeniem przyszłości, bez myśli o jutrze, które dla wielu istnieć nie miało. W Belchite był zamożny obywatel José Bernardo, człowiek już stary, który miał młodą i śliczną żonę. A choć mąż był zaciętym nieprzyjacielem najeźdców, za to żona była stanowczą *afrancesada* t. j. przyjaciółką Francuzów, a raczej młodych i przystojnych oficerów

polskich, których kolejno obdarzała swemi względami.

Te wesołe romanse z młodą żoną starego męża, przerwała wyprawa na gierylasów, pościg za nimi, tak, że wkrótce Legia, w dniu 27 lipca zajęła miasto Darokę, leżące w górach, otoczone dokoła murem i posiadające zamek, który poleceno zająć jednej kompanii drugiego pułku. Szczęściem zmieniono zaraz rozkaz, a właśnie w tej chwili zamek podminowany przez Hiszpanów, wyleciał w powietrze. Odtąd w nieskończonych pogoniach i utarczkach pomiędzy Panizą, Almunia i Elfranso zeszedł czas aż do połowy sierpnia. W końcu sierpnia generał Chłopicki z całą Legią, zajął znów Calatayud i Darokę, gdzie jakiś czas przebyto stosunkowo dość spokojnie.

Tu pamiętnikarz Brandt zawiązał romantyczny stosunek z pewną Hiszpanką. Romans to charakterystyczny z wielu względów. Posłuchajmy jak go sam opowiada:

„Nasz batalion dostał w Daroce kwaterę w klasztorze. Oficerowie zakwaterowani zostali w domu pewnego *consejero real*, królewskiego radcy trybunału. Był to człowiek w wieku podeszłym i chorowity. Gospodarstwem w jego domu zajmował się kuzyn radcy, gwardyan jednego ze zniesionych klasztorów i siostrzenica pana radcy, także była zakonnica zamkniętego klasztoru. Mnich miał około 30 lat życia, młoda *monjita*, zakonnica, liczyła

około 20 lat. Były gwardyan miał w sobie coś z powagi wysokiego dostojnika, ale był uprzejmy. Zapatrywał się dość trzeźwo na sprawy bieżące. Zakonnica, prawdziwa Hiszpanka z ciemnymi oczyma, o gorącym wejrzeniu, cery nieco ogorzałej, spoglądała na wszystko z wielką ciekawością. Nie unikała wcale towarzystwa oficerów, przeciwnie, znajdowała je bardzo miłym, gdyż było ochocze i niewymuszone. Pewnego poranku, kiedym właśnie dopiero co powrócił ze żmudnej służby nocnej, zaprosił mię mnich do swego gabinetu. Słyszałem, *sennor don Enrique*, zagadnął mnie, że pan piszesz dobrze po francusku, chciałem więc prosić pana o zredagowanie mi listu do pana generała Sucheta, w którym chcę mu przedstawić prośbę mego klasztoru. Ponieważ prośba była tak niewinna, że nie zawierała nic sprzecznego z obowiązkami mojej służby, zrobiłem więc bardzo chętnie o co mię prosił. Wystylizowałem list, który się zdawał byłemu gwardyanowi bardzo udatnym. Rozmawialiśmy potem o rozmaitych przedmiotach i o *grand Napoleon*, jak nazywał cesarza z wielką przesadą mój nowy znajomy, o zwyczajach i obyczajach narodów, a nakoniec i o najeździe. Gwardyan mniemał, że najazd wywierał wielki wpływ, szczególnie na kobiety, które wogóle przyjmowały cudzoziemców bardzo przychylnie. Dodał oraz, że wpływ ten objawia się i na *religiosas*, „jakoż widzę, rzekł, że *monjita*

Miguela bardzo jest panu przychylna *sennor don Enrique*“. Miał po części racją, gdyż *donna Miguela* dość nieogłędnie wdawała się w miłostki z oficerami. Ja wszelako mogę o niej wspominać tylko z wdzięcznością, gdyż przez cały czas pobytu mego w domu jej wuja, zajmowała się mną bardzo troskliwie. Uprzejmość podobna ceni się dopiero wtedy, gdy po niewygodach obozowych dostajemy się pod dach, nie zawsze tak gościnny. Ubolewałem później szczerze, że nie byłem w stanie wyratować jej z przykrego położenia. Kiedy bowiem później, w kilka miesięcy znalazłem się w Saragossie i zmieniałem oddział straży w starym zamku inkwizycji, usłyszałem nagle wymówione moje imię. Głos dobywał się z okna piwnicy, opatrzonego w silne kraty. Idąc za głosem, znalazłem zamkniętą w więzieniu *Miguelę* z rozkazu arcybiskupa. Biedne dziecko odziano w suknie pokutnicy i rzucono do lochu. Dowiedziałem się, iż postępowanie jej nieco lekkomyślne ściągnęło na nią tak srogą karę. Nie mogłem, niestety, nic poradzić, ofiarowałem jej tylko niewielką kwotę, ażeby mogła okupić lepsze trochę utrzymanie w tem więzieniu, strasznie bowiem była zmizerniała. To pewna, że liczne jej dobre przymioty, łagodność, cierpliwość i uprzejmość mogły być w innych okolicznościach zrobić z niej dobrą żonę i gospodynię domu“.

Pobyt w Daroce przeciągnął się dość długo, bo do listopada, przerywany kiedyniekiedy krótkimi i zawsze prawie zwycięskimi wyprawami na *gierylasów*. W końcu listopada nadeszły wieści o zbieraniu się wojsk hiszpańskich w górach pod *Teruelem* i *Albaracinem*, nad rzeką *Iloką*, przerywnąjącą bystrym prądem te górskie strony. Dnia 23 listopada wyruszyła z Daroki cała Legia pod wodzą *jenerała Chłopickiego*. Dodano mu kilka oddziałów piechoty i jazdy francuskiej, pod dowództwem pułkownika *Henrioda*.

Hiszpanie zajęli pod *Ojos Negros* nader silną pozycją, co zresztą było bardzo łatwem w tej okolicy górzystej, w której rzeka *Iloka* stanowiła długi wąwóz, łącno mogący ulec zagroźdzeniu. Właśnie Hiszpanie zajęli tego rodzaju stanowisko. Atak od czoła był trudny. *Mimoto Chłopicki* rozkazał kompaniom *woltyżerskim* polskim uderzyć na *Hiszpanów*, schwycić, jakto mówią *byka* za rogi, a parę batalionów wysłał na obejście pozycji przez *Villar del Saz*. *Manewr* ten udał się szczęśliwie i *Hiszpanie* zaatakowani z przodu i z hoku, nie wytrzymali i pierzchnęli. *Ułani Klickiego* puścili się za nimi w pogoń, kłójąc, rąbiąc i rabując jeszcze lepiej. *Zuchy* te wrócili obciążeni znaczną zdobyczą złożoną z broni, pieniędzy, sukien i żywności.

Odpocząwszy sobie na pobojuwisku, *małeńka armia Chłopickiego* ruszyła dalej nazajutrz ku

Origueli nad rzeką Moliną, gdzie w starym klasztorze S. de la Tremedad, miał się obwarować generał hiszpański Villacampa, postrach całej okolicy i pojedynczych oddziałów francuskich. Wkrótce korpus tam dostał się i w pobliżu Origueli zeszedł z drogi w kierunku Albaracinu, na wzgórza porośnięte krzakami, gdzie gęsty zaraz rozpoczął się ogień karabinowy. Parę kompanij polskich zajęło samo miasto Origuelę, gdzie zastano pustki, tylko koty widziano na dachach, a psy na ulicach.

Bitwa wlokła się leniwie, dopiero po południu atak Polaków na lewe i prawe skrzydła Hiszpanów rozstrzygnął bitwę. Ataki te były bardzo świetne i śmiało wykonane. Zdobyto ów klasztor, w którym zamknął się generał Villacampa. Pułki francuskie w zdobytym klasztorze oddały się rabunkowi. „Przykry był widok, opowiada naoczny świadek, jak żołnierze przeistaczali się nagle w tłumy rabusiów. W stajniach klasztornych znalazło się kilkaset paczek z ładunkami i tam niewiadomo z kąd wszczął się ogień. Rabusie, którzy zazwyczaj mniej mają odwagi od ludzi niegodzących na спустoszenie, wynieśli się pierwsi z klasztoru. Suchet zrobił w swoich pamiętnikach wielką rzecz z wybuchu podpalonych ładunków w bocznym zabudowaniu klasztoru. Wistocie jednak eksplozja nie była tak groźna, ponieważ paczki z ładunkami zapalały się częściowo, po jednej lub dwie najwięcej i częściowo też wybuchwały“.

Zwycięstwo to oddało w ręce francusko-polskie dolinę Iloki i na chwilę zapewniło spoczynek biednym naszym wojownikom. Wkrótce przybycie marszałka Sucheta do armii aragońskiej, miało nadać jej ruchom więcej energii i stanowczości, i z początkiem 1810 roku wypadki zaczęły przybierać formę bardziej zwycięską i jednolitą. Nim jednak to opowiemy, zajrzyjmy co się dzieje z dywizją polską w La Manszy po świetnym i krwawym dniu Almonacidu.

ROZDZIAŁ X.

Ocana.

Kleniewski w La Guardia i Rudnicki w Tembleque. — Po-
siłki. — Odwrót za Tag. — Podporucznik Meyer. — Marsz
ku Ocana. — Świetna szarża lansyerów. — Atak dywizji
polskiej. — Czyn ks. Sułkowskiego. — Zwycięstwo. — Po-
chód w góry Moreńskie. — Przejście przez nie. — Utarczka
Ubeda i przyjęcie w niej.

Zwycięstwo pod Almonacid dało znużonym
wojownikom polskim znowu paromiesięczny, do-
brze zasłużony spoczynek. Cała dywizja rozdzie-
liła się na drobne oddziały i pozajmowała różne
miasta i miasteczka w prowincyi Toledo i La
Manszy. To rozdrobnienie dywizyi, liczne patrole
wysunięte ku góróm Moreńskim, spowodowało,
jak zwykle w Hiszpanii, rozmaite, niekiedy we-
sołe, niekiedy znów bardzo tragiczne wypadki.
Niekóre z nich opowiemy tutaj.

W miasteczku La Guardia, leżącym na drodze
z Aranjuezu do Manzanares, stał z oddziałem
czwartego pułku piechoty polskiej podporucznik

Kleniewski, który później poległ w jednej z utar-
czek. Był on bardzo pobożny, i zdarzyło się, że
raz spotkał księdza idącego z wijatykiem do cho-
rego. Jak drugi Rudolf Habsburski, odsłonił z usza-
nowaniem głowę i ukląkł, a ksiądz go pobłogo-
sławił. Pobożność ta, w zdziczałych wojownikach
polskich tej doby bardzo rzadka, ocalała Kleniew-
skiemu później życie, do czego przyczynił się także
miłosny stosunek, jaki zawiązał Kleniewski z czar-
nooką siostrzenicą tegoż proboszcza. Jednej nocy
siostrzenica ta, oraz sam proboszcz zawiadomili
Kleniewskiego, że silne bandy gierylasów ciągną,
by napaść na oddział polski. Kleniewski nie tra-
cąc czasu zajął wielki dom murowany w mia-
steczku, zabarykadował się tam i przygotował do
dzielnej i upartej obrony. Gierylasi gdy to zoba-
czyli nawet nie próbowali napaści, i tym sposo-
bem oddziałek polski, dzięki pobożności jego
dowódcy i czarnym oczom Hiszpanki, ocalał.
Wkrótce potem Kleniewski otrzymał rozkaz po-
wrotu do pułku.

W Tembleque, miasteczku leżącym na tej sa-
mej drodze co La Guardia, tylko bardziej na po-
łudnie posuniętem, stał z batalionem czwartego
także pułku, kapitan Józef Rudnicki, jeden z naj-
lepszych pamiętnikarzy polskich tej doby. Kapitan
stał kwaterą u proboszcza. Skoro się ulokował,
poleciał ordynansowi, ażeby zgotował wieczerzę.
Ordynans, prosty chłop mazurski, nie wiele umiał

pohiszpańsku, musiał się więc tłumaczyć jak mógł. Otrzymawszy polecenie swego kapitana, wziął duży nóż w rękę, poszedł do kuchni i kucharce powiedział, żeby mu dała kurę, pokazując na migi, że ją chce zarznąć i rosół z niej zgotować. Hiszpanka, usłyszawszy wyraz „kura“, widząc nóż w ręku Polaka, który według wieści ludowej uchodził za ludożercę, przestraszyła się mocno i poczęła krzyczeć w niebogłosey o ratunek. Krzyk ten doszedł do Rudnickiego, i zdziwiony nim, kapitan pobiegł do kuchni i począł pytać co się dzieje. Ujrawszy oficera Hiszpanka, padła na kolana i nuż błagać gorącemi słowy, by darował życie najlepszemu w całej okolicy księdzu, że wszystko oddadzą co mają w domu, byle tylko zachowano przy życiu najlepszego *kura*. Ledwie zrozumiał Rudnicki o co idzie. Pohiszpańsku *kura* znaczy *galina*, a *cura* proboszcz. Wytłómaczono kucharce całą sprawę i załatwiono to nieporozumienie. Hiszpanka aż rozpłakała się z radości. Przyniosła mnóstwo drobiu, dobrego wina i wszyscy nasycili się dosyć.

Pułk dziewiąty stał w Chinchon, potem w Ciemposuelos między Madrytem i Aranjuez, w listopadzie zaś zajął samo Aranjuez, gdzie w tej porze koncentrowała się cała dywizya polska. Otrzymała ona posiłki z ojczyzny, po 200 ludzi na każdy pułk, oraz kilku oficerów. Do czwartego pułku przybyli z Księstwa Warszawskiego, pułkownik

Cichocki i Tremo, Dembiński i Woliński i zajęli wyższe stopnie, co oczywiście nie podobało się starym żołnierzom, którzy tym sposobem widzieli zagrozoną sobie drogę do awansu ¹⁾.

Tymczasem Hiszpanie gotowali się do ponownego uderzenia na pułki polsko-francuskie. Junta powstańcza sewilska, z niewzruszoną niczem energią, z patriotyzmem godnym naśladownictwa, niezrażona klęskami, zebrała znowu około 80 tysięcy ludzi i posunęła ich ku stanowiskom polskim. Armia hiszpańska była dobrze uzbrojona, umontowana, zaopatrzona we wszystko i ożywiona najlepszym duchem. Mieszkańcy jej sprzyjali i głośno w Aranjuezie zapowiadali żołnierzom 9-go pułku, że noga ich teraz nie ujdzie.

Pułk czwarty najbardziej wysunięty na południe i narażony przez to na pierwsze ciosy potężnej armii hiszpańskiej, szybko skoncentrował się w La Guardia. Tu przed naciskiem jenerała hiszpańskiego Arizaga, cofnął się do Ocana, miasteczka leżącego w pobliżu Aranjuezu, domagając się posiłków. Na pomoc pobiegł mu pułk dziewiąty i siódmy. Zebrała się więc cała dywizya polska, ale i tu nie mogła ona stawić czoła przeważnym siłom hiszpańskim. Po żwawej strzelaninie, którą przeciągano umyślnie do nocy, by pod jej zasłoną wykonać odwrót, późnym wieczorem,

¹⁾ Rudnicki, loc. cit.

o godzinie jedenastej, przy zachowywaniu nadzwyczajnej ostrożności, wśród martwej ciszy, cofnięto się do Aranjuezu.

Zdarzyło się, że z powodu pośpiechu nie zdołano ściągnąć warty z czwartego pułku, ustawionej przed Ocana od strony Hiszpanów, i złożonej z podporucznika Meyera, jednego podoficera i dwunastu żołnierzy. Warty tej adjutant major Kalisz, będący wtedy na służbie, nie mógł odszukać. Noc była ciemna nadzwyczajnie, pośpiech wielki i warta została. Gdy jazda hiszpańska się zbliżała, biedni straceńcy polscy nie wiedząc o swem smutnem położeniu, dzielnie krzyczeli: halte, qui vive! Jazda zatrzymała się i doniosła swej zwierchności, że Francuzi stoją wciąż w Ocana. Tak było przez całą noc, aż do świtu. Teraz dopiero spostrzegł Meyer, że jest sam jeden w Ocana, i że ma przed sobą całą armią hiszpańską. Nie tracąc czasu ni głowy, zebrał swych ludzi, pędem przebiegł miasteczko, i cały, nikogo nie utraciwszy dostał się do swoich, świetny dając tem przykład, że żołnierz w żadnem położeniu tracić ducha i przytomności nie powinien.

W Aranjuezie, gdzie się skoncentrował cały korpus franko-polski generała Sebastianiego, niepodobna się było bronić. Popalono więc mosty na Tagu i cofnięto się za tę rzekę, gdzie zajęto pozycyą w pobliżu miasta, postanawiając bronić Hiszpanom przeprawę i czekać na przybycie kor-

pusu marszałka Mortiera. Po dwudniowem oczekiwaniu, gdy nadciągnął Mortier rozpoczęto zaraz zaczepne działania. W korpusie zebrana była cała dywizya polska i pułk polskich lansyerów, który z pułkiem 10 strzelców konnych francuskich, tworzył brygadę jazdy pod wodzą generała Parisa. Wśród ulewnego jesiennego deszczu, korpus polsko-francuski przeszedł w bród rzekę Tag i zajął znowu Aranjuez. W samym mieście przed pałacem królewskim, wśród rozkosznych ogrodów tej prześlicznej siedziby, pełnej romantycznych wspomnień, stanął czwarty pułk polski. Dla oficerów pootwierano pokoje królewskie, gdzie na wspianych łóżkach i sofach, przepysznie aksamitem wybitych wybornie się wyspali. Czyż dumny Filip II. mógł przypuszczać, że kiedyś w jego pałacu spać będą jako zwycięzcy, surowi szlachcice zpod Rypina i Przasnysza?

Po krótkim spoczynku ruszono ku Ocana, gdzie rozwinęła się armia hiszpańska. Przodem puściła się brygada jazdy polsko-francuskiej, sławni lansyerowie, wiekuiści postrach kawaleryi hiszpańskiej. Przed pułk ułanów polskich nadbiegł adjutant marszałka Mortiera z rozkazem dzikim i barbarzyńskim, możliwym tylko w wojnie nie politycznej, ale plemiennej, jaką bezwątpienia była ta wojna. Rozkaz rzeczony brzmiał, żeby dziś nie dawali ułani nieprzyjacielowi pardonu. „Na takie

hasło, opowiada pamiętnikarz ¹⁾, każdy z nas pokręcił węsą i czapkę bardziej na ucho nachylił. Słowa te rzucają posępny cień na tych ludzi krwawych od niesprawiedliwej wojny i na te czasy straszne.

Zbliżono się do Ocana. Dzień był chmurny, dzień 18 listopada 1809 r. Bokami, ścieżynkami, przez mały laszek oliwny, ułani wydobyli się nankoniec na szeroką płaszczyznę, na której błyszczały długie szeregi armii hiszpańskiej, a na prawem skrzydle czołem do ułanów polskich, świeciły hełmy owych Carabineros reales, pamiętnych naszym straceńcom z wąwozu w Juvenes. Widać było jak gotują się do szarży. Huppert przebiegł przed frontem swej wiary, zalecając porządek i ściśle wykonywanie komendy.

Karabinierowie ruszyli do ataku. Wiódł ich świetny jakiś wódz na białym koniu, z szablą nagą w garści. Huppert zadowonderował: za broń! a gdy nieprzyjaciel się zbliżył, zagrzmiął polski rozkaz, może pierwszy raz słyszany na tych niwach Kastylii: do ataku broń! Czy brzęk raptownie spuszczonego lanc, czy też mignięcie chorągiewek konie Hiszpanom spłoszyło, dość, że stanęli jak wryci. Huppert obiegił jeszcze raz linią, zalecając porządek i zimną krew. Podczas tego dowódca hiszpański krzyczał przeraźliwie na swoich: „alante

¹⁾ *Wójciechowski*, loc. cit.

lios!“ („naprzód dzieci!“) a gdy to nie skutkowało, zakomenderował: „fuego!“ (ognia). Ale nasi już kłusem gnali naprzód i dzielnie wytrzymali ogień i na komendę: „skróć cugle, pędem!“ z kopyta runęli jak wicher, gdy Hiszpanie zawrócili i uciekli. Wódz ich napróżno krzyczał: alante lios! wkońcu zrozpaczony rzucił pałasz na ziemię i drapnął. Rozpoczął się pościg aż pod samą Ocana, a gdy jeszcze w pogoni wzięli udział szasery francuskie, jazda hiszpańska prawie doszczętnie zniesiona została. Z 3000 koni, które stanowiły siłę kawalerii nieprzyjacielskiej, bardzo niewielu zbiec zdołało, jeszcze mniej wzięto niewolnika. Rozjuszeni ułani, spełniając rozkaz Mortiera, mordowali powstańców bezlitośnie. Zdobyc stanowiło mnóstwo koni.

Noc przerwała tę rzeź. Ułani ścignęli się do wioski, gdzie właśnie piechota polska zatrzymała się po całodziennym marszu. „Radość z odniesionego zwycięstwa dzieląc z ziomkami swoimi, opowiada historyk tych nowożytnych elearów polskich, przy ogniskach każdy opowiadał czyny swoje“. Zwycięstwo okupione zostało stratą generała Parisa, który w czasie pogoni dostał się do niewoli i Hiszpanie go zamordowali.

Ten świetny początek bitwy pod Ocana, dając poznać armii hiszpańskiej niestępną przewagę broni polskiej, zdawał się złe nadzieje rokować dla powstańców. Cały korpus franko-polski

ściągnął już pod Ocaną i nazajutrz miała nastąpić stanowcza bitwa, która oddała w ręce francuskie południową Hiszpanią i wyzwoliła wojska najezdnicze z błakania się poprzód Morenami, które dotąd były dla nich granicą nieprzebytą.

Nakoniec brzask budzącego się dnia rozjaśnił horyzont. Słońce zimowe oświeciło dzień 19 listopada 1809 roku i długie szeregi hiszpańskie. Plac boju stanowiła obszerna równina, przecięta głębokim wąwozem, za którym stały szyki nieprzyjacielskie. Widać je było doskonale. Przed szeregami uwijali się księża z krzyżami, a od miasta wiatr przynosił odgłos dzwonów kościelnych, co dowodziło, że ludność po świątyniach błaga o zwycięstwo. Dywizya polska stanęła na prawem skrzydle z rozwiniętymi sztandarami, jak na paradzie. Koniec tego skrzydła stanowili lansyerowie. Przed nich przy odgłosie trąb i muzyki przyjechał sam marszałek Mortier, zatrzymał się przed frontem i zdjawszy kapelusz, dziękował ułanom za wczorajszą szarżę. Potem mianował kapitana Huppeta szefem szwadronu i kazał sobie podać listę tych, którzy się najwięcej odznaczyli. Gdy mu Huppeta odpowiedział, że wszyscy mężnie walczyli, Mortier jak zwykle nic nikomu nie dał.

Do bitwy dano znak salwą z sześćdziesięciu dział. Była godzina ósma rano i dywizya polska otrzymała rozkaz uderzenia na Hiszpanów. Śmiało przy odgłosie bębnow, z mazurkiem ojczystym

grzmiącym wiarą że „nie zginęła“ po niwach hiszpańskich, z rozwiniętymi sztandarami ruszyły pułki polskich Maćków naprzód. Reszta armii francuskiej z bronią u nogi patrzała na to tragiczne widowisko, nie biorąc w niem wcale udziału. Cały ciężar boju padł jak zwykle na Polaków. Powitani strasznym ogniem chwiać się poczęli, niektóre bataliony nawet, zwłaszcza 9-go pułku, cofały się w nieładzie pod tym gradem pocisków, które kładły całe szeregi. Wówczas dowódca 9-go pułku książę Sułkowski wyrwał podchorążemu orła białego, podniósł go w górę i zawałał: „Wiara! to godło i ten orzeł, co nad głowami waszemi widzicie, poprowadzą nas dziś do pewnego zwycięstwa. Naprzód za mną, a Bóg nas wspierać będzie!“ Mówka ta, acz nie świetna i niebardzo zgodna z prawidłami gramatyki, zrobiła swoje. Pułk wstrzymał się, zawrócił i uderzył z wielkim animuszem i brawurą na powstańców. Bagnet polski zrobił w szeregach nieprzyjaciela straszną rzeź. Pozycja została zdobyta, Hiszpanie na całej linii cofać się poczęli. Polacy w jednej chwili zajęli Ocanę, a poparci przez resztę korpusu doszczętnie rozbili Hiszpanów. W pogoń za uciekającymi puścili się lansyerowie i jazda francuska, ścigając zawzięcie zwyciężonych aż do Manzanares. O godzinie 4-tej po południu walka ustała. Wzięto do niewoli 18.000 Hiszpanów, mnóstwo dział, amunicyi i sztandarów. Z obu stron na po-

bojowisku padło około 12.000 ludzi, a dywizya polska znaczne poniosła straty. Z pułku 4-go porucznik Zembrzycki ciężko raniony, umarł wkrótce po bitwie w Madrycie. Z pułku 7-go poległ: kapitan Sieraszewski, porucznik Gałązkiewicz i adjutant Michalski; z pułku 9-go kapitan Rudnicki, porucznicy Rowiński i Leśniewski.

Za zwycięstwo pod Ocana Francuzi otrzymali liczne nagrody i dekoracye, a Polacy, choć oni wyłącznie bitwę wybrali, jak zawsze pominięci zostali.

Mortier potem ze swym korpusem udał się ku Salamance, a polska dywizya znów się rozlokowała w La Manszy, w Temblaque i jego okolicy, gdzie spoczywała aż do końca 1809 r.

Spoczynek ten wkrótce został przerwany przez wielką wyprawę, jaką Francuzi przedsięwzięli dla przejścia gór Moreńskich i zdobycia całej południowej Hiszpanii. W tym celu skoncentrowali oni kilka korpusów, w skład których weszła cała dywizya polska i pułk lansyerów, który w końcu 1809 roku znaczne otrzymał posiłki z zakładów w Sedan w koniach i ludziach.

W ostatnich dniach grudnia 1809 r. wyruszono na tę wyprawę do krajów, „gdzie cytryna dojrzewa“, gdzie opowiadano cuda o piękności kobiet, wiekuiestej wiośnie klimatu, wybornych winach, różkosznych ogrodach Granady i sławnych granatach andaluzyjskich. Zapowiadano polskim

Maćkom zpod Proszowie i Miechowa, że ujrzą lazurowe fale morza Śródziemnego, kończyny Europy nieomal, świat całkiem odmienny i całkiem dla nich nowy.

Z Tembleque ruszono na Alkazar de Sancta Juan, Tomelloso, Alhambrę, Villannova de los Infantos, przez pyszne płaszczyzny Manszy, pokryte winnicami, i w ostatniem miasteczku, prawie u stóp łańcucha Sierry Moreny, zatrzymali się przez parę dni, przygotowując się do ciężkiej i trudnej przeprawy. Ztąd wzięto się ukośnie ku południo-zachodowi, ku sławnemu przejściu przez Moreny *Des penna perros*, co znaczy „psi grzbiec“. Przodem szli lansyerowie i jazda francuska. Przez dziewięć dni armia francusko-polska drapała się po skałach, dzikim rozmarynem porośłych, po ścieżkach krętych i przepaściстых, po wąwozach, witani wszędzie strzałami, rażeni kulami ukrytych za górami gierylasów. Kilkakrotnie w wąskich przejściach Hiszpanie usiłowali stawić czoło, ale ułani wszędzie ich roztręcali lancami. Nasze Maćki, którzy w ciepłej Hiszpanii od dwóch lat nieomal nie widzieli śniegu, ujrzeni go teraz tutaj na szczytach Moreny i cieszyli się niezmiernie, bo biały ten śnieg przypomniiał im ojczyste niwy i zimy ojczyste....

Nakoniec przedarto się przez góry i na karkach Hiszpanów lansyerowie, a za nimi armia dotarła do miasteczku Las Naras de Tolosa, leżącego

już w Andaluzji. Tu otrzymano nieco żywności, bo w górach trzeba było nieraz dobrze głodu przymrzeć, i ruszono ku miastu Ubeda, gdzie zapowiedziany był dłuższy spoczynek. W tym celu wysłano przodem trzech adjutantów majorów, dwóch płatników, dwóch adjutantów podoficerów i dwóch lansyerów do Ubeda, dla przygotowania kwatery dla dywizji. Na pół drogi spotkali oni kilku dragonów hiszpańskich, którzy okazali chęci nieprzyjazne względem dziewięciu naszych zuchów. Ci niewiele myśląc dobywają pałaszów, uderzają na dragonów i zmuszają ich do poddania się. Rozbrojonych jeden ułan odprowadził do głównej kwatery.

W Ubeda przyjęto dywizję bardzo dobrze. Cała ludność wyległa, by patrzeć na żółte rabaty, na jasnowłose twarze dalekich i niewidzianych tu jeszcze nigdy synów północy. Piękne Andaluzjanki z balkonów powiewały chustkami, lud krzyczał: niech żyje Napoleon! W żadnym mieście nie przyjmowano jeszcze w ten sposób najeźdców. Słodki też oni tu mieli, kilkudniowy spoczynek, po tylu niewygodach i tylu przykrościach w Moreńskich górach. Ładne kobiety, wiekiusta wiosna, ciepłe słońce, wyborne wino andaluzyjskie, robiły z tego krótkiego pobytu w Ubeda prawdziwy raj. Dywizja poniosła tu bolesną stratę, bo w Ubeda pochowano zmarłego z zaziębnienia i niewygód szefa batalionu z pułku siódmego, Kožu-

chowskiego. Ale patrzano ciągle na tyle śmierci, tak przywyknęto do jej widoku, że wypadek ten w niczem nie zaciemnił jasnych dni w andaluzyjskiem miasteczku.

Zostawmy na chwilę dywizję, używającą rozkoszy południowego nieba, gdyż musimy wrócić na północ Hiszpanii, gdzie właśnie w tej porze przechodzi przez góry Pirenejskie, znany nam już pułk polski szwoleżerów gwardyi, pyszni zwycięzcy z wojny austriackiej, ozłoceni słońcem Eckmühlu, wspomnieniami Aspernu i Wagramu.

ROZDZIAŁ XI. Szwoleżerowie gwardyi.

Pochód do Hiszpanii. — Awantura w St. André de Cabsac. — Pobyt w Salvatierra i San Domingo. — Ułarczka z partyzantem Amurem. — Wymarsz nad Ebro do Logrono.

Polscy szwoleżerowie gwardyi, jakeśmy to we właściwym miejscu wspomnieli, pociągnęli byli z Hiszpanii wraz z cesarzem Napoleonem na wojnę austriacką. Idąc tam cieszyli się, że pójdą do „ziemi polskiej“, niestety! nie ujrzeli ojczy-
stych niw, ale po świetnych dniach Wagramu, wrócili znowu na zachód, do Francyi. Późną już jesienią 1809 r., ruszyli do Hiszpanii, przyjmowani wszędzie suto przez Francuzów. Wyprawiano polskim gwardyjakom uczty, bale, obiady. W Chantilly towarzyszyli wielkim uroczystościom cesarskim, i tu nakoniec, w grudniu, otrzymali rozkaz, by 150 koni wyruszyło zaraz z oddziałem majora Delaitre do Hiszpanii. W ogóle,

w różnych odstępach czasu pociągnęło do Hiszpanii około 400 koni szwoleżerów, reszta, wynosząca taką samą ilość, została przy cesarzu i towarzyszyła mu w jego tryumfalnej wycieczce do Holandyi.

Pierwszemi 150 końmi, które poszły z Delaitrem do Hiszpanii, dowodził porucznik Załuski, późniejszy generał i historyk szwoleżerów. Wachmistrzem był tu Dominik Kiełkiewicz, a pierwszym porucznikiem Antoni Jankowski, generał w 1831 r., który tam smutno i tak tragicznie skończył z czasem swą karierę wojskowo-polityczną. W Tours złączono się z dywizyą piechoty gwardyi francuskiej, pod wodzą generała Rognet.

Szli przez Francją wolno, wśród ciągłych uroczystości. W Chatelrault spotkała ich owa skarga o porwanie dziewcząt i spółdzenie małego Polaka, czego szwoleżerowie solennie się wypierali, zwalając winę na piechotę polską. W miasteczku St. André de Cabsac, nad rzeczką Dordogne, przyszło znowu do krwawej awantury, między szwoleżerami a szaserami gwardyi cesarskiej. Niejaki Rebelle, głośny ze swej siły szaser, zaczął w szynku Zielińskiego, szwoleżera, rodem z Pragi pod Warszawą, także niepospolitego siłacza. Zawiazała się kłótnia, do której z obu stron wmieszali się towarzysze Rebella i Zielińskiego. Od słów przyszło do bójki, której rezultat był taki, że Polacy powyrzucali

Francuzów przez okna i drzwi na ulicę. Tu ktoś Rebella ciął w głowę pałaszem tak silnie, że szaser padł na miejscu trupem. Sprawa w takiej małej mieścinie jak St. André stała się głośna, ale ostatecznie ją załagodzono.

Przez Bajonnę, Ustaritz, przeszli Pireneje i granicę hiszpańską pod Ainhone w początkach 1810 r. W Ustaritz przybył kapitan Szeptycki i objął naczelne dowództwo nad całym oddziałem szwoleżerów. Prócz tego uzbrojono ich teraz polskim obyczajem w lance, broń, która tak straszną była Hiszpanom, a tak dzielną w rękach polskich. Na instruktora w robieniu tą broń wzięto z pułku lansyerów wachmistrza Zbroińskiego, znanego nam już ze swej ciężkiej rany, jaką otrzymał pod Galiego, z której jednak się wyleczył. Był to stary wyjadacz, legionista włoski, ułan wyszły zpod dzielnej ręki pułkownika Roźnieckiego, mistrz w robieniu lancą, i wziął się tak gorliwie do szwoleżerów, że wkrótce w niczem nie ustępowali lansyerom.

Pierwsze dłuższe stanowisko w Hiszpanii mieli nasi gwardyacy w miasteczku Salvatierra, między Vitorią i Pampeluną. Zima była ostra; śniegi w północnej Hiszpanii ogromne. Tu staczać musieli szereg drobnych, ciągłych, często-kroć krwawych utarczek z gierylasami, kryjącymi się w sąsiednich górach. Tak przeszła zima, a z wiosną oddzielili się od Francuzów i zajęli

S. Domingo de la Calzada, a właściwie wioskę leżącą w pobliżu, zwaną Grannion. Tu nadeiagnęły inne oddziały szwoleżerów i znowu nieustanne wyprawy w różnych kierunkach ku Logrono z jednej, ku Leonowi z drugiej strony. Stali tu przeszło trzy tygodnie, wśród najróżnorodniejszych przygód, staré i awantur, nadających całej tej wojnie dziwnie romantyczny charakter.

W pobliżu San Domingo, o dwie godziny drogi znajduje się miasteczko Ezcaray, leżące u podnóża wysokich gór De la Demanda; samo ściśnięte dokoła skałami i ukryte w głębokim wąwozie. W górach tych kręcił się śmiały partyzant hiszpański Amur, i pewnego dnia zajął wzmiankowane miasteczko, rekwirując w okolicy żywność, wino i sukno. Tak bliski pobyt gierylasów był nadzwyczaj niewygodny dla szwoleżerów, tym więcej, że rekonesanse hiszpańskie podchodziły pod bramy San Domingo i strzelały do wart. Jednego razu dla spędzenia tych podjazdów, wysłano pluton polskiej jazdy. „Lekko wybraliśmy się, opowiada uczestnik tej wyprawy¹⁾, siodła gołe i wyjechaliśmy z miasta do nich. Oni jak nas zobaczyli, poczęli uciekać, my zaś za nimi goniąc tak zapamiętale, że aż do miasta Ezcaray, w którym jeszcześmy nigdy nie byli, zapędziliśmy się. Jadąc przez jedną wieś

¹⁾ Płaczkowski, loc. cit.

nikogo nie spotkaliśmy dla rozpytania; miasto zaś Ezcaray oprócz gór i skał wielkich, było murem wysokim naokoło opasane i miało tylko dwie bramy, a z dwóch boków tego miasta skaliste góry aż do muru przypierały. Gdyśmy przejechali pod samo miasto, widzimy dwie pikietę stojące; nie wstrzymując się i nie uważając na to, uderzamy na nich; ci uciekli w miasto, a my za nimi i z pistoletów do nich strzelamy. W mieście nikogo z pospólstwa nie widzieliśmy, wszystkie domy były pozamykane; nie na to nie zważając, przejechaliśmy aż na drugą stronę miasta. Naprzeciw samej bramy wprost, była wysoka i ostra góra, a droga szła w lewo około muru, wysadzona kasztanami i orzechami włoskimi; dalej płynęła rzeka niewielka, na której był most kamienny; od tego mostu szła droga w prawo, także obsadzona drzewami cienistymi, jak alea jaka, i tam stał generał Amur w wyciągniętej linii z dwoma szwadronami konnych szaserów. Na moście stało czterech szaserów, dali ognia do nas i uciekli, a my za nimi. Lecz tu spostrzegłszy generała Amura stojącego z wojskiem, na odwrót zaczęliśmy uciekać, ten za nami, ale myśmy się ciągle odstrzeliwali. Jeden z naszych popędził naprzód, abyśmy mogli prosto trafić przez miasto do bramy i nie błakali się w ulicach; tymczasem on sam wjechał na taką ulicę, która do muru przypierała, wracając

trafia na nieprzyjaciela i zginął; my zaś jakoś szczęśliwie dostaliśmy się do bramy. Generał Amur sam z jednym szwadronem pędził za nami, a drugi posłał korytem rzeki poza mur, aby nam zastąpić w bramie i nie wypuścić z miasta. W tym czasie naszych trzech zginęło, a jeden dostał się w niewolę, bo był rannym i upadł z koniem w ulicę. Zrejerowaliśmy do pierwszej wsi, która blisko tego miasta była; kilku naszych skoczyło z koni, kołowrot zamknęli i podparli wielkimi kamieniami; sami zaś uformowaliśmy się w jeden szereg, a generał Amur zatrzymał się i stanął nie bardzo daleko od nas, tak, żeśmy na siebie wołali i grozili jedni drugim; oni także zsiadli z koni i tak spoczywaliśmy.

„Wtem dały się słyszeć nieprzyjacielskie bębny w górach; zaczęliśmy się naradzać, co mamy czynić; uciekać źle, uderzyć na nich mała siła, bo nas wszystkich było tylko 21. Wysłaliśmy tedy jednego patrolować po wsi, aby uważał czy nieprzyjacielska piechota nie spuszcza się gdzie z gór dla wzięcia nam tyłu. Ten w kilka minut wraca i mówi, że jakaś piechota maszeruje, że widzi bagnety między murami ogrodów; tu mnie komenderowano z tym drugim dla rozpoznania. Pojechaliśmy ostrożnie, aby nas nie spostrzegli; ci gdy bliżej przyszli, poznałem, że Francuzi, dojechałem do nich jaknajprędzej i zatrzymałem, aby dalej nie szli i żeby ich nie-

przyjaciel nie widział. Byłto adjutant jenerała Rogneta z plutonem jednym wysłany, aby się dowiedział, co się z nami stało, że tak długi czas żadnej wiadomości o sobie nie dawaliśmy. Temu w krótkości opowiedziałem o teraźniejszym naszym położeniu i prosiłem go, aby dalej nie szedł, tylko tu ukryty, stał, a sam śpieszno powróciłem do swoich i o tem oznajmiłem. Porucznik pojechał do tego adjutanta i powiedział mu, że teraz innego sposobu ratowania się niema, tylko wspólnie z nami trzeba uderzyć na nieprzyjaciela. Adjutant nie chciał, mówiąc, że nie ma rozkazu bić się, że został wysłany tylko dla powzięcia wiadomości. Porucznik mówił dalej, że w takim razie wszyscy, i oni i my zginąć możemy; kawalerya na koniach da sobie może jaką radę, ale piechotę Hiszpanie zabiorą, pomęczą i pobiją. Gdy to usłyszeli, jeden z podoficerów odezwał się w te słowa; „panie adjutancie! inaczej być nie może, bo poginiemy!“ Ten na to wreszcie odpowiedział: „róbcie sobie co chcecie, abym ja za to nie odpowiadał!“ Porucznik rozkazał podoficerowi, aby wziął żołnierzy i tak się pod murami ogrodów tajemnie podsunął, aż do samego kołowrotu, żeby nieprzyjaciel go nie widział i tam aby się z obu stron rozstawił i ukrył; my zaś otworzymy kołowrot i zaczniemy nieprzyjaciela atakować. Ten gdy uderzy na nas, będziemy rejterować, a gdy przymknie się do

kołowrotu, dacie ognia do nich; takim tylko sposobem obronimy się. I tak się stało; jakeśmy tylko kołowrot otwarli, wyjechało naszych dwóch, zaczęli flankować; Amur z całą siłą jak stał, uderzył na nas; my zaczęliśmy cofać się, a gdy nieprzyjaciel przyjechał o kilka kroków do kołowrotu, piechota zaczęła rżęsiwym ogniem sypać. Ci nie spodziewanie tak mocno rażeni, uciekali bez żadnego porządku nazad, a my ich gnali aż pod same miasto. Kilkunastu zginęło, a kilku rannych zabraliśmy i tych zaraz rozstrzelano; koni także kilka nam się dostało. W ścisłym porządku i z wielką ostrożnością ustępowaliśmy; w połowie drogi spotkaliśmy się z jenerałem, który z całym pułkiem naprzeciw nas maszerował. Zaraz porucznik o tem wszystkim zdał raport; jenerał bardzo się rozgniewał, że czterech naszych zginęło i że nie dał rozkazu, aby się potykać i bić, tylko aby się dowiedzieć jaka siła i gdzie się znajdują. Przymaszerowaliśmy z jenerałem do tego samego miasta; wyszło na spotkanie naprzeciwko nas kilka znaczniejszych osób, witając i udając ukłony. Jenerał rozkazał zaraz tych wszystkich aresztować i prowadzić z sobą; gdyśmy stanęli w mieście na placu, kazał ich wsadzić do aresztu, a nam rozjechać się po kwaterach. Wysłał zaś rekonesans za Amurem, którego już ani dojść, ani znaleźć nie mogli, bo uciekł między wielkie góry. Jenerał kazał miastu kil-

kanaśnie tysięcy „poset“ kontrybucyi złożyć, a żołnierzom dał wolność czynienia, co im się podoba. Staliśmy w tem mieście przez trzy dni, a gdyśmy mieli wychodzić, generał Hiszpanów aresztowanych uwolnił i pomaszerowaliśmy napowrót do miasta San Domingo“.

Wśród tego rodzaju walk i przygód spędzono parę tygodni w San Domingo, zkąd ruszono do Logrono nad Ebrem, dla ukrocenia drugiego śmiałego partyzanta, sławnego Miny, który w górach Nawarry był postrachem Francuzów i spokojnych mieszkańców. W Logrono stano przeszło trzy tygodnie; nim jednak opowiemy boje, jakie staczali szwoleżerowie z Miną, zobaczymy, co się dzieje z Legią Nadwiślańską w Arragonii i z dywizją księstwa warszawskiego w Andaluzji.

ROZDZIAŁ XII.

W dolinie Iloki.

Pobyt w dolinie Iloki. — Marsz do Teruelu. — Leże zimowe. — Żarty z doktora Gulicza. — Pojedynek w Villanueva. — Sanna. — Wyprawa na Villacampę. — Wieczorek u Chłopskiego i przepowiednie Raszowskiego. — Potyczka pod Villastar. — Obrona Teruelu.

Legia Nadwiślańska po bitwie pod Ojos Negros zajęła rozkoszną i żyzną dolinę Iloki i sięgała aż do Teruelu. Zima już była i śniegi duże spadały. Rozłączono pułki, z których 2-gi wrócił do Calatayud, inne stały w Calamacho i Villarquemado. W tych czasach, co się nigdy nie przytrafiało w pułkach Legii Nadwiślańskiej, powtórzyło się kilkakrotne zbiegowstwo żołnierzy. Zdaje się, że obietnice Hiszpanów, a zwłaszcza agentów Villacampy i Miny, który formował u siebie legion cudzoziemski, obalamuciły kilku ludzi, którzy przeto na zawsze zaprzepaścili się w Hiszpanii, stracili ojczyznę, dla której przecież przyszli aż tutaj, za góry Pirenejskie.

W Calatayud, gdzie stał pułk 2-gi Legii, położenie było utrapione. „Musielśmy czuwać nad całą okolicą, opowiada naoczny świadek, opierać się korpusowi Villacampy, czuwać nad drogami i bezpieczeństwem kuryerów i starać się jeszcze o dostarczanie żywności dla armii zostającej w Saragossie. Ja sam aż do d. 20 grudnia, do dnia wyjścia z Calatayudy nie rozbierałem się prawie ani razu, kiedym znużony chciał spocząć. Obóz nasz znajdował się najczęściej w barakach na górach nagich pod miastem. Częste wycieczki w góry przeciw gierylasom nie kończyły się nigdy bez strat, mieliśmy ciągle zabitych i rannych“.

Na szczęście opuszczono Calatayud i pomaszerowano do Teruelu, gdzie z generałem Laval i Chłopskim zeszła się cała Legia. Ztąd aż do 8 stycznia 1811 r., robiono marsze i kontramarsze do Daroki i z powrotem, наконец zajęto leże zimowe w dolinie Iloki. Woltyżerskie kompanie stanęły w Camin-real, główna kwatera była w Monrealu. Inne pułki sięgały aż do Fuentes Claras. Tu przybyło nieco rekrutów dla Legii pod kapitanem Pawlewskim.

„Chwila spokoju, żołd, który nam tu wypłacono, opowiada pamiętnikarz, a nakoniec zupełne bezpieczeństwo pomiędzy kwaterami licznych oddziałów wojsk, pozwalały na rozmaite rozrywki. Wiele było młodzieży w pułkach, więc też bawiono się ochoczo. Na jednej ze stacyi obozo-

wych, w składzie wina i restauracyi były dwie młode dziewczyny, a do jednej z nich umizgał się nasz lekarz batalionowy, Dr. Gulicz. Gniewało to młodych oficerów, którzy tu stali kwaterą, a że doktor musiał codzień dojeżdżać tutaj ze swojej kwatery, postanowiono mu więc wypłatać figla. Pewnego dnia, gdy doktor dłużej nieco zabawił przy szklance wina, kilku oficerów przebrało się za chłopów hiszpańskich, i zrobiło zasadzkę. Skoro się ukazał uczeń Eskulapa z powrotem, wyskoczył jeden z przebranych i wrzasnął nań gromkim głosem: *demonio carajo!* Gulicz chciał zawrócić, ale i z przeciwnej strony zagrzmiało także brzydkie zakłęcie hiszpańskie i bezpośrednio rozległ się huk dwóch wystrzałów. Strwożony doktor rzucił się ku rzece; oficerowie z obawy ażeby nie wskoczył w wodę, polecili za nim wołając po imieniu, ale zatrwożony lekarz nie zważając na to, wskoczył w rzekę na 3 do 5 stóp głęboką, i przebiwszy się szczęśliwie na brzeg przeciwny, poleciał jak szalony do Kalamochy. Tutaj opowiadaniem swoim poruszył niebo i ziemię. Straże słyszały wystrzały, posłano zatem zaraz patrole w celu przeszukania okolicy po obu brzegach rzeki, a jazdę wysłano w strony odleglejsze. Zapewnienia pocztowego doktora, że powstańcy wołali go po imieniu, poczytano za grę jego rozognionej w trwodze i pośpiechu fantazyi.

„Przebrani oficerowie skoro spostrzegli, że doktor wskoczył w wodę, zalekli powrócili co prędzej do swoich kwater i tutaj przyznali się komendantowi do awantury z wszelkimi szczegółami. Dowódca wysłał niezwłocznie zawiadomienie o tem do pułkownika, który jednak przyjął ten żart bardzo surowo, dał dowódcy kwaterowemu ostrą nagane, a zmyślonych powstańców zamknął każdego na ośm dni aresztu. Prócz tego dostała się i najniewinniejszemu doktorowi porządna bura od pułkownika.

„Ale nie na tem jeszcze koniec żartu.

„Młodzi oficerowie w głównej kwaterze, z przyjaźni dla Gulicza, kochanego zresztą w całym pułku, namówili go, ażeby owych zmyślonych powstańców wyzwiał na pojedynek. Rozumie się, że było to znowu robione z zamiarem zabawienia się kosztem poczciwego doktora. Skoro go namówiono, ułożono się o czas, miejsce i rodzaj pojedynku, który miał się odbyć na pistolety. W dniu oznaczonym przybyły obie strony na plac. Oczywiście, usiłowanie pogodzenia nie wydało żadnego rezultatu. Odmierzono odległość, nabito pistolety. Z losowania przypadł pierwszy strzał doktorowi. Ponieważ pistolety nabite były tylko prochem, nie zatem dziwnego, że przeciwnik nie został nawet zadraśnięty. Przyszła jednak kolej wystrzału na przeciwnika, który ledwo dał ognia, jednocześnie jeden z sekundantów

rzucił o ile mógł najsilniej kulą, godząc nią w bok doktorowi. „Jestem raniony!“ zawołał Gulicz, wypuścił z rąk pistolet i rzucił się w ramiona swemu sekundantowi. Ale ponieważ nie dostrzeżono nigdzie krwi ani kropli, ani też dziury w odzieniu, zapewniano więc doktora, że odniósł tylko kontuzję. Przeciwnicy podali sobie ręce i rozpadano się następnie z pochwałami dla bohaterkiej postawy doktora. Z czasem dopiero, po śmierci jednego z uczestników powiedziano Guliczowi prawdę, ale było człowiek tak zadziwiającej dobroci serca, że nie pogniewał się wcale. Dziwne też były późniejsze losy wszystkich tych młodych ludzi, którzy przyjmowali udział w wypadkach opisanych. Wyganowskiego zamordowano skrytobójczo, M*** zmarł jako pułkownik w innej służbie, Lasocki raniony pod Berezyną zamarzył prawdopodobnie, Zienkiewicz poległ w bitwie po wkroczeniu wojsk Napoleona na Litwę. Byli to dzielni oficerowie, uczciwi ludzie i obdarzeni humorem, który zdawał się wyzywać świat cały do wesołości. Gulicz uwielbiany niemal przez żołnierzy i oficerów, zawołany operator i dobry doktor, był znowu tak dobroduszny i tak łatwowierny, że wady te czy zalety wyzywały, rzekłbym, każdego, by zeń sobie żartować i ubawić się jego kosztem“.

W drugiej połowie stycznia 1810 r., wysłano w formie awangardy ułanów Klickiego i nieco

woltyżerów do Villafranca. Komendantem placu został tu Brandt. „Mieliśmy tutaj kwatery dobre i utrzymanie doskonałe, pisze on w swych wybornych pamiętnikach. Oficerowie stołowali się razem. Ale ponieważ mimo życia prawie zbytko-wnego, uroszczenia niektórych kolegów wzmagaly się aż do przesady, więc ja z obowiązku komendanta placu, musiałem zaprotestować. Spowodowało to zatarg pomiędzy mną a oficerem, przysłanym świeżo z Warszawy, niejakim Czackim. Przyszło nakoniec do wyzwania. Biliśmy się szablami. Po kilku złożeniach pęka mi pałasz i łamię się. Odniosłem lekkie zranienie w prawy bok głowy. Zwarliśmy się jednak ze sobą tak zapalczywie, że sekundanci musieli nas rozdzielać. Ledwo powróciłem do mojej kwatery, odwiedził mnie pułkownik Klicki. Człowiek ten zwykle nie-śtychanej łagodności, uniósł się tym razem nad wszelkie pojęcie, obarczył mnie wyrzutami, porucznika Czackiego kazał zamknąć i uwiadomił o wypadku jenerała Chłopickiego, który stał podtenczas w Monreal. Ponieważ pogłoska o mo-jem zranieniu była przesadna, pocziwy zatem Gulicz, który okazywał mi zawsze wielkie współ-czucie, nie czekając na eskortę, wsiadł na koń i śpieszył w mniemaniu, że pomoc jego będzie niezbędna. Ale tym razem napadli go w drodze już nie zmyśleni, lecz istotni powstańcy. Kilku luzem włóczących się gierylasów napadło nań

i tylko chyżości nóg swego konia może zawdzię-czać, że uszedł pogoni. Jeden wystrzał jednakże podziurawił mu kapelusz, noszony później jeszcze długo na pamiątkę zdarzenia i niebezpieczeństwa, którego uszedł szczęśliwie.

„Ja, pomimo odniesienia lekkiej rany, nie opu-szczam służby czynnej i tak jakoś zapomniano o wypadku. Ale gdy jenerał Chłopicki przybył później do Villafranca, by przyjąć udział w jednej z wypraw, nie spojrzął nawet na żadnego z ofi-cerów kompanij woltyżerskich. Podporucznika Czackiego z okazji znowu lekkiego uchybienia w służbie zburezał ostro i wyprawił go do je-dnej z kompanij w głównym korpusie“.

Oprócz tych przygód i rycerskich awantur bawiono się zresztą nieźle. „Nie ruszaliśmy się jeszcze z doliny Iloki, opowiada w innem miej-scu cytowany przez nas pamiętnikarz, gdy nagle spadł śnieg i trzymał się kilka dni na po-wierzchni. Żołnierze naszego pułku w Monrealu wzięli się zaraz do sporządzenia kilku sanek, i postanowiono sanna odwiedzić pułkownika Klickiego w Villafranca. Kiedy wszystko przygo-towano i drogę na całej przestrzeni obsadzono pikietami, ujrzelśmy dwoje sanek zajeżdżających w towarzystwie licznej świty oficerów. Jenerało-wie Laval, Chłopicki, pułkownik Kašinowski i kilku jeszcze dowódców, siedzieli na sankach. Co żyło biegło uradować się tym niezwykłym

sposobem jazdy w tych stronach. Jenerał Laval, już nie młody i jak wszyscy Francuzi bardzo wrażliwy na wpływy powietrza chłodniejszego, zaopatrzył się był w tę drogę w okrągłą ciepłą czapkę. W drodze właśnie te sanie, na których jechał jenerał, przewróciły się i Laval zgubił ciepłą czapkę. Szukającemu za zgubą pociemku, wpadł w ręce jakiś okrągły przedmiot, który jenerał biorąc za czapkę, włożył na głowę. Ale na nieszczęście nie było czapka lecz pasztet, który kucharz jego zapakował na wypadek, gdyby w Villafranca zabrakło przekąski. Nieszczęsna ta zamiana, nie mogła oczywiście być miłą jenerałowi, ale ubawiła całe towarzystwo i długo później żyła w pamięci ochoczej młodzieży, jeszcze i po śmierci dzielnego jenerała“.

Te zabawy, żarty, pojedynki zdradzające niezwykłą swobodę umysłów i obojętność na jutro w tych ludziach, którym śmierć codziennieomal groziła, którzy swej biednej ojczyzny od tak dawna nie widzieli i której wielu nie miało już wcale ujrzeć, przerwała wyprawa, którą przedsięwziął jenerał Laval przeciw dokuczliwemu dowódcy hiszpańskiemu Villacampa, stojącemu w pobliżu Teruelu, pod miasteczkiem Villet. Na wyprawę tę wyruszyła i Legia Nadwiślańska z jenerałem Chłopickim.

Marsz rozpoczął się d. 8 lutego 1810 r. Pod Torrelacaral, awangarda polska stoczyła żwawą

utarczkę z Hiszpanami i dnia 10, mały korpusik franko-polski stanął pod Teruelem. Hiszpanie miasto okopali i zdawali się mieć ochotę do obrony tej pozycji, ale oddali ją po kilku strzałach. Zatrzymano się tu aż do 15 lutego. Pamiętnikarz Brandt opowiada tu osobliwsze zdarzenie:

„W dniu 15 lutego, zaprosił jenerał Chłopicki wszystkich oficerów brygady na wieczorek. W rzędzie ich znajdował się także niemłody już kapitan Raszowski, o którym mówiono, że wykłada sny i zajmuje się rozmaitemi sprawami wizyonerskimi. Marsowa jego postawa, milczenie, pewna szorstkość, odstręczały odeń młodszych oficerów. Mielśmy już siadać do stołu, gdy jenerała Chłopickiego i wszystkich oficerów sztabowych wezwał na chwilę jenerał Laval do siebie, chcąc się z nimi naradzić nad jakimś ważnym przedmiotem. Gospodarz więc poprosił kapitana Raszowskiego, ażeby go zastąpił na chwilę w obowiązkach gospodarza i polecił, ażeby siadano do stołu, jeżeli do godziny 8-ej nie powróci. Kapitan jednak unikał towarzystwa, wszedł do gabinetu odosobnionego i zwróciwszy się plecami do ognia na kominie, stał pogrążony w zadumie. Wtem nadbiegł do mnie jeden z moich najdroższych przyjaciół lat młodzieńczych, oficer Żarski, porucznik 1-go pułku grenadyerskiego.

Legionu Nadwiślańskiego i biorąc mię pod rękę, rzekł:

— Pójdź, pójdź, do starego wróżbity, niech mi wyłoży sen, który miałem niedawno.

Jak się rzekło, tak się zaraz zrobiło. Nie pamiętam już snu, którego objaśnienie chciał waleczny Żarski usłyszeć od kapitana, ale pamiętam, że stary wróżbita a raczej czarnoksiężnik, jak go nazywali młodzi koledzy, wysłuchawszy spokojnie opowiadania, odrzekł:

— Przyszedłeś, mój młody panie, ażeby sobie zażartować ze mnie, ale pamiętaj, że nim rok ubiegnie, przekonasz się pan, że są rzeczy, z których nie godzi się żartować. Strzeż się gór tu-tejszych!

Zwróciwszy się następnie do mnie, dodał:

— A pan czego sobie życzysz, panie podporuczniku?

Odpowiedziałem mu, że miałem sen, który się powtarzał po dwakroć z kolei, a w którym widziałem się zbłąkanym w górach, umierającym ze znużenia i pragnienia, które gasiłem szczyptami śniegu, poczem zlodowaciałem i leżałem bez życia. Spytał powtórnie, czy prawda co mówię, a gdy dałem słowo, że wistocie taki sen powtarzał się po dwakroć, w różnych, miejscach, odpowiedział krótko:

— Nie nalegaj pan na mnie, nie lubię prze-

powiadać nieszczęścia, a jednak nie mógłbym panu nic dobrego wywróżyć.

Uderzyła właśnie godzina 8-ma i siadaliśmy do stołu, dokąd idąc, rzekł Żarski z uśmiechem:

— A wiesz, że nie miałem go przecież za takiego waryata. Stary wkońcu gotów sam uwieńczyć w swoje przepowiednie.

A jednak, jednak, zawołać muszę, niezbadane są tajemnice ducha ludzkiego. Wszystko, co przepowiadał stary kapitan, miało się rychło sprawdzić. Ja zostałem śmiertelnie raniony zaraz nazajutrz, a przyjaciel mój poległ w kilka miesięcy w górach. Kula strzaskała mu nogę i odebrała życie jednemu z najlepszych ludzi i najwaleczniejszych oficerów. Dowiedziałem się o śmierci nieodżałowanego przyjaciela w przykopach pod Tortozą, właśnie w chwili gdy tam znajdował na straży ze starym kapitanem.

— Słyszałeś pan o śmierci Żarskiego? — zagadnąłem go.

— Wiedziałem o niej — brzmiała zwięzła odpowiedź.

Mnie jednak, przyznam się, przeszło mrowie i nie mogłem odtąd bez pewnej trwogi i szacunku spojrzeć na tego weterana.

Tejże samej nocy wyruszono przeciw Villacampie, który stał pod Villet, silny jak mówiono na 6000 ludzi. Legia pod Chłopickim szła przo-

dem i zdołała zerwać znova jeden wieniec do swej sławy. Oto jak o tem opowiada tylokrotnie przez nas cytowany pamiętnikarz:

„Dnia 16 lutego rano, uszykowały się wojska brygady całej u stoków góry, na której położony Teruel i poczęły w kolumnach przechodzić przez Guadalaviar. Woltyżerowie wysunięci jako awangarda w góry, musieli wkrótce stoczyć żwawą utarczke. Zepchnęliśmy wprawdzie nieco Hiszpanów, ale minawszy Villastar, walka utknęła nagle. Hiszpanie mieli wyborną pozycyą za czołem kilku wierchołków wzgórz, które ich prawie osłaniały zupełnie, wawóz zaś, przez który wypadało nam się dostać, mogli ostrzeliwać zabójczym ogniem. Usiłowania tyralierów posunięcia się przeciw nieprzyjacielowi, rozbijały się o opór zażarty. Jenerałowie Laval i Chłopicki byli sami przy linii tyralierów, chroniąc się przed niewielkiem urwiskiem skały. Skoro woltyżerów przy pierwszym natarciu powitał ogień gęsty, wysunięte forpoczty utknęły; za drugim natarciem rozbiły się kompanie, usiłując odpowiadać na ogień zpoza skał. Z chwili tej skorzystał jenerał Chłopicki, by do polskich kompani przemówić kilkoma słowami zachęty. Ponieważ naprzód wysunięte kompanie rozdzieliły się były w prawo i w lewo, znalazłem się z moją w samym środku, właśnie na drodze. Znajdowałem się przed owem wzgórz siodłowskim, przez

które musieliśmy przejść koniecznie, prawie bezpośrednio pod ogniem nieprzyjacielskim“.

„Nie namysławiając się wcale, zwróciłem się do mojej kompanii i z głośnem: „naprzód, marsz moi przyjaciele!“ puściłem się prosto na wyniosłość w towarzystwie trębacza Jankowskiego. Hiszpanie dopuścili się fatalnego błędu dając ognia skoro nas spostrzegli, nastąpiła bowiem chwila ciszy w odporze, z której ludzie moi skorzystali, by jaknajszybszym krokiem dobiec do siodłowskiego wzgórza. Skoro raz część tej pozycyi była zdobytą, poszło już łatwiej. Hiszpanie nie mogli się już teraz ukrywać tak skutecznie przed ogniem naszych żołnierzy. Wkrótce też osłabł ogień przeciwnika pomimo narażania się w punktach najbardziej zagrożonych samych oficerów hiszpańskich. Daremne były ich usiłowania, musieli uchodzić, a odwrót ich był szalenie płochliwy. Zdaje mi się, że w starciu tem nie straciłem nawet ani jednego żołnierza z kompanii, ale kiedy przez oszańcowane drogi w skałach, przez olbrzymie głazy, powalone drzewa i krzaki doszedłem do pozycyi nieprzyjacielskiej, nie wiedziałem jak pozbierać ludzi mojej kompanii, znalazłem się bowiem na czele 60 do 80 żołnierzy batalionu naszego i kilkunastu żołnierzy pułków francuskich. Jeszczem się namyslał co mam począć, gdy nagle zjawił się jenerał Chłopicki, odezwał się żywo, chwając od serca znalezienie

się nasze i kazał śpiesznie posuwać się dalej. Był to pierwszy raz po awanturze mojej z Czackim, że zagadał do mnie. Jenerał był tutaj z jednym tylko adjutantem, a w rękę nie miał nic prócz lekkiej laseczki. Główne siły widzieliśmy jeszcze w znacznej odległości pośpieszające za nami. Hiszpanie nie dotrzymali już nigdzie placu, uchodząc z pozycji niekiedy przed garstką ludzi. Pośpiech niezwykły przy pochodzie do ataku znużył ogromnie żołnierzy, coraz mniej widziałem ich w pierwszych liniach. Sam byłem tak zmęczony, takie mię paliło pragnienie, że chwytalem często w usta śnieg, który tu i owdzie leżał w skał szczelinach. Skorośmy się zbliżyli do Villet, wzmogła się siła odporności wojsk hiszpańskich. W kierunku Fuente Santa, widać było znaczne oddziały; przed samem Villet liczne *Pajares* (małe stodoły) silnie były obsadzone. Spuściliśmy się zwolna w dolinę Guadaluariu i na szczęście udało się z kilku stodoł wypędzić Hiszpanów, co pozwalało uszykować się nanowo pod jakąkolwiek przynajmniej osłoną. Byłem właśnie zajęty wprowadzeniem odpowiedniego ładu, gdy nagle spostrzegliśmy znowu jenerała Chłopickiego, który zawołał na mnie:

— Musimy tych łotrów zepchnąć do rzeki, inaczej ujdą nam znowu! Zbierz wszystkich swoich żołnierzy i atakuj tych tam.

„Kończąc rozkaz, wskazał mi oszańcowanie nieskończone, zajęte przez Hiszpanów. Nie prędko udało mi się zebrać moich ludzi, ażeby wykonać natarcie. Jakiś mały dobosz, który nie wiem z kąd się tu przyplątał aż z 44-go pułku i trębacz mojej kompanii Jankowski, dali hasło do ataku. Sam jednak nie wiem, czyto przemagające siły nieprzyjaciela, co trwożyło ludzi, czyli też istotne zmęczenie przeszkadzało, dość, że natarcie się nie powiodło. W połowie drogi zawrócili wszyscy, pozostawiając mię w towarzystwie małego tam-bora na pociski nieprzyjaciół. Taką siłą trudno było brać oszańcowanie, nie wypadało mi więc, jak zawrócić się także. Przywróciłem szybko porządek, zachęciłem kilku słowy moich ludzi i poprowadziłem ich nanowo. Mała już tylko przestrzeń rozdzielała nas od niewielkiego rowu. Wtem kula nieprzyjacielska trafia mię w głowę i powala bezprzytomnego na ziemię. Nie wiem co się odtąd działo ze mną“.

Szczęściem nadeszła reszta brygady i zepchnęła Hiszpanów doreszty. Jenerał Suchet, który przybył z nowymi siłami, ruszył ku Walencji, a Legią cofnięto w dolinę Iloki dla jej obrony i pozajmowała ona tu różne stanowiska, a jenerał Chłopicki stanął w Daroca, z kąd ciągle czynił wyprawy na południe i północ. Bił się pod Xarawą, pod Molnią, gdzie zburzył młyn prochowy, założony przez powstańców. W Teruelu dowodził

rekonwalescentami i garstką naszych legionistów pułkownik francuski Plicque. Przecierpiano tu bardzo wiele. Historia oblężenia Teruelu jest nader ciekawą i charakterystyczną. Opowiemy ją tu słowami pamiętnikarza:

„Upatrzone nadający się bardzo do obrony silny budynek seminarium klasztoru jezuickiego, obwarowano go, urządzono tu lazaret i wydzielono do obrony do 200 żołnierzy z różnych pułków. Rekonwalescenci mieli zasilać szeregi tej szczupłej załogi, oczekiwano zresztą posiłków lada dzień z Saragossy. Stało się jednak inaczej, niż zamysłano. Zaledwie bowiem generał głównodowodzący rozpędził na drodze do Walencji pod Alwentożą awangardę nieprzyjacielską, zjawił się z Tremedad nasz dawny przeciwnik Villacampa, obsadził Teruel i przysłał do naszego obwarowanego punktu wezwanie o poddanie się załogi. Otrzymał odpowiedź wzgardliwą. Generał hiszpański począł zajmować domy położone bliżej klasztoru, zmusił nasze placówki do cofnięcia się w mury i ograniczył nas na sam obręb obwarowanego klasztoru. Trudno jednak dociec, czy wskutek niedbalstwa, czy może wskutek zdrady mnichów, którym pozwolono odprawiać mszę w kościele, Hiszpanie opanowali pewnego dnia nie tylko kościół, ale i połączoną z nim kwadratową wieżę, co położenie nasze bardzo pogorszyło. Zostaliśmy tedy zupełnie odcięci, ograni-

czeni w obrębie zabudowań klasztornych, które od strony Guadalaviaru ubezpieczone wprawdzie były niedostępnym urwiskiem, ale z dwóch stron jeszcze wystawione na natarczywość nieprzyjaciela. Kapitan inżynierzy Levistone, który był duszą obrony, robił co mógł, ażeby naprawić błąd nieogłędności pierwszej chwili. Pobudował on silne przecznice z balów i pozabijał okna, byle odjąć siłę ogniowi nieprzyjacielskiemu.

„Hiszpanie opasawszy nas ze wszystkich stron, przysłali powtórnie parlamentarza z zawiadomieniem, że wysadzą nas w powietrze. Z sąsiedniego domu wdarli się oni do piwnic klasztornych, z których niepodobna ich było wypędzić i wkrótce usłyszeliśmy, jak pod nami rozpoczęły roboty. Wszyscy znajdujący się w lazarecie słyszeli każde uderzenie młota i lada chwila mogliśmy się spodziewać, że odbędziemy podróż nadpowietrzną. Zuchwały i natarczywy atak na wieżę, którą nam Hiszpanie odebrali, zrobił nas wprawdzie napowrót panami tego punktu, ale mimo tego, położenie się nasze nie polepszyło. Niebawem przysłali Hiszpanie po raz trzeci parlamentarza z wezwaniem o poddanie i zezwalali, żeby jeden z oficerów inżynierzy szedł oglądać miny, które podłożyli. Pułkownik Plicque przysłał na obejrzenie min i polecił kapitanowi Levistone, żeby się udał zrekonoskować owe roboty podziemne. Powrócił on wkrótce i zapewniał, że miny założone według wszelkich

reguł sztuki, dodawał jednak, że nie wie, czy beczki wistocie prochem są napełnione. Ale mimo tego wyprowadzono wszystkich żołnierzy z zagrożonej części klasztoru, przerwano niektóre wewnętrzne mury i w części ogromnego budynku klasztornego czyniono przygotowania do stanowczej obrony. Wszyscy lekko ranni z lazaretu chwycili za broń, a grenadyerowie i wołyżerowie uprosili jako przywilej im należny, ażeby ich użyto w miejscach najniebezpieczniejszych. Jako rzecz wistocie zdumiewającą uważać można, że mimo takiego nacisku Hiszpanów, utrzymywaliśmy komunikacyą z Saragossą. Dnia 8-go marca przybył ztamtąd jeszcze jeden oficer z korespondencyą. Przyparto go wprawdzie w mieście bardzo silnie, jak to mówią do muru, ale ponieważ jednocześnie wyszła z naszej warowni mocna wycieczka, dostał się więc szczęśliwie do nas. Był to podporucznik naszego pułku nadwiślańskiego, niejaki Gordon. Sam on także bronił i przebijał się dzielnie, dość powiedzieć, że trzecia część jego szczipłego konwoju poległa lub odniosła ciężkie rany, sam Gordon został także ciężko raniony w lewe ramię.

„Wyjaśniła się wkrótce okoliczność, dla której Gordon nie został opadnięty jeszcze w drodze, lecz dopiero w obrębie miasta. Villacampa opuścił był na chwilę okolice z głównymi siłami, nie obsadziwszy nawet drogi do Saragossy. Zajęty

był wyprawą na Alventozę, gdzie pozostawioną na załodze kompanią Legionu Nadwiślańskiego zabrał do niewoli, później zebrał jeszcze większe siły ze swoich niedobitków i wówczas dopiero zwrócił się na drogę Saragossy. Jakoż dnia 9-go marca rano słyszeliśmy wrzawę i ogień wojenne od strony Alhambry i Guadalaviaru. Byliśmy pewni, że to nasze wojska przybywają na pomoc i pobiły Hiszpanów. Stało się jednak inaczej. Tegoż dnia po południu zawiadomił nas Villacampa, że całą jedną kolumnę śpieszącą z Daroki z działami dla armii, rozbił zupełnie, że załogę Alventozy wziął do niewoli i że generał Suchet poniósł ogromną klęskę pod Walencyą. Jednocześnie ponawiał propozycyą, dając nam swobodę obejrzienia raz jeszcze min założonych, nakłaniał do poddania, a w przeciwnym razie groził wysadzeniem w powietrze jeszcze tegoż samego wieczora. Ale chociaż byliśmy przekonani, że dwie pierwsze wiadomości o niepomyślnych walkach naszego korpusu mogły być prawdą, odrzucono jego propozycyę.

„Kapitan inżynierzy Levistone wnioskował bardzo trafnie, że Hiszpanie nie muszą mieć prochu, gdyż inaczej jak mniemał, coby ich powstrzymywało od wyprowadzenia nas już dawno w podróż pod gwiazdy. Jakoż domysł jego zgodny był z prawdą, Hiszpanie wistocie nie mieli prochu. Dostali amunicyą dopiero na drugi dzień po

naszem oswobodzeniu z oblężenia, gdy zniesiono blokadę pod Fuente Santo. Nie przestali jednak pracować, ażeby nas wziąć strachem lub przemocą. Powznosili barykady, przerywali mury domów sąsiednich i czynili ogromny hałas pod nami w piwnicach.

„Nakoniec 13-go marca w nocy wybiła dla nas godzina wyswobodzenia. Główne siły korpusu 10-go, 12000 liczącego, musiały wykonać odwrót. Dnia 13-go, zjawiły się nagle wojska nasze pod Teruelem. Awangarda wkroczyła w nocy jeszcze w kolumnie słabej do miasta. Przyjaciół mój Żarski dowiedziawszy się w Alventozie o losie naszej oblężonej załogi, prosił, ażeby mu powierzono dowództwo nad forpocztami awangardy i przybył na kilka godzin przed wkroczeniem do miasta przedniej straży. Kiedy się nakoniec przedarł na czele szczupłego oddziału pod klasztor, zatrzymały go nasze straże. Gdy się oświadczył jako *France* i *1-er Regiment de la Vistule*, mniemano w pierwszej chwili, że Hiszpanie chcą nas wziąć podejściem i udają Francuzów. Nie puszczono więc awangardy bliżej pod mury obwarowanego klasztoru. Dopiero więc porucznik Żarski zaczął wołać głośno, ażeby go samego wpuszczono i wysłano przeciwko niemu dla sprawdzenia tożsamości osoby podporucznika Brandta. Stało się jak żądał i opowiedział mi o wszystkich wypadkach, poczem pułkownik Plique, pozwolił, ażeby

żołnierze jego zbliżyli się, ale tylko pojedynczo do klasztoru.

„Wielka była radość, gdy się przekonano nareszcie, że to nie Hiszpanie, ale swoi. Żołnierze rzucali się sobie nawzajem w objęcia. Zdawało się nam, że się budzimy ze snu przykrego. Od 25-go lutego do 13-go marca byliśmy oblegani, a przez dwanaście dni grożono nam wysadzeniem w powietrze. Wina i zboża było jeszcze dosyć, ale od kilku dni brakowało już świeżego mięsa i wody nie mieliśmy wcale. Późno w nocy wkroczył jeszcze generał Paris na czele sił znacznie-szych. Wkrótce jasne ognie obozowe na placach publicznych musiały dać znać Hiszpanom, że pozbawieni zostali na zawsze radości zabrania do niewoli naszej załogi“.

ROZDZIAŁ XIII.

Malaga.

Jaen. — Wejście do Granady. — Starcie pod Malagą. — Zdobycie miasta i rzeź. — Rudnicki i Paganino. — Zmiany w pułkach. — Pobyt w Maladze. — Wyprawa w góry Ronda. Gieryłasi zajmują Malagę. — Wyprawa do Estepony i Veles Malagi — Lansyerowie w Baza. — Wojciechowski w Mariena. — Wyprawa Fijałkowskiego do Arragonii. — Wyprawa na Orgas i Kartagenę. — Egzekucya księdza w Granadzie — Wyprawa do Murcyi.

Po wypoczęciu w Ubeda, dywizya polska wyruszyła dalej na południe ufna w siebie i pełna najpiękniejszych nadziei. Pod Baeza przeszła most na wielkiej rzece Gwadalkiwirze i podsunęła się nocą pod miasto Jaen, gdzie znajdowały się wojska hiszpańskie. Te w ataku nocnym wyrzucono z miasta i siódmy pułk został tu na załodze, reszta zaś wojsk franko-polskich ścigała pobitych przez Martos, Alvandete aż do Alcala Real, zabierając po drodze niewolnika, działa, sztandary i łupy wszelkiego rodzaju. Okolica była górska,

pełna winnic, mirtowych i oliwnych gajów, pełna romantycznego uroku, który wywierał wielkie wrażenie na żołnierzach, przywykłych do sennych pejzażów swej rodzinnej ziemi. Kierowano się ku wspaniałej stolicy Andaluzji, historycznemu siedlisku Maurów, przepysznej Granadzie. Przez Pinos Puente idąc, zatrzymano się w Santafe, w słynnej z piękności i żyzności dolinie La Vega, nieomal u bram Granady.

Miasto, które niegdyś, za Filipa II-go, osiadłe przez Maurów, broniło się tak długo i tak walecznie przeciw Hiszpanom, teraz od razu się poddało. Gubernator Granady wyszedł na czele notablów miejskich i władz, i klucze z pokorą na srebrnej tacy oddał w ręce zwycięzców. Z muzyką, z rozwiniętymi sztandarami, z okrzykiem: niech żyje Napoleon! i innym jeszcze okrzykiem, dobywającym się z piersi pułków polskich, a życzącym długiego życia dalekiej ich ojczyźnie, wkroczyła armia franko-polska do dzierzganych w koronki murów Granady. Zatrzymano się tu kilka dni, odpoczywano wśród obfitości wszelkiego rodzaju, pod niebem zawsze szafirowem, zwiedzano dawne pamiątki maurytańskie, w ruinach Alhambry, w sławnym dziedzińcu lwów, przy omdlewającym szmerze wodotrysków, rozlegało się słowo polskie, brzmiał mazurek, który miał zanieść straceńców „z ziemi włoskiej do polskiej“, a zawiódł

ich do Hiszpanii, do Granady i Bóg, wie, gdzie jeszcze zawiedzie...

Z Granady skierowano się na zachód dla ominięcia wielkiego łańcucha gór Almijary, i maszerowano wzdłuż rozkosznej doliny Vego do Loji, a ztąd do Antequery. Ztąd przez góry Abdalais, przez miasteczko Casa Bermeja podstępiono pod Malagę, leżącą na kończynie świata europejskiego, pyszne miasto kąpiące się w błękitnych falach morza Śródziemnego, słynne ze swych win, klimatu i pięknych kobiet. Wśród cudownego poranku, ozłoconego wszystkimi blaskami południowego słońca, polskie Maćki ujrzeli rysujące się w dali na czystym lazurze nieba wieże i mury Malagi. Maszerowano wśród lasów cytrynowych i pomarańczowych, z piersią pełną otuchy, z ufnością w gwiazdę wielkiego wodza, który zdala zdawał się powtarzać starożytne pochody Aleksandrów i Cyrusów, który stwarzał olbrzymią epopeję wypraw dalekich, zwycięstw niesłychanych, który czynił te cuda, że polskie „nie zginęła!” rozlegało się wśród ruin Alhambry...

O milę od Malagi, dnia 8 lutego 1810 roku rozłożyła się armia franko-polska w cytrynowych i pomarańczowych gajach. Ztąd widziano jak przed miastem szykowała się garść inwalidów hiszpańskich, zbieraniny wszelkiego rodzaju, jeźdźców w rozmaitych strojach i błyszczało pod słońce jedenaście armat śpiżowych. Widocznem było, że

nieprzyjacieli nie chce oddać Malagi bez boju. Nie znano tu jeszcze, na tym krańcu Hiszpanii, niezwyciężonej broni franko-polskiej i chciano spróbować swych sił. Głównodowodzący generał Sebastiani, chcąc uniknąć próżnego krwi rozlewu, wysłał do Hiszpanów parlamentarza w towarzystwie dwóch polskich ułanów, wzywając powstańców do poddania się. Wezwanie to odrzucono z pogardą, co większa strzelono do parlamentarza i zabito jednego ułana; pierwsza krew polska, która niewinnie zrosiła tę rozkoszną ziemię.

Rozjątrzony tem Sebastiani, kazał niezwłocznie uderzyć na nieprzyjaciela. Wojsko wrzało pomstą, a lansyerowie drżeli od chęci ukarania powstańców za śmierć swego towarzysza i rodaka. Jakoż puszczono ich do szarży. Warknęły trójbarwiste chorągiewki, i Hiszpanie ledwie zdołali dać jeden wystrzał, gdy ułani wszyli się już w lewe skrzydło nieprzyjacielskie, roztrącili je zupełnie i zagrodzili Hiszpanom odwrót do miasta. Garść weteranów, starych, siwych żołnierzy, broniła się długo i walecznie. Lanca polska wykłóła ich do nogi. Na karkach uciekających wpadli zwycięzcy do miasta, gdzie powitano ich strzałami z domów, okien i dachów. Podczas gdy jedni z mieszkańców bronili się w domach, inni, zwłaszcza kobiety i dzieci uciekały do portu, a ztąd na okręty. Ułani przebiegali ulice i kłóli uciekających. Wielu nawet w zaciętości i rozjątrzeniu skakało z końmi

do wody, do morza. Piechota polska dobiegła do portu i karabinowym ogniem prażyła okręty, zabijając na nich dzieci, starców i kobiety. Rozpoczęła się straszna rzeź, dzika orgia zwycięzców wśród miasta, rabunek bezlitośny, gwałty wszelkiego rodzaju, w których jednak, przyznać to trzeba, głównie Francuzi brali udział. Na zaszczyt broni polskiej powiedzieć należy, że Polacy wkrótce po wzięciu miasta wstrzymali się od rabunku i ohydnej rzezi. Gwałt ten trwał całą noc, od 7-mej wieczorem do 4-tej rano. Porozpalano wielkie ogniska na ulicach i placach, pito wino, mordowano mężczyzn, gwałcono publicznie kobiety. Zakonnicom wywleczonym z klasztorów, kazali rozbastwieni żołdacy tańczyć kontredansa przy ogniskach. Ileżto wreszcie strasznych, tragicznych scen pokryła owa okropna noc w Maladze! Miasto piękne i bogate przedstawiało obraz, na który dusza się wzdryga.

Jak powiedzieliśmy, Polacy nie brali udziału w tych gwałtach. Maćki polskie, straszni w boju, stawali się łagodnymi barankami po zwycięstwie. Pocziwa krew polska odżywała się w nich ciągle. Historia zachowała nam kilka pięknych czynów polskich z tej nocy, pamiętnej dla Malagi. Kapitan Rudnicki z 4-go pułku, znany nam już pamiętnikarz tej wojny, wszedł do rabowanego miasta dobrze po północy, i w towarzystwie 2-ch grenadyerów swego pułku począł szukać w bo-

cznych uliczkach jakiego zakątka, gdzieby mógł spocząć. Na jednej z takich uliczek, napełnionej pijanem i rozbastwionem żołdactwem, które wszystkie domy doszczętnie zrabowało, gdy miał już z niej wyjeżdżać, słyszy głos męski hiszpański, błagający o darowanie życia. Nie wiele myśląc nasz kapitan wpada do domu, z kąd głos wychodził, i widzi klęczącego na środku pokoju siwowłosego starca, którego kilku pijanych żołnierzy za to, że nie dawał im pieniędzy, chciało zamordować. Rudnicki kazał grenadyerom pijaków wygnać, dom mocno zamknąć i tym sposobem ocalił życie starcowi, a dla siebie znalazł wygodne i ciche schronienie. Gospodarz tego domu, ocalony przez polskiego oficera, zwał się Don Juan Pedro Paganino, i przyjmował Rudnickiego wspólnie. Nazajutrz zaprosił go do siebie na wystawny obiad i na wety dał mu przykryty serwetą talerz, pełen sztuk złota ośmiodukatowego. Rudnicki odrzucił tę zapłatę za dobry czyn, więc Paganino dobył pięćdziesięcioletniej malagi i częstował nią swego zbawcę. Przez cały czas pobytu Rudnickiego w Maladze, bywał on u Paganina i miał w nim serdecznego przyjaciela.

Rzeź i rabunek ustał dopiero rano. Sebastiani kazał bębnić i trąbić, wzywając rabusiów do szeregów, a gdy to nie skutkowało, rozkazał wejść do miasta silnym oddziałem, stojącym w odwodzie i przywrócić porządek. Kolbami, płazami,

drzewcami od lanc napędzano rabusiów i morderców, a mocne patrole przebiegające ulice uspokoiły strasznie zniszczone i przerażone miasto. Ofiarą rzezi padło przeszło sześćset osób, przeważnie starców, kobiet i dzieci. Ciała pomordowanych przez sześć dni leżały na ulicach dla przykładu i postrachu Hiszpanów, i pochowano je dopiero wtedy gdy psuć się zaczęły i zarażać powtetrze. Wojska franko-polskie straciły ledwie 33 ludzi. Komendanta powstańców schwytano i powieszono w mundurze na żelaznym balkonie jednego z domów w mieście, na rynku. Odtąd wieszano zwykle na balkonach, co było łatwym, bo w Maladze, południowym obyczajem, każdy dom, zwłaszcza na pierwszym piętrze posiada żelazne, maleńkie balkony.

Stano w Maladze spokojnie, o ile można było w tej wojnie stać spokojnie, przez dwa miesiące. Gubernatorem miasta został dowódca 9-go pułku piechoty polskiej Antoni książę Sułkowski; gdy ten jednak wkrótce powołany został do kraju, a raczej sam tego zażądał, bo mu się sprzykrzyła ta wojna, komendę nad pułkiem objął pułkownik Grotowski¹⁾, a gubernatorstwo w mieście powierzono Francuzowi, pułkownikowi Berton. Podobnież zmiany zaszły i w pułku 4-tym piechoty. Komendant jego Wierzbński udał się do kraju,

¹⁾ Broecker, loc. cit.

a dowództwo w zastępstwie objął podpułkownik Zdzitowiecki, dopóki z Polski nie przybył na to stanowisko pułkownik Waleński, nielubiany przez wojsko, człowiek niespełna zdrowych zmysłów.

Kwatery w Maladze były wyborne, kraj śliczny, kobiety ładne i wcale nie dzikie, jak zapewniają pamiętnikarze. To też krótki ten pobyt Polaków w nadmorskiem mieście, zostawił w niem ślady, do dziś dnia widoczne. Podróżników uderza tam rasa odrębna, niebieskookich i jasnowłosych mieszkańców polskich.... Oficerowie stali po najzamożniejszych domach; pułk 9-ty w obszernym, przepysznie zbudowanym klasztorze pokarmelic-kim. Chamy mazurskie jedli tu orzechy kokosowe, pomarańcze, granaty, spijali wyborne, ciemne, słodkie i ciężkie wino. Co jednak najciekawsze, to, że spotkano tu Polaków, osiadłych oddawna i handlujących winem¹⁾.

Takim był pobyt dywizyi polskiej w Maladze. Zresztą powstańcy hiszpańscy nie dali jej długo używać tych rozkoszy; poczęli się ukazywać ze wszystkich stron i trzeba było na nich wyprawy robić. Po każdej z takich wypraw wracano z niewolnikami, których wieszano na gankach w mieście, co nie przeszkadzało, że oficerowie polscy urządzali bale, a na bale te uczęszczali z ochotą Hiszpanki.

¹⁾ Loc. cit.

Najważniejszą z tych wypraw, była wyprawa w góry leżące na północo-zachodzie od Malagi, zwane Sierra Ronda. Ukrywał się tam dowódca gierylasów hiszpańskich Valdivias i przecinał komunikacją między Malagą a Sewillą, gdzie stał z korpusem francuskim marszałek Soult, marzący pod gorącym słońcem sewilskim o włożeniu na swą głowę korony andaluzyjskiej. Dla przywrócenia komunikacyi i zniszczenia Valdivii, wyruszyła prawie cała dywizya polska. Na Antequerra, robiąc ogromne koło dla ominięcia gór Rondy, posunięto się ku Campillos. W mieście tem, idący w awangardzie pułk huzarów francuskich, dokonał formalnej rzezi na mieszkańcach. „Przykry nader był widok, opowiada naoczny świadek, patrzeć na tych poległych, którzy mając rozplątane głowy, poucinane ręce i nogi, w jedną masę byli połączeni. Nic podobnego w życiu mojem nie zdarzyło mi się widzieć, był to widok okropny“. Niestety! nie pierwszy to i nie ostatni gwałt francuski w tej strasznej wojnie.

Ztąd skierowano się wprost do Ronda, zajęto miasto tegoż nazwiska, wysłano kilka podjazdów w góry, gdzie tu i owdzie napotymano gierylasów, stoczono z nimi kilka utarczek, które nie obeszły się bez bolesnych strat dla dywizyi. Polegli tu z 7-go pułku porucznik Madaliński, z pułku 9-go szef batalionu Jasiński, kapitan Górski, porucznik Larose; z pułku 4-go porucznik Kraśnik. Wy-

prawy te jednak opłacone tak drogo, nie przyniosły żadnego rezultatu. Samego Valdivii nie dościsnięto i dościsnąć go nie można było, gdyż on uwiadomiony wcześniej o wyprawie, bocznemi drogami, przez góry i przepaście ruszył na opuszczoną przez Polaków Malagę i zajął ją. Podczas więc gdy go szukano w górach Rondy, on odpoczywał w rozkosznym mieście i straszne tam rozpościerał rządy. Karał surowo tych wszystkich, którzy mieli jakikolwiek stosunek z najeźdźcami; kobiety z najpierwszych domów, które tańczyły na balach z Polakami, wystawiał na widok publiczny pod pręgierzem, na szykanę i pośmiewisko gawiedzi. Na miasto nałożył ogromną kontrybucyą i w zakład pobrał żony najznakomitszych obywateli. Słowem, rządził jak tyran.

Gdy się w sztabie francuskim o tem wszystkiem dowiedziano, nakazano dywizyi polskiej śpieszny powrót do Malagi. Tą samą drogą, ze zniechęceniem koniecznem po nieudanej wyprawie, wrócono do Malagi, gdzie oczywiście Valdivii już nie zastano. Najbardziej oburzało Polaków to, że biedne kobiety tak ciężko ukarane zostały za to, że się z nimi bawiły. Odtąd chwyciono się takiego środka, że gdy miano wyprawić bal, to zapraszano nań Hiszpanki przez oficera, otoczonego kilku uzbrojonymi żołnierzami, co niby nosiło na sobie charakter gwałtu i przy-
musu.

Nie używano jednak długiego spoczynku w Maladze po nieudanej wyprawie do Rondy. W parę dni po powrocie z niej, wyruszyły znów pułki polskie przeciw gierylasom z jednej strony ku Veles Malaga, gdzie w potyczce z powstańcami poległ z 4-go pułku podporucznik Gizler, z drugiej wzdłuż morza Śródziemnego przez Mijas, Fuengirolę do Estepony, staczając tu i owdzie utarczki z gierylasami. Wrócili przez Monda i Coin do dawnego swego siedliska, do Malagi, zachwyceni romantycznymi widokami i morzem, które polskie chamy pierwszy raz w życiu w całej jego okazałości widzieli.

Podczas gdy piechota polska bezużyteczne i krwawe staczała utarczki z gierylasami, ze wszech stron zagrażającymi Maladze, lansyerowie polscy zajmowali miasteczko Baza, na północ-wschód od Malagi, znacznie zresztą od niej oddalone. I oni tu nie żyli w pokoju i spoczynku. Musieli rozstawiać liczne i samotne posterunki, gdzie nieraz padali ofiarą przewagi hiszpańskiej, lub jeżeli uszli cało, to cudem prawie. Na jednej z takich stacyj, w tym czasie właśnie zamordowali Hiszpanie oficera i dwudziestu ułanów polskich. Nadbiegła wprawdzie pomoc, ale zastała tylko „drgające jeszcze ciała“.

Znanego nam już pamiętnikarza Wojciechowskiego wysłano na tego rodzaju straconą placówkę do wsi Mairena del Alcol, tuż pod Sewillą

i dano mu cały szpital koni odsednionych i ludzi rannych lub chorych. Miał tu z nimi bronić tej pozycyi, ułatwiać i doglądać przesyłki korespondencyi, czuwać nad bezpieczeństwem dróg. Wieś była murowana, jak wszystkie wsie w Hiszpanii i tworzyła jedną długą ulicę, której dwa wyloty były zamurowane, opatrzone strzelnicami i miały tylko furtki do wejścia, opatrzone palisadą. Za murem tym straż zawsze czuwała. Straż tę pełniła gwardya miejscowa, złożona z mieszkańców. Wojciechowski nie dowierzając bardzo tej gwardyi, kazał jej broń złożyć i pilnowanie wsi powierzył swoim ułanom.

Otóż przydarzyła się tu wysoce charakterystyczna scena, malująca wybornie Hiszpanów i tę wojnę, i całe niebezpieczeństwo położenia polskich straceńców. Pewnego bowiem wieczoru na odgłos straży pytającej się: „kto idzie?“ Wojciechowski wychodzi za bramę i spostrzega pięciu Hiszpanów, z których jeden, jak się zdaje starszy, na dzielnym koniu zbliżył się i prosił o pozwolenie przenocowania we wsi ze swoją komendą. „Zapytawszy o list otwarty, opowiada sam Wojciechowski, kazałem przywołać komisarza wojennego, Hiszpana dość nam sprzyjającego, ażeby przejrzał papiery, sam zaś uchwyciwszy za karabinek wiszący przy kulbace nieznajomego, było sztuciec z gatunku nazwanego garłacz, chwaliłem że to była broń dobra na bliski strzał. Hiszpan

mój w oka mgnieniu porwał za sztuciec z drugiej strony kulbaki wiszący, a wymierzywszy ku mnie „i to nie zły kawałek!” zawołał. To wszystko we mnie podejrzenie wznieciło. Wtem komisarz zapytał nieznajomego: „dokąd pan maszerujesz?” „Do Alcala”. — „Jak liczna twoja komenda?” — „Wszak napisane w marszrucie, że dwieście ludzi — odpowiedział — a jeżeli państwo nie wierzyście, to proszę ze sobą”. Jakoż wzięła mnie ciekawość obaczyć tę bandę i już uszedłem kilka kroków, kiedy tknięty jakby przecuciem, zawołałem: „trąbić do apelu” i prosiłem Hiszpana, iż dalej iść z nim nie mogę, bo mnie służba woła. Ten się zatrzymał, a zwróciwszy ku mnie konia: „*Cavalo, reverencia*” (koniu, ukłoń się), zawołał. Przepyszny andaluski rumak spiął się na te słowa i ukląkł, a zaczekawszy chwilę, aż się z jego panem pożegnałem, uniósł go pędem wiatru w przeciwną stronę. Wtedy dopiero komisarz wrócił do przytomności i wyznał, iż mu się zdaje, że ten nieznajomy jestto dawny partyzant Valdivias, przyczem wymawiał się, że mnie o tem wprzódzy przestrzec nie mógł.

Jakoż nazajutrz Wojciechowski pojechał do sąsiedniej wsi, i od alkada miejscowego dowiedział się, że istotnie, wczorajszy gość był partyzantem Valdiviasem.

Takie posterunki odosobnione znajdowały się na całej przestrzeni od Seville do Granady i Bazy

i zajęte były przeważnie przez lansyerów. W samem Baza oprócz ułanów polskich, stał jeszcze pułk 5-ty dragonów francuskich i 32 piechoty i bateria artylerii. Korpusikiem tym dowodził generał Perimont. Ztąd robił on ciągłe wyprawy na gierylasów, po żywność, ściągając kontrybucye. Samo miasteczko było niewielkie i na pół puste. Księża i młodzież żeń uciekła, zostali tylko starcy, kobiety i dzieci. „Starych bawiliśmy gawędą, opowiada historyk lansyerów, kobiety jak można było, a dzieci uczyliśmy mówić popolsku”. Zostało też dużo wspomnień po ułanach w Baza, wspomnień żyjących...

Tutaj do Baza wrócił ze swej wyprawy do Arragonii, Fijałkowski, wysłany tamże celem poskromienia sławnego wodza gierylasów Porliera, przezwanego Marquesito, synowca generała Ramona. Krył on się głównie w górach Pirenejskich, napadał na odosobnione posterunki, na transporty, na poczty, przecinał jednym słowem wszelką komunikacją z Francją.

O samej tej awanturniczej wyprawie nie wiele wiemy i doszukać się bliższych wiadomości nie mogliśmy. Fijałkowski wyruszył w sto koni, maszerował tak szybko i tak tajemniczo, że dostał się do gór Arragońskich prawie niepostrzeżony. Tu, dzięki szpiegom, po niedostępnych górach, po ścieżkach kędy jeno kozy chodziły, wpadł nagle do wioski, leżącej w równinie wśród gór,

gdzie rezydowała junta prowincjonalna. Nim jednak ułani z gór zeszli, we wsi ich spostrzeżono i wszystko co żyło uciekło, zostawiwszy ogromne zapasy rynsztunków, broni, amunicyi, skór, płótna, sukna, gotowych mundurów, dostawionych przez Anglików. Wszystko to Fijałkowski zabrał, a czego zabrać nie mógł to zniszczył.

Na tem wyprawa się skończyła i Fijałkowski wrócił na południe, do pułku. Szli na Sierre Morenę, i chociaż to było w połowie stycznia, a więc w zimie, zastali już jednak w tej rozkośnej okolicy drzewa kwiatem a pola zielonością okryte. Na obszernych równinach Andaluzyi widać było miasta, gęste wsie, folwarki, uprawne pola, obszerne pastwiska nad Gwadalkiwirem, bydłem i owcami okryte. Po dzikiej, górskiej, śnieżnej naturze w Arragonii, ta uśmiechnięta, ciepła wiosna andaluzyjska miłe wrażenie wywierała na naszych wojowników. U stóp Sierry Moreny natrafili na osadę niemiecką, zwaną La Carolina, istniejącą od lat stu, gdzie pomimo całego wieku pobytu w Hiszpanii, mówiono jeszcze, po niemiecku. Niemcy przyjęli ułanów radośnie, zdawało im się, że na ostrzach lanc polskich przynieśli im nasi zuchy trochę powietrza ojczystego. Pod Andujar przeszli Gwadalkiwir i na Granadę idąc, połączyli się w Baza z pułkiem.

Tu szły rzeczy podawnemu, wśród ciągłych wycieczek, bojów i przygód Orlandowych. W po-

bliżu Bazy, o milę od niej oddalona, jest wieś Orgas, w której miejscowy proboszcz przygotował powstanie i objął nad niem naczelnictwo. Wysłano lansyerów na przytłumienie rokoszu. Wieś uporczywie się broniła, ale została wzięta mocą, spalona, a mieszkańcy wymordowani do nogi. Do strasznych tych rzezi tak już przywykli ułani, że w zapiskach swoich wspominają o nich obojętnie, mimochodem tylko. Innym znów razem wyruszył generał Perimont ze swym korpusem do starożytnej Kartageny. Szli na Lorca i niespodzianie napadli na ten port, gdzie zastali ogromne bogactwa. Oczywiście zabrali je i powrócili do Baza.

Tu dokuczał im ciągle znany nam już ze swego teatralnego zachowania się w Mairena, partyzant Valdivias. Bili się z nim ciągle, ale nie mu zrobić nie mogli. Wieszali, mordowali Hiszpanów, a ci z nieustraszoną i niezłamaną niczem zaciętością stawali do nowej walki. W Granadzie, gdzie konsystował mały oddziałek lansyerów i garść piechoty, ksiądz miejscowy, kanonik, odezwał się w kościele do ludu podczas niesporów, aby korzystając z nieobecności większych sił nieprzyjacielskich, powstać i załogę wymordować. Któryś z mieszkańców miasta doniósł o tem dowódcy garnizonu, który wyniósł się do starożytnej, maurytańskiej Alhambry i tam się zamknął, wzięwszy wprzód ze sobą nieszczęśli-

wego kanonika. Gdy z jenerałem Sebastiani przybyły znaczniejsze siły francuskie do Granady, sąd wojenny skazał księdza na śmierć przez uduszenie garottą na szafocie. Skazaniec wyprowadzony z więzienia szedł spokojny a nawet z pewną dumą ku miejscu swej śmierci. Po odczytaniu wyroku, rzekł donośnym głosem: szkoda, że nie mam więcej życia nad jedno, bobym wszystkie poświęcił dla religii, Ferdynanda VII i Hiszpanii“. Usiadł na fatalnem krześle, szruba skrzyknęła... i był już trupem. Lud rozrzucony wśród głośnych łkań i jęków, padł na kolana...

Straszne sceny, bolesne widoki, krwawe tragedye, które, niestety, dla tej garści polskich straceńców, którzy na nie patrzyli tu obojętnie, nieraz je powodowali a nieraz sami byli w nich czynnikami, miały z czasem w ich własnej ojczyźnie i na ich własnych dzieciach i wnukach rozegrać się niemniej okropnymi skutkami...

Przeciwko gierylasowi Valdivias postanowiono zrobić ogólną i stanowczą wyprawę. Właśnie dywizya polska, stojąca dotąd ciągle w Maladze, na skutek rozkazu marszałka Soult'a, rozdzieliła się. Pułk 4-ty ruszył wzdłuż morza Śródziemnego na zachód ku Gibraltarowi. Przygody jego, które zawiodły go wkońcu aż na granicę portugalską, jak również historya pułku 7-go i 9-go oraz ułanów, opowiemy później. W końcu kwietnia 1810 r. Polacy opuścili Malagę, żegnani z płaczem przez

mieszkańców, zwłaszcza kobiety, które nie jedną pamiątkę polską w swem łonie, pod sercem nosiły, i na Antequerra, Loja, Granadę pomaszowano do Baza, gdzie połączono się z ułanami. Naczelnie dowodził wyprawą jenerał Milheaud.

ROZDZIAŁ XIV.

Szwolężerowie i Mina.

Wyprawa do Najera. — Wyprawa do Nawarry w góry Pirenejskie. — Starcie pod San Pedro. — Zręczny pomysł Miny. — Odezwa Hiszpanów do szwolężerów. — Pobyt w Bellorade. — Nowa wyprawa na Minę — Starcie pod Janguas. — Marsz do Castrageriz. — Zabawy. — Bal. — Historia z księdzem. — Rozmowa Płackowskiego z markiza. — Sposób przesyłania korespondencji — Wypadek z osłem. — Bitwa pod Bellorade. — Szarża Szeptyckiego. —

Rzeź jeńców i piękny czyn Polaków.

Zostawiliśmy naszych gwardyaków w miasteczku Calahorra nad Ebrem, w obliczu głośnego partyzanta Miny, który całą tę część Nawarry i Arragonii trzymał w szachu i przecinał wszelką komunikacją z Francją. Głównie jednak przebywał on z prawej strony Ebru, w starej Kastylji, w górzystych okolicach tej prowincji.

Robiono na niego liczne i ciągłe wyprawy. Raz dowiedziano się, że wpobliżu, o kilka mil drogi, pokazały się wojska Miny w górskim

miasteczku Najera. Wyruszono w nocy, bardzo cicho, ku temu miastu. Oddział składał się z dwóch batalionów piechoty francuskiej i z jednej kompanii szwolężerów. Dowodził sam generał Rognet. Ciemno jeszcze było, gdy małeńki korpusik franko-polski, stanął pod miastem i otoczono je zaraz pikietami i patrolami. „O samym wschodzie zorzy porannej, opowiada naoczny świadek, mieszkańcy, wstający ze snu, zobaczyli nas, stojących pod miastem, co ich wielką trwogą przejęło; wtem głos narzekający i smutny, i płacz dał się słyszeć, a echo jego rozlegało się między skałami“. Zaraz potem wyszło z miasta kilka znaczniejszych osób i przedstawiło się Rognetowi, który począł się ich wypytywać o Minę, a gdy mu nie chcieli czy nie umieli na to odpowiedzieć, kazał ich rozstrzelać. Szczęściem, że nim zdążono ten dziki i barbarzyński rozkaz wykonać, ujrano zdala jadącego pędem jakiegoś oficera. Był to jakiś generał hiszpański, zgrzybiały staruszek, który począł prosić Rogneta, by wstrzymał tę straszną i bezprawną egzekucją, że on sam jest winien, jeżeli tu kto jest winien i t. d. Dziki Francuz dał się uprosić; mieszkańców wypuszczono, a kilku schwytanych oficerów Miny, zaprowadzono do Logrono i rozstrzelano.

Jeżeli wszędzie ta wojna nosiła na sobie charakter dziki i krwawy, to może najdzikszy przybrała ona właśnie tutaj. Sam Rognet był typem

krwawego żołdaka, których każda dłuższa wojna płodzi, typem godnym surowego napiętnowania przez potomnych. Po wyprawie do Najery, Rognet wyruszył za Ebro, do Nawarry, gdzie miał się skręcić Mina. Na Pampelunę idąc dostano się w góry Pirenejskie, „gdzieśmy Minę ścigali, opowiada cytowany przez nas świadek, przez pięć niedziel, przez różne osady, przepaści i góry niedostępne, ścieżkami, gdzie owce się pasą i chodzą“. Rognet gdziekolwiek przybył, a był tam ślad pobytu Miny, wszędzie kilka osób musiał rozstrzelać, co oczywiście wywoływało szaloną nienawiść do tego krwiożerczego barbarzyńcy. Czasami czyny jego wywołują głębokie oburzenie i żal i wstyd, że takie dzikie zwierzę nosiło miano człowieka.

„Raz, opowiada Płaczkowski, przybyliśmy do jednej osady, stanęliśmy pod nią; patrole i rekonesanse na wszystkie strony rozesłane zostały; a nasz jeden pluton z jenerałem do wsi się udał. Przyjechaliśmy przed jeden dom, stanął jenerał na dziedzińcu i zawołał gospodarza tego domu. Wyszedł Hiszpan w średnim wieku; zapytał go jenerał, czy był tu Mina i w którą stronę się udał? Ten (gospodarz) stojąc przed nim śmiało i przytomnie odpowiedział, że Mina tu nie był i że nie słyszał o nim. Jenerał spoglądając po dziedzińcu spostrzegł ślady popasu, bo na tem miejscu świeżo był rozsypany jęczmień

i sianem naprószono. Pokazuje Hiszpanowi miejsce i te znaki; on odpowiada, że to nie Mina, ani żadne wojsko, tylko kupcy przechodzili z mułami, którzy wieźli wino i żelazo, i oni to popasali. Dalej jenerał grożąc mu srogo, nakazywał zeznać prawdę, inaczej każe go rozstrzelać. Hiszpan swoje powtarzał. W tej prawie chwili, dał się słyszeć strzał i przybiega oficer z raportem, że Mina stoi uformowany w linii na górze niedaleko od tej wsi. Rozgniewany jenerał zaczął nalegać na Hiszpana, żeby prawdę wyznał, lecz gdy tego dopełnić nie chciał, kazał go rozstrzelać przed samymi drzwiami domu. Bynajmniej nieustraszony, sam ukląkł, bez zawiązania oczu, tylko spojrzał na żonę i swoje małoletnie dzieci, w oknie stojące. Gdy wystrzelono, żona i dzieci patrzyły na to; kobieta krzyknęła głosem żałośnym, załamała ręce i wykrzyknęła: „umarł dla ojczyzny, dusza jego prosto pójdzie do nieba!“

Częstokroć dopadano tu i owdzie partyzantów Miny, ale wszystko kończyło się zawsze na niczem. Po krótkiej wzajemnej strzelaninie, Hiszpanie znikali wśród gór i trzeba było parę dni znowu tracić na odszukanie ich śladów. Nieraz szwoleżerowie musieli z koni zsiadać i prowadzić je za cugle po wąskich i przepaściastych ścieżkach. „Zdarzyło nam się, opowiada jeden z tych zuchów, iż chmura przeciągająca dnia jednego

była bardzo ciemna i czarna, ciągnąca się między górami prawie w połowie wysokości tychże gór. Mina uciekający przed nami ginie z oczu w tej chmurze; nie widząc już dalej ani gór wierchołków, ani nieprzyjaciela, stanęliśmy na spoczynek. W kilka chwil Mina począł strzelać do nas całą linią, a to zpoza tej chmury; głos strzałów był głuchy, tak jak gdyby kto uderzył o drzwi kijem, a ogień pobłyskiwał w tej chmurze jak zwyczajna i naturalna błyskawica. Na znaki tego błyskania, nasza linia wodwet do nieprzyjaciela dawała ognia. Dalej i my przez tę chmurę przeszli, a sam wierch góry nad temi chmurami słońcem był oświecony; lecz Mina już się był spuścił z tej góry i na drugą przeszedł¹⁾.

Dopadli go nakoniec nasi szwoleżerowie pod miasteczkiem San Pedro, które na wysokiej, skalistej górze się wznosi, a którego na mapach doszukać się nie mogliśmy¹⁾. Droga do tego miasta szła długim i ciasnym wąwozem, na końcu którego wznosiły się mury San Pedro. Tu Mina czując na piętach nieprzyjaciela i wątpiąc w możność obrony, ze swem źle uzbrojonem i znużonem wojskiem, chwycił się zabawnego środka, który mu jednak zapewnił ocalenie. Na sześciu

¹⁾ W starej Kastylii jest miasto San Pedro, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa zdaje się, że nie jest ono tem samem, pod którym szwoleżerowie spotkali się z Miną.

mułach kazał pozawieszać po dwa kosze, takie jakich w Hiszpanii używają do winogron; w kosze te nakładł pszczoł, skórami dobrze pookrywał, i muły te zostawił przy wejściu do wąwozu. „Przed awangardą naszą szpica, to jest jeden podoficer i dwóch żołnierzy maszerujących, postrzegli, opowiada uczestnik wyprawy, że nieprzyjaciela uciekając wąwozem porzucił muły, przypuszczali więc, że to są z jaką żywnością lub amunicją. Popędzili naprzód aby te muły zabrać. Gdy zaś kosze poodkrywali, pszczoły uderzyły na nich, konie zaczęły skakać, rzucać się o ziemię, muły toż samo i przeraźliwie ryczeć zaczęły. Pluton awangardy maszerując wolno patrzy się na to i widzi, że żołnierze i konie popadały, a strzału żadnego nie słychać; nieprzyjaciela zaś widać zdaleka już wychodzącego z wąwozu i że do bramy miasta wstępuje. Ruszyła tedy awangarda z miejsca galopem na ratunek swoim; jeszcze nie dobiegli a już pszczoły uderzyły i na nich, konie toż samo poczęły skakać, bić się o ziemię i padać, żołnierze z koni lecą, lance łamią, kaleczą siebie i konie“.

„Szwadron nasz stał zdaleka i patrzy co się to dzieje z awangardą; komendant sam chciał dojechać, przypuścił więc galopem; gdy był jeszcze od tamtych zdaleka, już pszczoły uderzyły i na niego; koń zaczął wierzgać nogami, dalej skakać i szarpać się na wszystkie strony. Ko-

mendant zeskoczył z konia na ziemię i puścił go, a sam piechotą opędzając się rękoma do nas przybiegł. Zdaleka już zawołał na nas i daje znak, aby z drogi na bok całym szwadronem zjechać; to się działo o godz. 10-ej przed południem, gdy upał słońca był największy. Cała godzina przeszła nim się awangarda nasza od tych pszczoł uwolniła i obroniła; muły uciekły pomiędzy góry, rycząc i rozbijając się o skały, kosze z siebie pozrzucały i siodła połamały. Żołnierzom pokąsanym od pszczoł, twarze i ręce popuchły, konie podobnie skąsane i opuchłe zostały.

Nim zdołano jaki taki porządek przywrócić, Mina już był daleko. Nastąpiła tylko żwawa strzelanina z małym oddziałkiem piechoty hiszpańskiej, ukrytej w górach, która zresztą w całości się wycofała. Mina przepadł jak kamień w wodę, a znużony tym bezskutecznym pościgiem Rognet, powrócił napowrót do Nawarry, do Logrono. W ogóle wyprawa ta bardzo przykre po sobie zostawiła wspomnienie u szwoleżerów polskich. Ciężkie przeprawy wśród gór, karłowate przechody, straszne egzekucje Rogneta, a nadewszystko ta okoliczność, że kto zachorował, lub był raniony, musiał zostawać na miejscu, bo oddział nie mógł go ze sobą zabierać i wozie z powodu szybkości ruchów i dlatego, że w tych górach żadnym wozem przejechać nie

można. Na nieszczęście zapanowała między szwoleżerami gorączka tyfoidalna i kto zachorował, zostawał rzucony na drodze, lub w jakiej wiosce, gdzie z pewnością był zamęczony przez Hiszpanów. To też wielu z nieszczęsnych polskich strażników „rzewnie płacząc, o ratunek lub śmierć wołali, niektórzy, jeżeli mieli dość sił na to, strzelali do siebie lub bagnietami się przebijali“. Te straszne sceny, ten los okropny, którego każdy z żołnierzy mógł się lada dzień spodziewać, oczywiście nie dodawał uroku tej wyprawie. Z radością więc wracano do Logrono, gdzie przynajmniej były lazarety i choć kilkudniowy spoczynek.

W tym czasie Hiszpanie wydali ciekawą odezwę do polskiego pułku szwoleżerów. Odezwa zaczynała się od tych słów: „Polacy! porzućcie barwy wasze, karmazyn z białym, barwy honoru i niewinności. Wy sami wolności pozbawieni, nachodzicie obcy kraj, katolicki jak wasz, żeby go w niewoli pogrążyć“ i t. d. Jakkolwiek większość szwoleżerów uznawała zupełną słuszość tych zarzutów, przecież nie mogły one mieć skutku wśród żołnierzy przywykłych do posłuszeństwa, zdziczałych wśród strasznej wojny, żołnierzy dla których ostateczny cel walki, kraj własny, ginął powoli przed oczu...

Znad Ebro pułk wrócił na dawniejsze swoje stanowisko, w okolice San Domingo, do mia-

steczka Bellovare, gdzie przybył nowy oddział szwoleżerów pod wodzą kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokowskiego. Obecnie pułk liczył przeszło 400 koni ¹⁾).

Mina uwolniony od pościgu w górach Nawarry, pokazał się znowu z tej strony Ebro. Wyruszył więc przeciw niemu Rognet na czele jednego szwadronu szwoleżerów i oddziału piechoty gwardyi francuskiej, liczącego 6000 ludzi. W mieście Soria, przy pomocy szpiega, Hiszpana, bo i taki zdrajca niecnym się znalazł, dowiedział się wódz francuski, że Mina znajduje się na północ od Sorii, w górach, zwanych Sierra Cebollera. Wyruszono w nocy tak cicho, że mieszkańcy miasta o tem nie wiedzieli, a wiódł wyprawę ów zdrajca Hiszpan. Przymaszerowaliśmy pod jedną wieś, która na uboczu wysokiej góry leżała, opowiada Płaczkowski. Dzień ledwie świtać zaczął. Rognet rozkazał stanąć i posłał pluton jeden piechoty i adjutanta swojego na plebanią, gdy wszyscy mieszkańcy tej wsi w tym czasie jeszcze spali. My o niczem nie wiedząc, postrzegamy w prędkim czasie wracających Francuzów, i prowadzących dwie osoby nieubrane i prosto z łóżka wyciągnięte. Było jeden kapitan hiszpański, który przybył z Wallencyi dla zebrania powstańców, a drugi ksiądz pleban staruszek.

¹⁾ *Zaluski*, loc. cit.

Krótko się generał z nimi rozmówił i zaraz kazał najprzód kapitana rozstrzelać, a gdy wystrzelono, to na ten huk wszyscy mieszkańcy przebudzeni i nieubrani jedni z domów uciekali, drudzy z okien patrzyli i krzyczeli głosami przeraźliwymi z płaczem i narzekaniem: a to działo się, gdy tylko dzień świtać zaczynał. Potem rozkazał generał i księdza plebana rozstrzelać, który pewnie wieku lat 80 liczył; my wszyscy jednym głosem odezwaliliśmy się do generała, prosząc go, aby darował życie temu księdzu, bo on i tak z samego przestachu umrze; na prośbę naszą było mu darowane życie i tego staruszka zostawiliśmy samego pod drzewem stojącego już prawie bez przytomności“.

Rognet więc postępował dawnym swym obyczajem. Winnych i niewinnych mordował; gdzie się pokazał, tam za nim szła śmierć. Dognano na koniec gierylasów pod miasteczkiem Janguas, wśród gór. Hiszpanie stali w rozwiniętej linii bojowej, gotowi do przyjęcia ataku. Zebrały się tu znaczne siły partyzantów, pod dowództwem różnych naczelników gierylasowskich, mianowicie: Juliana, Anvora, Gaspariego i sławnej w tej dobie Donny Kamilli, która niedawno w Nawarze w miasteczku Arro wyrznęła cały garnizon francuski. Tutaj jednak, pod Janguas, w przeddzień bitwy, zaszły spory między dowódcami hiszpańskimi, rezultatem czego było odsunięcie od ko-

mendy Donny Kamilli i osadzenie jej w areszcie, w samotnej kapliczce, stojącej za miastem między górami.

Starcie było krótkie i stanowcze. Rognet rozdzielił szwadron szwoleżerów na dwie części: jednej kazał uderzyć na jazdę, drugiej na piechotę hiszpańską. Szwoleżerowie ze zwykłą sobie brawurą poszli do ataku. Jazda powstańcza nie wytrzymała szarży i odrazu pierzchnęła; piechota zaś cofnęła się nad brzeg rzeczki skalistej i stromy, i tu osadziwszy się, poczęła razić strzałami szwoleżerów, którzy do niej dostać się nie mogli. Tu kilku Polaków było ranionych. Rognet więc wysłał swoją francuską piechotę, która wyparła powstańców z pozycji i wrzuciła ich do miasteczka, gdzie na cmentarzu koło kościoła, Hiszpanie osłonięni murem, zacięty stawili opór, tak że ich wszystkich wyklóto, ledwie garść zdołała ująć w góry.

Miasteczko Janguas, cicha, górská osada, uległa straszemu losowi. Krwawy Rognet pozwolił na to, że je zrabowano i zniszczono. Rozpoczęły się znane nam już sceny mordowania starców i dzieci, publicznego gwałcenia kobiet, sceny krzyczącego o pomstę do nieba bezprawia.

„W tem miasteczku, mówi Płaczkowski, wpadło nam w rękę kilka wachlarzyków kobiecych z materyi atłasowej białej i słoniowej kości zrobionych, jako paszkwil na króla Józefa Napo-

leona; bo na nich był wryty portret jego, a pod spodem wierszem opisane było jego spotkanie, przywitanie i bawienie się z nim w pałacu św. Marcina, gdy do stolicy Madrytu jako król wjeżdżał, i że te damy, co się bawiły z nim, byłyto nierządnicę z klasy najpodlejszej, umyślnie na to przysłane, ubrane i ustrojone bogato, jakby jakie grandesy, na wzgardę osoby jego“.

Z Janguas, Rognet z oddziałem powrócił do Bellovare, zkąd w końcu maja, wśród uroków cudownej hiszpańskiej wiosny, wymaszerowano w kierunku Leonu, do miasta Castroxeriz, nad rzeką Pisnergą.

Tu szwoleżerowie wiedli żywot napół rycerski, wojowniczy i napół wesoły. Partyzantka w okolicy tak dalece się rozrosła, że naprawdę nie miano ani jednej chwili spokojnej; co większa, musiano dla własnego bezpieczeństwa ufortyfikować klasztor, w którym pułk stanął załogą. Gdy kąpano się w rzece, to część pułku musiała straż trzymać i konie stały nad wodą okulbaczony i gotowe na wszelki wypadek. Mimo to wszystko jednak, wśród tego życia niedającego pewności jutra, młodzi szwoleżerowie bawili się wesoło. Czas był piękny, letni, bo maj miał się ku końcowi. Pułkownik Wincenty hr. Krasiński, namówił oficerów do zrobienia składki i wydania kilku balów, co też zrobiono. Płanik pułkowy Józef Hofman urządził w klasztorze przesliczną

salę balową. Przywołano senora alkada, jako pierwszego urzędnika miasta; oświadczone mu swój zamiar i proszono go, aby bilety na bal sam rozpiisał i rozesał po domach, czego ten dopełnił. „Muzyka była naszą pułkowa, z hiszpańską połączona, opowiada uczestnik tych zabaw. Dla spotkania i przyjmowania gości na bal, kilku było z nas naznaczonych. Gdy czas balu się zbliżył, poczęli goście przybywać; jedni piechotą, inni na koniach, mułach i osłach przyjeżdżali. Te były przystrojone w siodła pojedyncze i podwójne, jedwabnymi materyami, adamaszkami i aksamitami różnych kolorów wybijane i obszywane galonami, frendzlami i kutasami; grzywy ich i ogony szerokimi wstążkami różnych kolorów były ozdobione w fontazie i kokardy, a na głowach tych zwierząt, strusie pióra powiewały.

„Ktokolwiek z gości przybył przed dom balowy, to go zaraz dwóch Hiszpanów u drzwi stojących i znających dobrze nazwiska osób, ogłaszało, wołając głośno, że *marquez* lub *marqueza* ta i ta przybyli. My na ten odgłos zbiegamy z góry, spotykamy, przyjmujemy i prowadzimy do salonu. Między przyjeżdżającymi na bal, była dziewczyna, córka *marquezy* dziwnie i czarująco piękna; ta przyjechała na osle; pułkownik kazał nam ją wraz z jej wierzchowcem przynieść na salę, cośmy i dopełnili i wraz

z osłem na górę ją po schodach wynieśli, z czego ona była mocno uradowana. Muzyka grała polonezy i mazurki, co się Hiszpanom bardzo podobało i tańcowali razem z nami mazurka, a od pierwszego razu tak dobrze tańcować potrafili, że prawie każda para inną figurę robiła, a to nader zgrabnie i śpiesznie. Tańcowali swoje narodowe tańce, fandango i bollero. Ze wszystkich Hiszpanów najpiękniej i najlepiej umieli tańcować niektórzy ich księża. Na jednym z balów naszych, Hiszpanie namówili pułkownika, aby jednego z obecnych tamże księży, który umiał doskonale tańcować, zmusił odtńczyć bollero z zawiązanymi oczami; więc ten kazał księdzu wraz z damą jedną wystąpić, zawiązano mu oczy i kilkanaście jaj kurzych w prostej linii na posadzce położono. Pułkownik chcąc go nastraszyć, kazał przynieść parę pistoletów, położył na stole i oświadczył mu, że jeżeli tańcząc choć jedno jajko rozbije, to mu głowę roztrzaska; lecz on nie tracąc odwagi i przytomności, tańcował wszystkie figury bez naruszenia żadnego jajka“.

Słowem pobyt w Castroxeriz był bardzo wesoły, wprawdzie nie dla Hiszpanów i Hiszpanek. W czasie jednej z wypraw, gdy Polacy na chwilę opuścili miasto, zjawili się tam powstańcy i wszystkich tych, którzy na balach bywali różgami osiekli.

Stano w Castroxeriz dwa miesiące, w którym to czasie, częstokroć po kilka dni nie miano żadnych wiadomości, co się na świecie dzieje, tak dalece gierylasi przecinali wszelką komunikacyą. Z korespondencyą musiano wysyłać całe plutony, a i tak częstokroć ona nie dochodziła. Później chwycono się innego środka. Wysłano mianowicie z korespondencyą i raportami księży hiszpańskich pod zagrożeniem, że jeżeli nie oddadzą we właściwe ręce powierzonych im papierów, to oprócz odpowiedzialności osobistej, cały ich majątek zostanie skonfiskowany¹⁾.

Toczono obok tego ciągłe boje. Niekiedy przydarzały się zabawne wypadki. Raz wśród nocy burzliwej i dżdżystej, jedna z pikiet dała ognia. „Stanęliśmy zaraz pod bronią, opowiada Płaczkowski, i tak stać musieliśmy noc całą, aż dniem wysłano patrole na wszystkie strony. Żołnierz, który stojąc na pikiecie wystrzelił z karabinka, mówi i dowodzi, że z boku od gór ktoś się skradał na koniu ku niemu; wołał po razy trzy kto idzie, nie odpowiadano i dlatego, wystrzelił. Wysłano patrole w tę stronę, ale nie nigdzie nie spotkali, ani znaleźli, dopiero gdy dzień zaczęło, patrole przechodzące znajdując osła świeżo zastrzelonego, który cały dzień pasł

¹⁾ Stanisław Hempel. Z czasów napoleońskich, wspomnienia wojenne (Lwów 1855 r.).

się w górach, ale gdy mu powietrze dżdżyste i zimne dokuczyło, powracał do wsi i przeto szedł na pikietę; żołnierz strzelił i tego biedaka zabił“.

Nakoniec przyszło do większej bitwy z Miną, którą stoczono pod Bellovare, miastem leżącym między San Domingo i Burgos. Obliczano całą siłę hiszpańską na 5000 ludzi, mimoto, choć siły franko-polskie były znacznie mniejsze, po parogodzinym zaledwie boju, Mina został zupełnie rozбит. Świetna szarża szwoleżerów, pod kapitanem Szeptyckim roztrąciła wszystko. „Kilkunastu oficerów, opowiada tylokrotnie przez nas cytowany naoczny świadek, zabraliśmy do niewoli. Przyprowadziliśmy ich do miasta i gdy zobaczył Bessiers, gniewał się na nas dłaczegośmy im pardonowali. Na to pułkownik nasz odpowiedział, iż świadczy żołnierza oręż krwią zbroczony, jak się żołnierze z nieprzyjacielem bili i tak byli strudzeni, że tych już nawet pozabijać nie zdołali. Bessiers natychmiast dał rozkaz ich rozstrzelać. Jednego z tych, mającego zaledwie lat 17, ukryliśmy tym sposobem, że stojąc na placu we fronsie z końmi w ręku, wzięliśmy go pomiędzy siebie, wcisnęli między konie, płaszcz i czapkę naszą na niego włożyli i tak gdyśmy rozchodzili się na kwatery, poszedł razem z nami. Przyszedłszy na kwaterę, zawołaliśmy gospoda-

rza i oddaliśmy młodzieńca w jego ręce, innych na placu natychmiast rozstrzelano“.

Miało się już pod jesień, i nim do ważniejszych wypadków zostaną powołani szwoleżerowie polscy, my opiszemy dalszy ciąg dziejów Legii Nadwiślańskiej.

ROZDZIAŁ XV. Oblężenie Tortozy.

Marsz Legii pod Tortozę. — Waleczna obrona kompanii Brandta. — Obóz. — Śmierć kapitana Bala. — Dzień 3-go sierpnia i waleczność Chłopickiego. — Brandt jako parlamentarzysta i jego trębacz Jankowski. — Chłopicki wyrusza przeciw powstańcom. — Jeszcze o Chłopickim. — Poddanie się Tortozy.

Było to w początkach lipca 1810 r. gdy armia aragońska pod wodzą marszałka Sucheta, wybrała się do Katalonii, celem oblegania silnej twierdzy Tortozy, leżącej przy ujściu Ebro do morza. W armii tej, jak wiadomo, znajdowała się nasza Legia Nadwiślańska, która znowu, podobnie jak w Saragossie, miała wytrzymać długą, krwawą i nużącą walkę pod murami twierdzy, bronionej zacięciem i walecznie.

Z Calamochoy na La Jana, Legia przybyła do San Mateo, miasteczka leżącego w pobliżu Tortozy. Znajdowano się tu na granicy Walencji i Katalonii, wśród lata, wśród cudownej, połu-

dniowej natury, mało dotąd znanej wojownikom Legii, gdyż przez cały czas swego pobytu w Hiszpanii deptali tylko surowe, górskie i dzikie okolice Arragonii. Teraz inny świat i inna przyroda przed nimi się roztaczała. To też jeden z nich woła w zachwycie: „czemże jest Arragonia w porównaniu z Walencją! Z licznych ogrodów wyziera kwitnąca „*jucca gloriosa*“, błękitne, kolczaste, olbrzymie liście agawy przerastają ogrodzenia o 30 do 40 stóp. Pod drzewami mirtów i pomarańcz obozowali rozkosznie synowie północy; mnie samemu zdawało się, że jestem uczestnikiem jakiejś wędrówki ludów, którą wiódł imperator Gallów. Obozowaliśmy wprawdzie nie w domach, ale mimo tego mieszkańcy, którzy nie opuścili tutaj okolic, odwiedzali często nasz obóz“.

Niewielka armia Sucheta skoncentrowała się w Uldekonie, i ztąd dnia 3-go lipca ruszono do Tortozy. Na godzinę drogi przed tem miastem, awangarda, złożona z jednego batalionu wołyżerów z 2-go pułku Legii, rotę ułanów polskich i 4 dział, dowodzona przez pułkownika sztabu, Francuza Masclop, spotkała batalion gwardyi walońskiej. Natarto na nich tak gwałtownie, zwłaszcza dzielni ułani, że rozbito doszczętnie, i awangarda wprzód stanęła przed miastem, niż Hiszpanie. Tu pułkownik Masclop zatrzymał się i rozstawił swoje siły, jak można było najlepiej, tu nakoniec

odznaczył się znowu znany nam już pamiętnikarz Brandt. Oto, jak o tem sam opowiada:

„Mnie dano rozkaz podejść na czele kompanii wielką drogą od La Roquette. Niepowstrzymani ani jednym strzałem, sądziliśmy, że szaniec został opuszczony, co mię skusiło do zbliżenia się aż pod palisady drogi niemi zakrytej. Zdaje mi się, że była tu możność opanowania szanca, gdyby wszystkie kompanie były odrazu natarły. Słyszeliśmy, jak w oszańcowaniu nawoływali się Hiszpanie: *los Franceses, los enemigos, a las armas*. (Francuzi, nieprzyjaciele, do broni). W tem ze strony przeciwnej, ze starego zamczyska Castillo Viejo zahuczał nagle pierwszy wystrzał. Kula armatnia warknęła przelatując nad nami prosto w rzekę Huertę. Ale w szanecu podmostowym powstał teraz ruch szalony, w mieście uderzono na gwałt we dzwony i ztąd w oddaleniu 650 kroków, którą przestrzeń zajmowała rzeka, słyszeliśmy piekielną wrzawę w mieście, okrzyki tłumów, alarm żołnierzy i hasła do boju. Szaniec okrył się wkrótce jak makiem, czerwonymi czapkami, a ogień żywy zmusił nas do odwrotu, tem szybszego, że na odległość armatniego strzału zburzone były wszystkie budowle i ścięte drzewa. Usadowiliśmy się dopiero o 500 kroków od stoku szanców, w domu otoczonym ogrodem. Dom był dwupiętrowy, podłużnym frontem zwrócony do ogrodu, obwiedzionego murem dokoła.

„Ponieważ nie odebrałem żadnego rozkazu, postanowiłem więc bronić się tutaj wszelkimi siłami w nadziei, że niebawem nadejdzie odsiecz przeciw siłom przeważnym. Część ludzi przeznaczyłem do strzeżenia murów ogrodowych, z resztą zająłem dom w ten sposób, że trzecia część kompanii pozostawała w rezerwie. Jeszcze nie ukończył wszystkich przygotowań, które sobie sam podyktowałem, gdy przeciw domowi rozpoczęła się straszliwa kanonada. Sypano ogniem niemilkącym z trzech stron: ze szanica przedmostowego, z baterii położonej na przeciwnym wybrzeżu i z Castillo Viejo. Dach na budynku runął wkrótce w gruzy; cała ściana domu od strony miasta była podziurawiona jak sito. Ze szanica przedmostowego usiłowano koniecznie zburzyć sam mur, osłaniający dom w ogrodzie.

„Wtem umilkł nagle ogień na chwilę. Z szanica wysypało się kilka tysięcy żołnierzy hiszpańskich w czerwonych czapkach; większa część tego tłumu zwróciła się przeciw domowi, reszta podążyła brzegami Ebru. Rozpoczął się niebawem żywy ogień, który z początku silniejszy był i skuteczny z naszej strony, ale gdy bateria zamkowa nie przestała sypać bomb i granatów, gdy drugie piętro mego schronienia runęło także w gruzy, a nieuszkodzone izby w domu napełniły się rannymi i zabitymi, musieliśmy nieco powstrzymać ogień. Hiszpanie dotarli aż pod mur ogrodowy.

wtargnęli przez wyłom do ogrodu i spędzili z tamtąd moich żołnierzy. Na szczęście przy ponownem natarciu tych wściekłych mikeletów (powstańców) hiszpańskich, osłabił nieco ogień armatni. Z ogrodu wypędziliśmy wprawdzie Hiszpanów, ale z murów za to nie przestawali nas razić ogniem. „Położenie nasze, panie poruczniku, zaczyna być czarne“, rzekł do mnie jeden z sierżantów. Nie wiem z jakiej przyczyny nastąpiła chwila przerwy w atakach nieprzyjaciela. Słońce stało już wysoko, ale o jakiegokolwiek pomocy nie było jeszcze ani słychu. Korzystałem z chwili wytchnienia, ażeby wyrównać nieco ubytek amunicji. Najdokuczliwiej dawało nam się uczuwać pragnienie, a jedyna studnia w ogrodzie była wystawiona na morderczy ogień nieprzyjacielski. Z podporucznikiem Krakowskim i podoficerem kompanii Szewczykiem odbyliśmy naradę, coby począć w razie ponownego natarcia, byliśmy bowiem tak otoczeni, że o przebiciu się nie było można ani zamaryć. Postanowiliśmy tedy ustępować z izby do izby i pogrzebać się raczej w gruzach niż poddać. Byliśmy zresztą przekonani, że niebawem powinna nadejść chwila oswobodzenia i tem przekonaniem, objawiając je głośno żołnierzom, dodaliśmy im otuchy. Wistocie jednak położenie było okropne. Opasani zewsząd żywym murem zajął go nieprzyjaciela, wystawieni na ogień baterii, odcięci zupełnie od sił głównych wojska naszego,

upadaliśmy do tego ze znużenia po forsownym marszu i po świeżej, krwawej walce z siłami dziesięćkroć przemagającemi.

„Ogień nieprzyjacielski nie był już tak natarczywy, ale nie ustawał. W ciągu tego postrzegaliśmy na drodze do Roquetty ruch pomiędzy czerwonymi czapkami Hiszpanów. Usuwali się z drogi i kryli w las gęsty po obu stronach drogi. Zdawało nam się, że będą znowu nacierali. Tymczasem kilkadziesiąt naszych strażów, wymierzonych przez okna i dziury w murze spędziły ich zupełnie. Uszli do szańca przedmostowego. Jednocześnie i żołnierze i ochotnicy, którzy nas opasywali dotąd, cofnęli się nagle i uszli ku rzece. W chwilę później ukazały się czoła naszych kolumn na drodze z Walencyi i obsadziły obręb skrajny ogrodów, ciągnących się w półkole około fortyfikacyi. Wypadliśmy niezwłocznie w pogoń za nieprzyjacielem, powitał nas jednak gwałtowny ogień z szanców. Jedna kula armatnia zarywszy się w ziemię, obsypała mię literalnie piaskiem i ziemią; kula karabinowa zadrasnęła mi prawą rękę i kilka kawałków siekanego ołowiu utkwіło mi w ręce. Kawałeczek ołowiu pozostał w ranie mimo operacyi i dziś jeszcze, po pięćdziesięciu blisko leciech, bóle w starych ranach przypominają mi żywo pierwszy dzień oblężenia Tortozy.

„Ledwo się otrząsałem z deszczu piaszczystego i przetrąłem oczy, zjawił się znowu, nagle jak

zawsze, jenerał Chłopicki, kazał ludziom moim ustąpić i utworzyć łańcuch forpoczt ze sił świeżych“.

W obozie pobudowano sobie baraki, urządzono się jak można było najlepiej. Obóz ten leżał w prawdziwie rajskiej dolinie, między rzeką Jertą, a drogą do Walencyi. Wieczorem płonęły wesołe ognie, a chociaż Hiszpanie z redut posyłać strzały armatnie, nie zwracano na to wcale uwagi. Dostarczono niezwykłą obfitość żywności; pod cieniem drzew figowych spożywano wyborną pieczeń baranią z kartoflami i pito jasne, bezwonne, niemniej przeto doskonałe wino walencyjskie. Żołnierze podpiłi sobie nieco, a między wołyżerami polskimi, zdarzył się tragiczny wypadek tegoż wieczoru. Jeden z nich, dobrze mający w głowie, zawołał:

— Niech Bóg błogosławi burmistrza, który mię wybrał na żołnierza. Pan burmistrz pewnie w swoim życiu nie kosztował nigdy ani takiego wina, ani takiej czekolady. Niech żyje!

Ale w chwili, gdy podniósł kubek, ażeby spełnić toast za zdrowie burmistrza, gwizdnęła kula armatnia z cytadeli i zdjęła wesołą głowę z korpusu tak, jakby ją kto sztucznie oddzielił od ciała.

— Szkoda, — rzekł jeden z kolegów zabitego — bytło dzielny żołnierz i dobry towarzysz.

— I straszny opój — dodał kapral. — Poczem zabrano zwłoki i odłożono nieco opodał.

Od dnia 6 lipca grzniały z obu stron działa i toczyły się liczne, uparte walki. Polacy, jak zwykle, zajmowali najniebezpieczniejsze stanowiska i krwią swoją obficie zlewali fosy i wały Tortozy. W d. 12 poległ kapitan grenadyerów 2-go pułku Legii, Bal. Zajmował on ten sam dom, w którym pierwszego dnia przybycia pod Tortozę, bronił się Brandt tak walecznie. Hiszpanie zrobili wycieczkę i chcieli ten dom opanować, ale odrzuceni zostali przez Bala. Nie powiodły im się i dwa nowe ataki. Wtem koło południa zaczął podchodzić pluton złożony z 20-tu Hiszpanów, który jednak niezwłocznie zawrócił, postrzegłszy polską placówkę. Tylko jeden z Hiszpanów dał ognia, i ta nieszczęsna, na ślepo puszczone kula, ugodziła męznego kapitana Bala, który był w tylu walkach, oblężeniach i mniejszych starciach, a nigdy dotąd nie odniósł ani zadraśnięcia. Kula trafiła go w czoło, przeszła mózg i wyszła tylną częścią głowy. Kapitan legł, jak rażony piorunem, nie wydawszy ani głosu z piersi. „Dzielny ten oficer, opowiada jeden z jego kolegów, zostawił po sobie żal powszechny. Ubrał się był, jakto było jego zwyczajem, gdy szedł na służbę, w najparadniejszy mundur. Chwalił właśnie swoich grenadyerów za dzielną postawę, kiedy śmierć zabrała go tak nagle i tak niespodzianie“.

Do końca lipca upływał czas na mniejszych utarczkach, ale dnia 3 sierpnia o mało, że cała siła oblegających nie została zdeorganizowaną, gdyby jej nie uratował swem męstwem i przytomnością generał Chłopicki: „W dniu tym, opowiada naoczny świadek, bez poprzedniej walki zrobili Hiszpanie silną wycieczkę z wielką masą wojska regularnego i tłumami mikeletów. Cała jednak ława żywych kolumn nieprzyjacielskich rozbiła się o jeden pułk nadwiślański, którym dowodził sam generał Chłopicki, równie niespodzianie zaskoczony natarciem, jak i inne części obozu.

„Było to, jak mówię, 3 sierpnia. Około 4-tej godziny po południu huknęło nagle, wyleciał strzał armatni jeden, drugi i trzeci. Słyszeliśmy jak przeleciały nam nad głowami, bomby na wioskę Roquetę. Ponieważ upał był niesłychany, wielu zatem oficerów wypoczywało w cieniu drzew w zupełnym prawie negliżu. Ja zerwałem się z miejsca i zawołaawszy: „to jakieś hasło!“ poleciałem do mojej kompanii. Koledzy moi drwili z pośpiechu, z jakim się oddalałem. Ale nim dobiegłem do baraków kompanii, rozpoczął się już ogień w przykopach. Doświadczeni nasi w rzemiośle wojennem żołnierze stanęli w oka mgnieniu pod bronią. Niektórzy wprawdzie niezupełnie po formie byli ubrani, ale broń znajdowała się we wzorowym porządku.

„Byłem jeszcze zajęty porządkowaniem kompanii, gdy nam kule jak muchy natrętne zaczęły pogwizdywać nad głową. W tej chwili zjawił się generał Chłopicki w płaszczu wprawdzie, ale tylko w nankinowych spodniach, w trzewikach i z prętem w ręku.

— Grenadyerowie w prawo, woltżyerowie w lewo! — zawołał znanym nam dobrze, przejmującym głosem. — W lewo i w prawo kolumnami podchódź!

Zaledwie rozkaz ten wykonany został, zakomenderował znowu: na bagnety! i na czele dwóch kompanij, rzucił się sam przeciw naciskającym na okopy Hiszpanom. Reszta kompanij pośpieszyła zaraz za nami. Przyszło do walki pierwszemu z nieprzyjacielem. Wkrótce byliśmy znowu panami przykopów po naszej stronie, gdy na dalszych punktach linii obronnej walka jeszcze trwała. Na naszym lewym skrzydle wtargnęło kilka szwadronów jazdy hiszpańskiej aż do wioski i pod główną kwaterę generała Lavała. Pułk tej jazdy został prawie zupełnie rozbity przez grenadyerów francuskich.

„O godzinie wpół do piątej, żołnierze nasi od lewego skrzydła, zajęli już byli napowrót wszystkie swoje pozycje. Walka trwała krótko, ale była niesłychanie gwałtowna. Wielu Hiszpanów, szczególnie powstańców, znajdowało się w stanie opilstwa. Niektórzy z nich rzucali się naoslep,

jakby z rozpaczą i padali pod ciosami naszych bagnetów. Zrozpaczeni ci szukali szczególnie oficerów; napadł i mnie jeden w ciągu walki, ale sierżant Dochowicz odwrócił cios i utopił bagnet w piersi inikeleta.

„Wszystko to trwało, jak rzekłem, kwadrans a najwięcej pół godziny. Przyprowadzonych z wielu stron pola potyczki jeńców, znalazło się około 200. W rzędzie ich było wielu podoficerów i kilku oficerów sztabowych. Pułk nasz (2-gi) wytrzymawszy główny zamach nieprzyjaciela, liczył mnóstwo rannych i zabitych. Poległ także kapitan Solnicki, doskonały mentor dla oficerów niższych stopni, ale wskutek wielkiej surowości, nie lubiany przez żołnierzy. Kiedy go przyniesiono do obozu, otworzył na chwilę oczy i powiedział słabym głosem: „o, jak mi błogo!“ i oddał Bogu ducha. Kapitanowi Małdrzykowskiemu strzaskała kula obojczyk. Zresztą odnieśli z oficerów lekkie rany porucznicy Niedzielski, Dobrzycki i wielu innych“.

Następne dni były dość spokojne. W tym czasie z obozu polsko-francuskiego wysłano porucznika Brandta w charakterze parlamentarza do Tortozy, ażeby tam wydano rozmaite rzeczy dla jeńców, wziętych w d. 3 sierpnia. Posłuchajmy relacji samego autora:

„Ubrałem się w najparadniejszy mundur, przypiąłem najnowsze epolety, zadzierzgnąłem nową wstążeczkę do moich orderów i kazałem na stare

i świeże rany przylepić sobie czarne plastry. Wystróilem potem mego trębacza Jankowskiego i zakląłem go na wszystko, żeby się przypadkiem nie upił. Zabrawszy potrzebne listy, udałem się do przykopu pod Casa blanca. Przybywszy tutaj kazałem Jankowskiemu dać hasło na trąbce, poczem wyszedłszy za okopy obozowe na drogę, szliśmy ciągle oznajmiając się trąbką. Zaledwośmy się zbliżyli do krzyża na drodze, gdzie się poczyniała droga opalisadowana, usłyszeliśmy ostrzegające nas głosy. Wołano, żeby stanąć albo dadzą ognia. Niebawem też wyszedł zza okopów hiszpański oficer już nie młody, także z trębaczem, zapytał czego chcę, i robił mi wyrzuty, że się tak daleko podsunałem. Kiedym odpowiedział, że mogli mię byli wcześniej zatrzymać, uznał słuszność mojej uwagi, zawiązał mi oczy i pytał, jakie mam polecenie do wykonania. Wysłuchał spokojnie i chciał ażeby mi powierzył dane mi listy. Gdym odpowiedział, że mogę je oddać tylko samemu dowódcy miasta, oświadczył, że nie może nic postanowić, lecz musi zasięgnąć rozkazu wyższego. Wysłał więc swego trębacza, a tymczasem rozpoczęliśmy pogadankę o jeńcach, w których interesie przybywałem. Czekałem dość długo, nim przybył drugi oficer, przynoszący mi pozwolenie wejścia do miasta. Obydwaj ci panowie ujęli mię pod ręce i poprowadzili przez szaniec przedmостowy do miasta. Polecono mi, ażeby odmierzył

krokami szerokość mostu, przez który przechodziłem. Zrobiłem to, ale wątpię, żeby sprawozdanie moje było ścisłe, pomimo bowiem, że oczy miałem zakryte, byłem rozerwany (sic) raz tem, co do koła siebie słyszałem, a powtórę rozmowę z moimi przewodnikami. Ze szmeru stłumionej rozmowy nie trudno mi się było domyśleć, że przechodzę wśród licznych tłumów. Niekiedy obijała mi się o uszy uwaga; „Wszakże to jeszcze bardzo młody człowiek“. Kilka razy jednak usłyszałem także namiętny wykrzyknik: *al viage de sangre con el carajo!* (na krwawą drogę z tym...) Powiedziano mi później, że drogą krwawą nazywało się pewne miejsce w mieście, gdzie w czasie oblężenia Tortozy przez księcia Orleańskiego, stracono kilku Francuzów. Nakoniec u jakiegoś rogu ulicy załamała się droga i wkrótce wprowadzono mię po kilku schodach do domu. Tutaj skoro mi zdjęto przepaskę z oczu, znalazłem się bezpośrednio przed obliczem pana gubernatora, jenerała hrabiego De Alacha. Przyznam się, że osobistość pana jenerała nie zrobiła na mnie wcale imponującego wrażenia.

— Ekscelencyo, — zagadnąłem jenerała w języku francuskim — mam honor wręczyć panu listy, które mi powierzyli oficerowie wyżsi, zabrani do niewoli w d. 3 sierpnia i list od jenerała Lavalá.

— Wielce obowiązany *sennor Capitano* — odpowiedział jenerał i wszedł w towarzystwie kilku

wyższych oficerów do drugiego pokoju. Kilku pozostałych oficerów młodszych i starszych wiekiem, zaczęli mię traktować czekoladą i mrożoną wodą. Za wino podane mi także, podziękowałem, nie chcąc wypić ani kieliszka.

— Panowie tam w polu pędzicie bardzo skromny żywot — rzekł jeden z młodszych oficerów. — Tutaj mógłbyś pan żyć wygodniej.

— Przywykliśmy do wszystkiego — odpowiedziałem. — Sądzimy zresztą, że skromne życie i niewygody zgadzają się właśnie najlepiej ze stanem żołnierskim. Liczymy zresztą na przyszłość.

— Podobno nie bardzo ponętnie się zapowiada — zauważył z ironią.

Odpowiedziałem, że wszystko to wkońcu w ręku Boga. Wkrótce już powrócił pan gubernator z drugiego pokoju i dał mi list do jego ekscelencyi generała Lavalá. Po chwili spytał zdziwiony, czy dopiero kapitanem jestem. Gdym odrzekł, że jestem dopiero porucznikiem, zawołał pan generał:

— A, mój Boże! Gdybyś pan wstąpił w nasze szeregi, byłbyś podpułkownikiem.

Odezwanie się takie zamknęło mi usta i dopiero po chwili zdobyłem się na odpowiedź.

— Czyliżby jednak hiszpańscy panowie oficerowie zechcieli służyć z kimś, ktoby się splamił dezercją? I nie czekając na odpowiedź, prosiłem, ażeby mi pozwolono wracać. Ale proszę sobie wyobrazić zdumienie moje, gdy, skorom wyszedł

do sieni ogromnej, trębacz mój pijany potężnie, oświadczył mi, że nie myśli powracać, bo chce wstąpić w służbę hiszpańską.

— Jako? — przemówiłem do Jankowskiego — to ciebie poto wybrali z całego pułku mnie do towarzystwa, żebyś zrobił wstyd całemu pułkowi? Dobrze, powrócę sam, a ty zostań i patrz jak twoich własnych braci i ziomków zabijać będą i mordować.

Rzekłszy to, puściłem się prosto ku drzwiom. W tej chwili widać pocziwy mój Jankowski, bardzo zresztą przywiązany do mnie, musiał się namyśleć, dobył bowiem z kieszeni sakiewkę, w której mogło być 12 do 15 bitych talarów, rzucił ją na posadzkę i zawołał z mazurską:

— Zabierzcie sobie te srebrniki Judasowe, ja idę z moim porucznikiem.

Ani jeden głos się nie odezwał, gdyśmy przechodzili wśród wielkiego tłumu ludzi. U schodów dano nam znowu przepaski na oczy i tu dopiero, na ulicy, odezwały się znowuż te same pogrożki, złorzeczenia i wykrzykniki, towarzyszące nam aż za przyczółek mostowy. Za powrotem do obozu zdałem sprawę pułkownikowi z poselstwa i oddałem mu list gubernatora głównodowodzącego Tortozą.

Takie życie pędzono pod twierdzą katalońską. W sierpniu stracił pułk 2-gi Legii jeszcze jednego oficera, kapitana Wyganowskiego. Znalezione go

niedaleko od obozu zamordowanego. Śmierć ta na Legionistach zrobiła silne wrażenie, zwłaszcza, że pokryta była tajemniczością i nosiła na sobie charakter głębokiej tragiczności. Wyganowski, rzadki wyjątek w tej dobie żołnierki dla żołnierki, sarkał nieraz na rodzaj wojowania, jaki prowadzono w Hiszpanii i na sposób postępowania z miejscową ludnością. Oświadczał zawsze głośno, że Hiszpanie mają za sobą wszelką słuszość, że dobrze robią, iż się bronią jak mogą i wobec bezlitośnego najazdu nie brał im za złe zasadzek i skrytobójstwa, popełnianego na pojedynczych osobach armii nieprzyjacielskiej. Powtarzane tego rodzaju poglądy były bodaj unikatem, nietylko już między Francuzami, ale nawet między Polakami i dobrze one świadczą, że ciężko obrażone sumienie ludzkie nie umilkło zupełnie w tych duszach straceńców. Wyganowski prócz tego tak tęsknił za krajem rodzinnym, że dniem i nocą marzył tylko o brzegach Prosny, o jej okolicach i dworku z gankiem. Z rok trwała pisanina, nim kapitan uzyskał dymisy, która go doszła, gdy się znajdował w Morelli na czele załogi z 200 ludzi złożonej. Ledwo dostał dymisy, zwierzył się jakiemuś Hiszpanowi, że myśli opuścić półwysep pirenejski i potrafił w ten sposób uzyskać pasporty od hiszpańskich generałów Villacampy i Barsoncourta. Umówił się następnie z jakimś przewodnikiem, który za sówitą opłatą miał go

doprowadzić aż do obozu pod Tortozą. Jakoż kapitan przebrany pohiszpańsku dostał się szczęśliwie do pierwszych straży obozowych. Tu jednak padł ofiarą pod ciosem sztyletu skrytobójcy. Śmierć jego pozostała tajemnicą na zawsze. Człowiek, któremu się Wyganowski powierzył, wykazał się później własnoręcznem pismem kapitana dowodzącem, że przewodnik spełnił ściśle wszystko, do czego się zobowiązał. Zwłoki nieszczęśliwego znaleziono zupełnie nagie, odarte z sukni, a na piersi widoczne były dwie głębokie rany od sztyletu. Biedna, tragiczna ofiara losu i wypadków politycznych, nie ujrzała więc już nigdy tej siennej ojczyzny swojej, o której nie zapomniła nigdy wśród uroków ziemi iberyjskiej!

Między różnemi wypadkami, jakie przydarzały się pułkom polskim pod Tortozą, zanotujmy jeszcze jeden. Dnia 26-go września spadły na obóz miliardy much. Wieczór był parny, a chłodniejszy nieco wiatr od morza, zachęcił oblegających do pootwierania okien w barakach i chatach. Tymczasem zjawiły się muchy, a zjawiły się w tak olbrzymiej ilości, że zakryły niebo. Straszny ten obłok spuścił się na ziemię. Stworzenia te drobne, czarne, stały się tak natrętnemi, że ludzie i zwierzętaomal do szaleństwa byli przez nie przyprowadzeni. Robiono wszystko co można było, by od tego nowego i najdokuczliwszego nieprzy-

jaciela się uwolnić. Podpalano proch, puszczano z fajek wielkie kłęby dymu, palono słomę, ale nie a nie nie pomagało. Wiadomo, że Francuzi w roku 1653 po 52-dniowym obleganiu Granady, musieli zaniechać oblężenia, tylko z powodu niezliczonych rojów much. Prawdopodobnie i pod Tortozą byłoby się to samo stało, gdyby w d. 25 września wiatr północny nie był uwolnił obozu franko-polskiego od tej plagi.

Z końcem września wybuchło za plecami oblegających groźne powstanie. Kilka mniejszych oddziałów gierylasi znieśli, a jeńców, swym zwyczajem, wymordowali. Wysłano przeciw nim generała Chłopickiego, który przez półtora miesiąca uganiał się za Hiszpanami i pobił ich kilkakrotnie. Miał ze sobą 7 batalionów piechoty, 500 koni jazdy i kilka dział. Dla zwiedzenia powstańców puścił pogłoskę, że idzie do Starej Kastylii, tymczasem ruszył na Teruel i zniósł tam znaczne siły gierylasów. Bił się pod Alventożą, Vallastar, Fuente-Santa, niedaleko Villetu. Zginął tu porucznik Żarski, w chwili, gdy wahających się pod strasznym ogniem grenadyerów polskich, zachęcał do posuwania się naprzód. Kula armatnia strzaskała mu obie nogi i prawie zaraz ducha wyzionął.

Pod Tortozą tymczasem rzeczy szły swoją koleją, wśród ciągłej kanonady, wycieczek, podsuwania się coraz bliższego pod szanice. Z tej strony rzeki jednak, chociaż Hiszpanie nie wiele szko-

dzili wojskom oblegającym, nie można było doprowadzić do żadnego rezultatu prac oblężniczych. Wskutek tego w połowie grudnia 1810 r. pułk drugi Legii, odkomenderowany został na drugą stronę Ebru, gdzie niemniej uciążliwe i krwią znaczone wiedli nasi zuchy życie. Chłopicki wróciwszy ze swej długiej wyprawy na gierylasów, wszędzie się znajdował, wszędzie był obecny. Mieszkał w namiocie podziurawionym przez kule jak rzeszoto. „Dnia 30-grudnia, opowiada pamiętnikarz, miałem znowu sposobność podziwiać zimną krew i niczem niezachwiany spokój generała Chłopickiego. Towarzyszyłem generałowi do przykopów pod fortem Orleanu. W chwili właśnie, gdy oficer dowodzący pozycyą, zdawał generałowi raport, ugodziła kula armatnia w tarczę strzelnicy szancowej. Generał nie odwrócił się nawet, lecz zajmował się dalej postrzeżeniami, gdy wszyscy żołnierze i oficerowie w oczekiwaniu pęknięcia bomby, pochylili się lub pokładli na ziemi. Bomba pękła niebawem, ale nie zraniła nikogo. Skończywszy przegląd w tej stronie, powrócił generał do pozycyi mojej kompanii. Mgła wieczorna poczyniała zaciągać osłonę nieprzejrzystą nad całą okolicą, w mroku świeciły tylko wieże kościelne i zameczyska, gdy nagle kula nieprzyjacielska upadłszy w fosę przykopu pod nami, rozrzuciła jak drzazgi piramidę karabinów, opartych o szanice od-

polowy. Dzielny żołnierz, nazwiskiem Dąbek, został ciężko zraniony. Gdy go wpółżywego ledwo zagadnął generał Chłopicki uprzejmie, odparł Dąbek głosem gasnącym:

— E, panie jenerale, co tam ze mną, czy beze mnie, niech Bóg czuwa nad tobą.

Rzekłszy to, skonał wkrótce. Innemu znowu, Będzali, strzaskała lufa karabinowa obie nogi. Wkrótce powtórzył się strzał, lecz doszliśmy przy tej sposobności, że pochodził z boku, na który w czasie wybierania przykopów nie zwrócono uwagi. Ponieważ powtarzające się w ten sposób wystrzały, zaniepokoiły trochę żołnierzy, więc generał Chłopicki pochwycił z rąk najbliższej stojącego karabin, wystrzelił przez wylot w przykopie, a następnie zrobił to samo z drugim, trzecim i czwartym i tak dalej, dopóki nie doszedł do saperów, pracujących w przykopach pod drogą opalisadowaną.

— Ten nasz generał, to prawdziwy żołnierz — wołali rozochoceni szeregowcy.

— Ba! — zawołał, jeden z obecnych — dla tego też jest generałem i to generałem takich na przykład wojaków, jakim ty jesteś. Przemówienie to zwrócone było do jednego z żołnierzy, którego waleczność i męstwo od Calatayudy pozostawały w strasznym podejrzeniu u innych kolegów kompanii. Dowcip ten powitano homerycznym śmiechem i w mgnieniu oka zapomniano o zaszczej do-

piero katastrofie. Do śmiechu i wesołości niezwykle pobudził żołnierzy szczególnie pewien otyły niezmiernie oficer kompanii minierskiej, który w przykopie czynił przygotowania do pracy, którą miał rozpocząć. Szeregowcy moi nie mogli się powstrzymać od uwag najrozmaitszych, patrząc na tego grubego jegomościa.

— Jankowski! — zawołał nareszcie któryś na mego trębacza — ty mógłbyś temu grubasowi pokazać drogę, bo już raz byłeś w mieście. Tylko bój się Boga nie bierz ze sobą flaszy, bo mógłbyś zapomnieć, że masz powrócić.

Ta złośliwa nieco uwaga, zwrócona do Jankowskiego, którego przygoda parlamentarna znana była powszechnie, obudziła szczerą wesołość.

Na noc z d. 31 grudnia na 1 stycznia 1811 r. naznaczony był szturm stanowczy, ale Hiszpanie uprzedzili go i wywiesili białą chorągiew. Zawieszono natychmiast ogień ze strony oblegających, ale Hiszpanie po chwilowem milczeniu nie przestali strzelać na tę baterię właśnie, na której był generał Chłopicki. Zniecierpliwiło to generała. Nie namyślając się wiele, wyszedł na stok szafca z laseczką w rękę i pogroziwszy nią, woła grzmiającym głosem pohiszpańsku:

— *Carajos demonijos* czy nie wiecie, że się podpisują układy? Jeżeli jeden jeszcze strzał padnie, każę was wszystkich wywieszać!

Jakoż ogień hiszpański ustał natychmiast.

Tortosa nakoniec po różnych sporach i pertraktacjach poddała się d. 2-go stycznia 1811 r. Pół roku trwało oblężenie, które kosztowało Legią Nadwiślańską, bardzo wiele drogiej polskiej krwi.

ROZDZIAŁ XVI.

Fuengirola.

Starcie pod Lorca. — Marsz do Murcyi i ułani w Kartagenie. — Marsz do Almeryi. — Wyprawa na gierylasów. — Ułarczka pod Lubrin. — Pobyt w Granadzie. — Młokosiewicz w Fuengirola. — Pojawienie się eskadry angielskiej. — Walka. — Pomoc Chełmickiego. — Zacięta obrona. — Nadchodzi Bronisz. — Zwycięstwo. — Bitwa nad Rio Almanzor. — Rada Konopki. — Świetny atak lansyerów.

Zostawiliśmy pułk 7-my, 9-ty i ułanów, gotujących się pod wodzą jenerała Milheaud, do wyprawy przeciw Valdibiasowi i w ogóle wschodnio-południowej części Hiszpanii, gdzie dotąd noga najeźdźcy jeszcze się nie dostała. Z Bazy na Velez Rubio ruszono ku Lorca, gdzie na dwie mile przed miastem spotkano stojącą w szynku bojowym, kawaleryą hiszpańską. Jazda ta z początku „hardo się stawiała“, jak powiada dziejopis ułanów, ale lansyerowie roztrącili ją zupełnie i rozbitych poczęli powaryacku ścigać. W pościgu tym, pełnym nieporządku, dopadli do Lorca,

przelecieli całe miasto i poza niem znaleźli się nagle pośród gęstych ogrodów oliwnych. Tu zagroził im drogę szeroki wąwóz, przez który prowadził jeden tylko most. Za mostem tym, na płaszczyźnie ujrzeni nasi zuchy stojącą w szyku bojowym bardzo liczną, bo około 3000 koni wynoszącą, kawalerią hiszpańską. Dowódca szwadronu ułanów, który leciał przodem, kapitan Leszczyński, gnał co koń wyskoczy na czele zmieszanej i nieporządnej kupy ułanów, za nim tuż znany nam pamiętnikarz Wojciechowski. Za tymi dwoma pojedynczo lub kupkami, stosownie do rękości koni, lecieli ułani. Spostrzedłszy most i na nim Hiszpanów, Wojciechowski woła: stój kapitanie! Ale kapitan nie słucha, wpada na most, gdzie wita ich grad kul. Nie było tu co robić. Ołów przywrócił przytomność istnym waryatom; zawrócili i zemknęli jak oparzeni. Na szczęście nadbiegli dragoni francuscy, a za nimi woltyżerowie polscy 9-go pułku. Ci zrzuciwszy z siebie tornistry, biegiem dopadli do Lorki i rozłożywszy się nad owym wąwozem, utrzymali do nocy gęsty ogień tyralierski, ocaliwszy tym sposobem szalonych ułanów.

Nazajutrz ruszono dalej. Ciż sami woltyżerowie biegiem przelecieli siedm mil drogi do Murcyi, ale tu już nikogo nie zastano. Odpocząwszy nieco, wrócono do Lorki, z kąd ułani i dragoni francuscy z generałem Milheaud, zwrócili się ku

Kartagenie. Ale teraz zajęcie miasta im się nie udało. Zastano mosty pozrzućcane, kanały napełnione wodą, jednym słowem pozycją, zwłaszcza dla jazdy, całkiem nieprzystępną.

Ztąd ułani pomaszerowali wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego na południe, piechota zaś z Lorki w tymże samym kierunku, tylko inną drogą. Szła ona przez Huercal Obara, Vera, Luccinena do Almeryi, rozkosznego miasta, leżącego w kotlinie górskiej nad samem morzem Śródziemnem. Marsz ten był niezmiernie uciążliwy, wśród lata, strasznych południowych upałów, przez góry po ścieżkach przepaściowych. Żołnierze padali ze znużenia.

Te jednak utrapienia wynagrodzili sobie żołnierze polscy rozkosznym pobytem w „zachwycającej okolicy“, Almeryi, jak ją nazywa jeden z uczestników tej wojny. Stano tu przez trzy miesiące, a dowódca 9-go pułku, pułkownik Grotowski został gubernatorem miasta ¹⁾.

Pobyty w Almeryi, jak wszystkie tego rodzaju pobyty w Hiszpanii, był ciągle przeplatany nieustanną i nieubłaganą wojną. Walka z gierylasami, których nasi zuchy zwali rozbójnikami, „brygantami“, była na porządku dziennym. Nie było prawie dnia, żeby jakiś oddział pułku nie robił wyprawy. Wojna tak jak zwykle nosiła charakter

¹⁾ Broeker, loc. cit.

dziki i okrutny. Jedna np. kompania 9-go pułku, pod komendą Francuza, pułkownika Louis, wyruszyła przeciw gierylasom, kręcącym się w górach w okolicy miasteczka Tabernas. Hiszpanie swoim zwyczajem ustępowali i ścigano ich zawzięcie przez Lubrin aż do Very. Gdy pościg nie doprowadził do niczego, kompania zawróciła do Lubrin i znużona nadzwyczajnie rozłożyła się tu obozem. Otóż na ten obóz jakiś oddziałek gierylasów napadł. Odparto go, przyczem żołnierze polscy biedne miasto spalili, zrabowali a mieszkańców wymordowali. Poczciwe polskie Maćki, zaprawione do tego rodzaju gwałtów, dopuścili się tu wszystkich nadużyć, jakich widownią była Malaga i inne nieszczęśliwe miasta.

W innych wyprawach sięgano aż do Nacimiento w słynnych górach Sierry Newady, głośnych z bohaterskiej obrony Morisków za Filipa II-go.

Z Almeryi pomaszerowano nakoniec do Granady, którą zajęto. W przepyszej Alhambrze stanęły trzy kompanie 9-go pułku, sam zaś pułk zajął klasztor kapucynów. Rozkoszny tu był pobyt. W Alhambrze uwięziony został schwytany niedawno przez Francuzów głośny i znany nam partyzant Valdivias, ale zdołał on namówić dwóch polskich żołnierzy pilnujących go, że mu ucieczkę ułatwili i sami z nim uciekli. Jednego z tych biedaków złapano i rozstrzelano.

W tym czasie właśnie wysłano z Malagi, gdzie stał pułk 4-ty polski, kapitana Franciszka Młokosiewicza, do zajęcia małej forteczki, leżącej nad morzem Śródziemnem, zwanej Fuengirola. Nazwa ta, nieznanego dotąd zameczku, zbudowanego w XVI wieku, jako strażnica przeciw napadom korsarzy berberyjskich, miała zabłysnąć niezwykle piorunowem światłem w dziejach naszej wojskowości. Takich zameczków nad morzem Śródziemnem w Hiszpanii jest pełno, a ponieważ pułk 4-ty polski wyruszył ku Gibraltarowi, szło zatem o to, by między nim i Malagą utrzymać komunikacyą. Obsadzono więc Polakami Alhaurin de la Torre, gdzie stanął szef batalionu Bronisz; Mijas zameczek leżący na górze wysokiej i skalistej zajął porucznik Chełmicki, i nakoniec o milę ztąd w Fuengirola, Młokosiewicz. Wszyscy byli z 4-go pułku piechoty księstwa warszawskiego ¹⁾.

Fuengirola, gdy przybył tam w pierwszych dniach października 1810 r. oddział polski, miała zamek napół zrujnowany, stary i całkiem bez dział. Młokosiewicz, który na tę straconą placówkę otrzymał zaledwie 150 ludzi, miał rozkaz zamek poprawić i w żywność zaopatrzyć. Ledwie atoli się tem zajął, gdy d. 14 października uka-

¹⁾ *Fr. Młokosiewicz*. Wspomnienie z wojny hiszpańskiej. (Biblioteka warsz. Tom IV z r. 1842).

zała się na morzu, płynąca od strony Gibraltaru eskadra angielska, złożona z dwóch okrętów liniowych, trzech brygów, czterech szalup kanonierskich i wielu statków przewozowych. Eskadra ta zatrzymała się wprost Fuengirolí.

Współcześnie od strony lądu pojawił się oddział gierylasów hiszpańskich i zabrał 40 sztuk bydła, pasącego się w pobliżu zamku i przeznaczonego dla załogi. Powstańcy zabili przytem dwóch ludzi, strzegących tego bydła. Młokosiewicz rozniewany tem wysłał 40 ludzi pod dowództwem porucznika Ubysza, ażeby bydło odebrał i powstańców rozpędził, gdy jednak postrzegł, że na wzgórkach otaczających zamek ukazuje się piechota angielska, kazał mu się cofać do twierdzy.

Czas już był wielki, bo Anglicy widocznie gotowali się do ataku. Wylądowali oni pod osadą rybacką Puerta del Cala Moral, niedaleko Fuengirolí, i zajmąwszy wzgórze, stali, patrząc na czarne mury zameczyska i na powiewające z nich orły białe...

Wkrótce pod zamkiem ukazał się parlamentar angielski, ale Młokosiewicz nie chciał nawet z nim mówić. Południe już było i słońce, jakkolwiek jesienne, przecież pod tym stopniem szerokości jeograficznej dopiekało mocno. Anglicy rozsypali gęsty łańcuch tyralierów i rozpoczęli dobrze utrzymany ogień karabinowy,

podczas gdy eskadra od strony morza biła z dział. Młokosiewicz. jak wiemy, miał wszystkiego 150 ludzi, dwa działa żelazne, stare, szesnastofuntowe i dwie armatki śpiżowe dwufuntowe. Brakowało mu kanonierów, zwłaszcza, że kanonierowie hiszpańscy, jakich miał, uciekli. Został więc z działami, ale bez obsługi. Szczęściem w oddziale znalazło się dwóch żołnierzy, którzy niegdyś służyli w artylerii rosyjskiej, oraz sierżant Zakrzewski, który wkrótce nauczył się obchodzić z armatami i strzelał jak stary kanonier. Ledwie w dwie godziny urządzono się jak można było z armatkami, i poczęto pluć ogniem i żelazem na atakujących Anglików. Zaraz w początku improwizowani artylerzyści polscy tak się spisali, że zatopili Anglikom jedną szalupę. Ogień z obu stron trwał do ciemnej nocy i walkę przerwała szalona burza, która z rykiem piorunów, błyskawicami i ulewnym deszczem pojawiła się nad Fuengirolą. Polacy w stosunku do swych słabych sił, ponieśli bardzo dotkliwe straty; mieli 12 rannych i 3 zabitych; sam Młokosiewicz otrzymał lekki postrzał.

Położenie było bądźco bądź rozpaczliwe, zwłaszcza, że w nocy Anglicy poczęli sypać baterią sześciodziałową w odległości 150 sążni od zamku. Szczęściem przybyła oblężonym pomoc. Polscy oficerowie pod okiem obecnych wodzów, pełnią zawsze surowo i ściśle swe obowiązki, czego

w nich nie widzimy, gdy w dwadzieścia lat później trzeba było bić się nie już o sławę zdobywcy, ale o byt własny... Porucznik Chełmicki, stojący w Mijas, ze swego wysokiego i dominującego na całą okolicę zameczku, dostrzegł zbliżającą się pod Fuengirolę flotę angielską i o tem zaraz zawiadomił jenerała Sebastianiego w Maladze, i szefa batalionu Bronisza, stojącego o milę od Mijas w Alhaurynie. Przez cały dzień wsłuchiwał się z niepokojem w huk dział, dochodzący z Fuengirol i czekał na rozkaz lub pomoc, czyto z Malagi, czy z Alhaurynu. Gdy jednak nikt się nie zjawił i noc już zapadła, postanowił nie czekać dłużej, ale śpieszyć z tem co miał na pomoc swym współrodakom. Noc, jak wiemy była burzliwa i dżdżysta, ciemna i wietrzna, a do Fuengirol i prowadziły dwie drogi, jedna dłuższa wybrzeżem morza, druga krótsza wśród skał i przepaści. Tę Chełmicki wybrał. Kilka wezbranych wskutek burzy potoków górskich zagrodziło mu drogę; przeszedł przez nie wbród i nad ranem znalazł się nagle w obozowisku angielskiem. Nie zmieszany tem, korzystając z ciemności nocnych, z ciągle padającego deszczu, z tego nakoniec, że Anglicy znużeni leżeli pokotem pootulani w wełniane dery, przeszedł w całości przez obóz i stanął pod zamkiem Fuengirolą. Tu Młokosiewicz lękając się podejścia, nie chciał

go wpuścić, aż dopiero gdy mu Chełmicki dał słowo honoru, że to są swoi, otworzył bramy.

Ta tak dzielnie przyprowadzona pomoc dodała otuchy Młokosiewiczowi, oraz pewnośi obronienia się przed Anglikami. Współcześnie, gdy w Fuengirol i gotowano się do upartej obrony ze wzmocnionemi już teraz siłami, pod Mijasem, opuszczonym przez Chełmickiego, zaszły nowe i niespodziewane wypadki. Gdy bowiem polski porucznik maszerował górkami drożynami do Fuengirol i, Anglicy wysłali drogą nad morzem pod Mijas 600 ludzi, dla zajęcia tego stanowiska. Przybyli tu o godz. 6-ej rano, ale zastali już szefa Bronisza z Alhaurynu, który wezwany przez Chełmickiego wyruszył przed wieczorem, i w nocy zajął opuszczoną przez tego forteczkę. Bronisz miał tylko 200 ludzi i 60 dragonów francuskich z 21-go pułku. Zawiązała się żwawa utarczka z „rakami“, jak zwali nasi zuchy Anglików, z powodu ich czerwonych mundurów. Wdzierających się do Mijas, czwartaki zepchnęli bagnietami i rozbili z krete sem. Anglicy w popłochu cofnęli się. Bronisz został w Mijas, rozdawał ludziom żywność i zdawał się mieć chęć nie ruszania się ztąd nigdzie dalej.

Tymczasem pod Fuengirolą z budzącym się brzaskiem dnia 15 października, rozpoczęła się dalej walka. Ze świeżo zbudowanej w nocy ba-

teryi, Anglicy stare zamczysko obrzucili pociskami. Odwieczne, napół zrujnowane mury sypały się jak piasek; jeden bastyon runął i za-grzebał w swych gruzach dziewięciu żołnierzy. Tu i owdzie wybuchał ogień, który szczęśliwie gaszono. Młokosiewicz dzielnie odpowiadał i walczyć się bronił. Najbardziej się niepokoił o swe składy prochu, które w braku lepszego schowania mieściły się w pustym pokoju bez drzwi i okien. Paki z prochem okryto mokremi skórami, ale bądźco bądź dowódca polski drżał, bo gdyby proch się zapalił cały zamek mógł wylecieć w powietrze. Anglicy widząc forteczkę napół zrujnowaną od pocisków, wysłali znów parlamentarza, ale Młokosiewicz nie pozwolił mu się nawet zbliżyć pod mury, grożąc, że każe strzelać. Rozgniewani tem Anglicy podwoili ogień i jeszcze bardziej zrujnowali mury, których nawet nie było czem łatać. Garnizon znużony długą i nierówną walką, zmęczony palącym południowym słońcem, tracić począł odwagę.

Na szczęście Bronisz słysząc przez pół dnia huk dział, po radzie ze swymi podkomendnymi zdecydował się pomaszerować z Mijas do Fuengirolí. Około godziny 2-ej po południu wyruszono; piechota drogą górską, tą samą, którą szedł w nocy Chełmicki, a jazda ponad morzem, brnąc nieraz po brzuchy końskie w wodzie. Jazda ta najprzód ukazała się pod Fuen-

girolą. Gdy ją Młokosiewicz spostrzegł, postanowił zrobić wycieczkę. Porucznik Chełmicki z 90 ludźmi ma uderzyć wprost na baterią, usypaną zeszłej nocy i najbardziej dokuczającą załodze, a Młokosiewicz z rezerwą 40 ludzi stać będzie w pogotowiu do podania mu w razie potrzeby pomocy.

Chełmicki wyrusza śmiało, łączy się z dragonami Bronisza, uderza, bierze baterią bagnetem, 40 żołnierzy i jednego oficera angielskiego do niewoli. Polacy szli z wielką furą i zmiotli wszystko przed sobą. Chełmicki w pogoni za uciekającymi dostaje się do niewoli, ale swoi w żwawem starciu, w którym bito się kolbami i bagnetami, odbierają swego młodego i mężnego porucznika.

Ale pierwsze to powodzenie nie stanowiło jeszcze zwycięstwa. Jenerał angielski dowodzący tą wyprawą, lord Blayney siedział wtedy, gdy Polacy na baterią napadli, przy stole. Co żywo rzucił ucztę, zebrał swe wojska, i kolumnami silny na 3 do 4000 ludzi, wyruszył śmiało, dla odebrania baterii. Polacy przez ten czas odwrócili zdobyte działa ku Anglikom i powitali ich strasznym, dobrze wymierzonym kartaczowym ogniem, któremu dopomagały, o ile się tylko dało, działka zamkowe. Mimo to Anglicy nie zachwiali się; szluszując, ponosząc znaczne straty, ze spokojem i zimną krwią dopadli baterii, zdo-

byli ją i Polaków z niej zrzucili. Zamieszanie wzmogło się jeszcze bardziej przez wybuch zapalonego jaszczyka z prochem, przyczem trzech naszych poległo.

Młokosiewicz wściekły, że mu wydarto zwycięstwo, formuje nanowo oddziałek Chełmickiego, dołącza doń swą rezerwę ze 40 ludzi i uderza z niepowstrzymaną furją na prawe skrzydło Anglików. Wreszcie Bronisz nadchodzi i współcześnie atakuje prawe skrzydło angielskie z tyłu. Anglicy mieszą się, bronią słabo. Bateria jest znowu w mocy polskiej i oba oddziały Młokosiewicza i Bronisza podają sobie ręce. Podporucznik Lalewicz z oddziału Bronisza zwraca zdobyte działa na nieprzyjaciela i smaga go kartażami. Część Anglików wraz ze swym wodzem lordem Blayneym, odcięta od swoich, dostaje się do niewoli; reszta pierzcha w popłochu na okręty. Do rąk zwycięzców dostają się znaczne zapasy broni i amunicji.

Teraz Młokosiewicz prowadzi wziętego do niewoli lorda Blayneya do Fuengirolí i tutaj częstują go wódką. Anglik wypił, ale w opisie tego epizodu wojny hiszpańskiej, jaki ogłosił drukiem, utrzymywał, że go Młokosiewicz chciał upoić. Tymczasem polski bohater częstował tem co miał.

Eskadra angielska nie przestawała jednak sypać ognia od strony morza na zameczek. Mło-

kosiewicz namówił Blayneya, by ukazał się na murach i dał znak okrętom, żeby zaprzestały ognia. Anglik zgodził się na to. Eskadra ucichła, rozwinęła żagle i odjechała. Nazajutrz Bronisz ze swą komendą, zabrawszy jeńców (lorda Blayneya, 8 oficerów i przeszło 200 żołnierzy), powrócił do Mijas. W kilka dni potem, przybył do Fuengirolí generał Sebastiani i oglądając zameczek, podziurawiony teraz jak rzeszoto, dziwił się bohaterstwu polskiemu.

To też obronę Fuengirolí śmiało można postawić obok Samosierry, choć ta pierwsza nie cieszyła się takim rozgłosem, bo krwawy ten dramat nie rozgrywa się przed oczami cesarza; nie mniej przeto w rocznikach historii wojennej polskiej, Fuengirola zajmie piękną kartę i piękny blask rzuca na bohaterstwo polskie.

Ale gdzie niema tego bohaterstwa! Właśnie w początkach listopada, na południo-zachodzie Hiszpanii, w okolicach Murcy i Almeryi, ukazał się generał hiszpański Blake. Przeciw niemu wyruszył generał Milheaud, prowadząc ze sobą sześć kompanij wollyżerów 9-go pułku piechoty polskiej, pułk lansyerów polskich i parę pułków kawalerji francuskiej. Na wieść o zbliżającym się korpusie franko-polskim, Blake zajął w pobliżu Cullar nad rzeką Almanzor, bardzo silną pozycją i tam oczekiwał Francuzów, pewny, że nie ośmielią go się tu atakować, zwłaszcza, że przy-

stęp był tylko od czoła. Ale zapomniał, że w korpusie Milheauda są Polacy...

Milheaud, gdy stanął d. 4 listopada 1810 r. wobec nieprzyjaciela, zawahał się. Zwołał radę wojenną, na którą wezwano także pułkownika Konopkę, który właśnie na parę dni przedtem wrócił z Francji do pułku i gorzał chęcią odznaczenia się i zatarcia smutnego dnia Juvenes... Rada wojenna, po licznych debatach uznała pozycją nieprzyjacielską nie do zdobycia i zdecydowano się już na niezaszczytny odwrót, gdy Konopka zawołał:

— Pozwólcie mi, panowie, uderzyć z pułkiem lansyerów w sam środek nieprzyjaciela, a za godzinę będzie po bitwie.

Milheaud zgadza się na to. Konopka dosiada konia, przypada przed front swych zuchów i komenderuje:

— Flankierowie naprzód! Pułk do ataku szwadronami od prawego, marsz! marsz!

Plutonem pierwszym flankierskim, dowodził znany nam pamiętnikarz Wojciechowski. Śmiało wysunął się naprzód i dostał się pod ogień artylerji angielskiej. Powitany kartaczami, wytrzymał dzielnie ten deszcz żelaza, ruszył z kopyta i wpadł na baterję kłójąc i rąbiąc dokoła. Za nim gnały już szwadrony polskie a wiatr tylko i kule całowały ich trójbarwiste chorągiewki. Zuchwały ten atak, wymierzony na sam

środek linii nieprzyjacielskiej, poprowadzony dzielnie, śmiało i szybko, powiódł się w zupełności. Wojska hiszpańsko-angielskie rozcięte zostały na dwoje, a w lukę tę wszyli się lansyerowie i roztrącali wszystko dokoła. Jenerał Milheaud ze swej strony nie zaniedbał poprzeć lansyerów. Pchnął wszystkie siły, jakie miał za nimi. Polecieli więc dragoni francuscy, artylerja cwałem ruszyła zatrzymując się tylko na chwilę, by dać ognia, biegiem z pochylonemi bagnetami pognali wołyżerowie polscy. Ten atak ogólny, szalony, niosący w swem łonie niepowstrzymany poryw, przeraził Anglików. Bronili się słabo i chwiejnie; wkońcu wszystko w popłochu rzuciło się do ucieczki. Konopka dotrzymał słowa...

Noc nie dozwoliła pościgu. Nasz dzielny pułk ułanów po bitwie bohaterskiej, improwizowanej, że tak powiemy, bitwie wygranej lancą polską, stanął na krótki, jak zawsze, odpoczynek w Cullar, o milę od pobojuwiska. Niechże tu ułani ocierają sobie dobrze zroszone potem czoła, a my pójdziemy oglądać inne pobojuwiska, inne zwycięstwa i inne bohaterstwa.

ROZDZIAŁ XVII.

Fuentes Onoro.

Marsz do Valladolidy. — Wyprawa do Andaluzji. — Romantyczna historia kaprała Romana. — Wyprawa na granicę Portugalii. — Okolice Ciudad Rodrigo. — Starcia pod Fuentes Onoro z Anglikami. — Zdanie Gordona o Polakach. — Polacy w wojsku angielskiem. — Powrót do Valladolidy i Rioseco. — Wyprawy i okrucieństwa. — Wyprawa do Alfnatis i portu św. Andrzeja — Odstawianie skarbów i powrót do Francji.

W początkach 1811 r., szwoleżerowie gwardyi, wyruszyli do Valladolidy, z kąd rozesłano ich małemi oddziałkami na różne posterunki dla eskortowania marszałka Bessiersa. W okolicach Valladolidy, przebyli nasi gwardyacy dwa tygodnie. W tym czasie miano wysłać oddział szwoleżerów do Estremadury i Andaluzji. Wieści, jakie o tem posiadamy, są niepewne i niejasne. Poszli oni tam, jakoby dla zniesienia skupiających się powstańców; mieli być w Sewilli, Madrycie, Granadzie, Salamance i t. d. Bliższych

szczegółów, powtarzamy, o tej wyprawie niema, oprócz tego, że szwoleżerowie z rozkazu Napoleona mieli zabrać w Estremadurze kilkadziesiąt tysięcy owiec, które przepędzono do Francji, a z tych nieco miano posłać do Polski. Są to wszystko jednak wieści niepewne.

Do tegoż czasu prawdopodobnie odnosi się romantyczna historia, sławna bardzo między wojownikami polskimi, kaprała Wiktora Romana, późniejszego pułkownika, zmarłego w r. 1847. Wysłano go na czele 24 szwoleżerów, w celu schwytania jakiejś grandesy hiszpańskiej, która ukrywała się w domku ustronnym, gdzie wśród gór i złąd znosiła się ze swoimi, udzielając im różnych wiadomości. Roman po dwudziestu godzinach marszu, po większej części po zalaniem wodą wybrzeżu morskiem, tak że konie częściej płynęły niż szły, przybył nakoniec do owej tajemniczej willi, rodzaju pałacyku, ukrytego wśród lasu cytrynowego i gór. W cichości wielkiej podsunęli się szwoleżerowie i Roman poobsadzał swymi zuchami drzwi i okna, a sam z dwoma towarzyszami wszedł do pokoju, gdzie zastał panią domu, a przy niej, hiszpańskim obyczajem mnicha oraz lekarza. Dama owa była niezwykle piękna i młoda. Kiedy się dowiedziała, że ma oddać papiery, rzuciła ze wzgardą klucze na posadzkę i zawołała, że „pieniądze i brylanty, więcej niż papiery, są celem przybycia żołdaków“. Roman

oburzony tem, zarumienił się jak burak, wezwał mnicha, by klucze podniósł i poszedł z nim, żeby poświadczył co gwardyacy zabiorą. Jakoż wziął tylko papiery i wrócił w towarzystwie mnicha do damy. W tej chwili właśnie nadszedł doktor mocno wystraszony mówiąc, że cały dom otoczony jest przez ogromne wojsko, że wszędzie, gdzie się obrócić, słychać wykrzyknik: kto idzie? To wszystko wywarło na damę bardzo silne wrażenie, które spotęgowało się jeszcze więcej, gdy się dowiedziała, że musi z Romanem jechać do głównej kwatery francuskiej. Poczęła rozpaczać, płakać, załamywać śliczne rączki. Kapral nieobojętny na wdzięki pięknej Hiszpanki, chciał jej tę daleką podróż zrobić jaknajmniej przykrą i uciążliwą, a tu na nieszczęście nie było żadnego powozu, którymby ją przewieźć było można. Nie wiele myśląc, mnicha i doktora, żeby mu nie przeszkadzali zamknął w piwnicy, a większą część swego oddziału rozesłał na wyszukanie jakiego powozu. Szczęściem w ręce szwoleżerów dostała się karetą bardzo wygodna, zaprzężona w sześć mułów, którą jechał jakiś dygnitarz kościelny. Szwoleżerowie dygnitarza wyrzucili na gościniec, karetę zabrali i dostawili ją do willi. Tą karetą dama owa pojechała z Romanem do głównej kwatery. W drodze tak umiał się pięknej Hiszpance przypodobać młody ułan polski, że przy pożegnaniu dała mu na pamią-

tkę splot swych pysznych, czarnych włosów, które on przechowywał, jak relikwie.

Podczas gdy szwoleżerowie polscy odpoczywali do pewnego stopnia w okolicy Valladolid, w Portugalii źle się powodziło wojskom francuskim, pod dowództwem Masseny. Postanowiono ponieść mu pomoc, i Bessiers na czele korpusu wojsk francuskich, w którym znajdowali się nasi szwoleżerowie i świeżo uformowany pułk 4-ty Legii nadwiślańskiej, wyruszył ku Portugalii.

Działo się to już w kwietniu 1811 r. Maszerowano na Toro, sławną ze swego uniwersytetu Salamankę, i zatrzymano się nakoniec pod Ciudad Rodrigo twierdzą leżącą na granicy Hiszpanii i Portugalii. Forteca ta była w ręku francuskich, a cała okolica przedstawiała okropny obraz zniszczenia. „Koło niej, opowiada naoczny świadek, na kilka mil nikogo z mieszkańców nigdzie nie widzieliśmy; wszędzie gruzy, rozwaliny, fetor z trupów leżących kupami, które były niezupełnie spalone; bo w tej okolicy, gdzie więcej jest skał niż ziemi, trupów zagrzebywać niepodobna, tylko zwykle na słomie palone były“.

Zaraz nazajutrz z marszałkiem Bessiersem wyruszyli szwoleżerowie naprzeciw Masseny, maszerującego z głębi Portugalii. Spotkano go pod miastem Guarda, wśród rozkosznej doliny pełnej winnic i lasów oliwnych. „Patrząc się na to

wojsko powracające z Portugalii, mówi cytowany świadek, litość brała; znędznieli, osłabieni, obdarcy. Kawalerya bez koni, więcej z piechotą razem w szeregach maszerowała; reszta zaś kawaleryi prowadząc konie w rękę, także piechotą postępowała. Sam Massena także znacznie spadł z ciała, mizernie wyglądał, smutny był i posępny; wojsko jego stanęło razem z nami biwakiem“.

Za Masseną przymaszerował i Wellington i rozłożył się obozem pod Fuentes Onoro w pobliżu Ciudad Rodrigo. Między linią francuską a angielską, leżała prześliczna równina, na środku której wznosiła się wioska, utulona wśród ogrodów oliwnych i winnic. Przez dolinę tę przepływała rzeczka, w której jazda franko-polska poiła konie. Otóż na drugi dzień po pojawieniu się Anglików, marszałek Bessiers wziął szwadron szwoleżerów i poprowadził go o dwie godziny drogi i ukrył za niewielkiem wzgórzem. Sam zdjął kapelusz i począł coś rozpoznawać. Wróciwszy śpiesznie do szwoleżerów, rozkazał broń ponabijać, siodła dobrze przypoprzężyć, poczem poprowadził jazdę na wzgórze, gdzie spotkano maszerujących w kolumnie kilka szwadronów Anglików. Ci gdy spostrzegli Polaków, zaraz zawrócili i galopem uciekać poczęli. Szwoleżerowie dali ognia z karabinków, kilku ubili i 15 wzięli do niewoli.

W kilka dni potem znowu Bessiers kazał szwoleżerom zaraz po północy jaknajśpieszniej się na koń, wziął ze sobą jeden szwadron Polaków i jeden szaserów francuskich i pomaszerował w kierunku lewego skrzydła angielskiego. Tu rzekł do naszych zuchów: „oto, Polacy, macie tu pułk huzarów angielskich; widzicie ich tam około tej małej wioski. Teraz konie porozsiodływali i czyszczą je, uderzcie śmiało“. Na te słowa szwoleżerowie porwali się i galopem ruszyli na huzarów. Ci gdy postrzegli ten nagły napad, pierzchnęli na wszystkie strony. Schwytano żywcem kilkunastu, kilku zabito i raniono.

Te starcia, potyczki, podjazdy zapowiadały walną wkońcu bitwę. W jej wigilią przybył do obozu franko-polskiego parlamentarz angielski, pułkownik lord Gordon. Przyjął go marszałek Massena i rozmawiając z nim, nagle obrócił się i wskazał na porucznika szwoleżerów Załuskiego, który stał wpobliżu, i rzekł:

— Demain vous-aurez à faire à ceux là. (Jutro będziecie mieli z tymi do czynienia).

— Quelle est cette troupe? (coto za wojsko?) — pyta Gordon, a gdy mu powiedziano, odezwał się:

— Nous connaissons leurs compatriotes, ils sont braves, mais par trop téméraires. (Znamy ich współrodaków, są oni waleczni, ale zanadto śmiali).

Mówił to o pułku lansyerów, który już kilka razy miewał starcie i dobrze im dał poznać przewagę lancy polskiej.

W bitwie jednak, jaka nazajutrz o godz. 5-ej rano się rozpoczęła, szwoleżerowie prawie udziału nie brali. Stali oni na lewem skrzydle wojsk francuskich i mieli wpobliżu niedawno sformowany pułk 4-ty Legii Nadwiślańskiej, którym dowodził Kazimierz Tański, niegdyś ułan. Pułk ten ucierał się mocno z piechotą angielską, która kryła się po ogrodach oliwnych i po winogradnikach. „Słyszeć można było, opowiada pamiętnikarz, naszych nadwiślańców, wołających jeden do drugiego ostrzegając w te słowa: „ostrożnie!.. patrzajno Kuba, pilnuj się; widzisz, jak w krzakach czerwienieją kieby raki, zdaje im się, że ich nikt nie zobaczy!“ Wistocie promienie hiszpańskiego słońca oświecały te winogradniki, to też żeby w największej gęstwinie ukrywał się, kolor ponsowy przebijał, jak mak na pszenicy kwitnący, daremnie tedy flankierowie angielscy usiłowali się tam ukrywać. Piechota ta w tej pozycji nie mogła się długo utrzymać; rejterowała się zwolna, bo nadwiślańscy gorąco i mężnie na nią nacierali. Bessiers spostrzegłszy, że się mieszają i zaczynają cofać ku swojej linii, dał rozkaz szefowi Pacowi, aby wykomenderował jeden pluton w uliczki pomiędzy te ogrody, żeby nieprzyjacielowi zastąpić i przeszkodzić w odwrocie; plu-

ton wystąpił i pomaszerował. Jak tylko przybyli do ogrodów i stanęli w uliczkach, dostrzegli oficera angielskiego, wśród tych ogrodów jeżdżącego; dwóch naszych z tego samego plutonu przypuścili konie i niespodziewanie napadli na tego Anglika; on się zaczął bronić, ale jeden z naszych ciął go pałaszem w głowę, aż mu biermica spadła, a z jednej strony twarzy policzek był odcięty; chwycili go tedy nasi pomiędzy siebie i uprowadzili. My staliśmy w asekuracyi armat, z których nieustannie strzelano. Spostrzegł zdaleka szef Pac, że nasi prowadzą Anglika, skoczył galopem naprzeciw nich, a gdy zobaczył, że ranny i bez spodni, rozgniewany począł łajać żołnierzy, że go obdarli. Ci się tłumaczy, że mu nic nie brali. Jakoż nie mogli mu wziąć onych spodni, bo ich nie miał, gdyż należał on do grenadyerów szkockich, którzy, jak wiadomo, chodzą bez tej koniecznej części ubrania, co w naszych zuchach szczerą wesołość wywoływało.

Podczas bitwy przeszło z wojsk angielskich do szwoleżerów czterech żołnierzy Polaków, którzy powiadali, przyszłoby ich więcej, gdyby polski pułk stał bliżej; że w armii angielskiej jest cały batalion, zwany niegdyś francuskim, w którym wszyscy żołnierze byli Polakami. Tych czterech Polaków rodem z Lubelskiego, opatrzyli szwoleżerowie pieniędzmi i paszportami i odesłali do kraju.

Ale nie dość na tem. Miano tu spotkać więcej jeszcze polskich Bartków, których losy smutne kraju i burze wojenne, zaniosły aż do szeregów angielskich. Po bitwie, marszałek Bessiers rozkazał szefowi szwoleżerów Pacowi, aby spisał wziętych niewolników, co za jedni i jakiej są narodowości. Pac z pułkownikiem angielskim, wziętym do niewoli, przystąpił do przeglądu. Znaleziono wśród jeńców aż 120 Polaków, którzy jeszcze na wyspie San Domingo dostali się w ręce angielskie, i opowiadali, że w tym samym pułku służy już lat jedenaście i przez ten czas prawie ciągle na okrętach przebywali. Bessiers kazał ich inaczej przebrać i odesłał do Francji.

Po bitwie pod Fuentes Onoro, szwoleżerowie wrócili do Valladolid, a ztąd pomaszerowali do miasta Rioseco, gdzie przez dłuższy czas się zatrzymali; dwa tylko szwadrony z artylerją konną lekką poszły w pościgu za Anglikami i dotarły do Badajoz. O ich losie i bitwie, w jakiej tu wzięty udział, później opowiemy, a teraz wracamy do dalszej historii pułku.

W Rioseco pobyt szwoleżerów miał zwykły w tej wojnie charakter. Co miesiąc komenderowano jedną kompanię na służbę do głównej kwatery Bessiersa i w tych marszach bardzo często zdarzały się utarczki z gierylasami, którzy na drodze napadali na naszych zuchów. Bezprzestannie i ciągle odbywali oni rekonesanse

i gonitwy po różnych miejscach, miasteczkach i wsiach; zbierające się bandy powstańców rozbijali i wieszali ich na szubienicach po kilkunastu razem dla postrachu. W Valladolidzie były bardzo często egzekucye śmierci dopełniane na różnych osobach. Jednego z dowódców powstańczych żywcem ćwiertowano; ciało na cztery części rozrąbane za miastem, około dróg, na palach, „jak szynki“, według słów pamiętnikarza, porozwieszano; głowa także na pal wbita była i tak pozostała dla przestachu narodu.

Te krwawe, okropne, dzikie, egzekucye przerwały dwie ważniejsze wyprawy, jedna przeciw Anglikom w Portugalii. Wyruszył cały pułk szwoleżerów, oraz 4-ty pułk Legii Nadwiślańskiej, i doszli aż do miasteczka Alfnatis¹⁾. W wyprawie tej ranni byli dowódcy szwadronów: Trzciniński i Szeptycki, tak, że musieli pułk opuścić, a po nich dowództwo wzięli Mikułowski i Janowski. Poległo dwóch żołnierzy, rodem z Warszawy: Lobert i Żylicz.

Druga wyprawa także była przeciw Anglikom, którzy wylądowali w porcie św. Andrzeja i oblegli stojących tamże załogę Francuzów. Hiszpanie o marszu Polaków uprzedzili Anglików, którzy

¹⁾ Na mapach, jakie posiadamy, miasteczka tego, jak również portu św. Andrzeja, o którym jest wzmianka poniżej, odszukać nie mogliśmy.

uciekli, zostawiwszy na piasku dwa małe okręty kupieckie. „Wpadła na nie piechota, opowiada Płaczkowski, i ztamtąd różne towary i inne rzeczy wynosiła; i my za nimi pośpieszyliśmy, ale w żaden sposób do okrętów przecisnąć się nie można było. Ja wcisnąłem się jakoś na pomost i spotykam się w tym tłoku z żołnierzem, który w obu rękach niósł nad głowę pęk zegarków w bawełnę poobwijanych i do kupy związanych; były tam złote i srebrne i widać było od nich dewizki wiszące. Udało mi się wyrwać jednego repetiera szczerozłotego i tyle tylko zdobyłem. Staliśmy tam dwa dni i napowrót do Valladolid pomaszerowaliśmy“.

Prócz tego jeszcze inną służbę pełnili szwoleżerowie. Wykomenderowano ich np. dla ściągania kontrybucyj, nałożonych na Hiszpanów. „Mieszkańcy jedni, opowiada pamiętnikarz, przyносили gotowe pieniądze, inni w sztukach srebro i złoto; a gdzie nie byli w stanie zapłacić, zabierano srebro i złoto z kościołów, to wszystko ważono i zaraz przetapiano na szyny, długości trzy ćwierci łokcia, a szerokie cali cztery, grubości zaś na dwa; obszywano to w płótno i od końca do końca mocno okrucano szpagatem i pieczętowano. Bessiers z jedną naszą kompanią, zabrawszy te skarby pomaszerował do Francji. Każden żołnierz miał w sakwach, przytroczone do siodła dwie takie szyny; w górach Pirenejskich dano

nam mocną eskortę i tym sposobem aż do pierwszego miasta na granicy francuskiej leżącego, Saint Jean de Luz, doszliśmy. Bessiers zaraz pojechał pocztą do Paryża, a my wróciliśmy nazad do Hiszpanii; po drodze w górach byliśmy atakowani i napadani przez gierylasów, a najbardziej około Tolozy“.

Wśród tych walk, zajęć i przygód wszelkiego rodzaju, upłynął rok 1811. W d. 1 lutego 1812 r. otrzymali nakoniec rozkaz powrotu do Francji. Z jakąż radością 2 lutego, w dzień Oczyszczenia N. Maryi Panny, puścili się w drogę. Szli na Palencją, Mirandę, Wittoryą, wśród cudownej, wiosnianej pory, i wreszcie stanęli na granicy francuskiej. Wojna hiszpańska skończyła się dla szwoleżerów, ale miała się dla nich zacząć inna, stokroć straszniejsza walka, toczona nie wśród mirtów i pomarańcz, pod palącym słońcem iberyjskiem, ale wśród lodów i śniegów dalekiej północy, w krainie „białej, czystej i otwartej“...

Zostawmy szwoleżerów maszerujących ku Paryżowi, a idźmy za śladami innych wojowników polskich, dla których także krwawa wojna hiszpańska, miała się już ku końcowi.

ROZDZIAŁ XVIII.

Walencya.

Legia odprowadza jeńców. — Ludzkość Chłopickiego. — Pochód. — Zdanie jeńców o Polakach. — Walki z Miną. Pułk drugi w Saragossie i jego rokosz. — Wycieczki i walki w Nawarze. — Tertulia w Sadawie. — Wymarsz do Walencji. — Komet. — Zdobyte Torre del Rey. — Oblężenie Murwiedro. — Bitwa. — Zajęcie w Castellon de la Plana. Oblężenie Walencji. — Powrót do Francji. — Pożegnanie Hiszpanii.

Po poddaniu się Tortozy, Legia Nadwiślańska otrzymała rozkaz odprowadzenia istnej armii jeńców hiszpańskich do Francji. Wyprawą tą dowodził generał Chłopicki.

W tym razie, jak zwykle, Polacy okazali wielką ludzkość. Sztab główny wydał rozkaz, ażeby każdemu jeńcowi, któryby usiłował ujsć, palić w łeb bez litości. Jakoż pod wieczór w dniu wyruszenia, dniu chłodnym i wietrznym, poczęły się rozlegać wystrzały, zwłaszcza w pułku francuskim 44-tym, który maszerował razem z Legią. Chło-

picki dowiedziawszy się o tem, wysłał kapitana Mühlberga swego adjutanta z rozkazem, by położył kres nieporządkom, zabronił okrucieństw i zalecił łagodność. Dzięki temu los jeńców znacznie się polepszył. Maszerowano przez Pinellę, Gandesę, Bateę do Kaspego, gdzie znajdowała się załoga neapolitańska. Neapolitańczycy przyjęli Legionistów bardzo grzecznie i gościnnie, wyprawiali obiady i wieczerze, obficie podlewane winem. Uczty te zwykle kończyły się grą w karty. Dodać należy, że z zabaw tych oficerowie polscy wyszli zgrani niemal do ostatniego grosza.

Przez Pueblę i Fuentes dostano się do Saragossy, której gruzy i ruiny bardzo przykre wywarły wrażenie na Legionistów. Na Alagon, Mallen, Tudelę, dostano się do Taffali, gdzie zastała Legia batalion marszowy polski, który zaraz do niej wcielono. Batalion ten składał się ze zdrowych, silnych i dobrze wymustrowanych ludzi, którym brakowało tylko chrztu ogniowego, by dorównać swym towarzyszom. Ale o chrzest taki, jak wiemy, w Hiszpanii było nietrudno. Przez Pampelunę, w d. 28-mym stycznia 1811 r., Legia stanęła w Saint Jean de Luz, a nazajutrz w Bagonie, gdzie zdała władzom francuskim jeńców. Ludzie ci żegnali się z Polakami bardzo uprzejmie. „Czyniliśmy dla nich wszystko, co było w naszej możności, byle osłodzić im los twardy; — pisze w swych pamiętnikach H. Brandt — doznawali

z naszej strony wszelkiego współczucia, jakie winien człowiek człowiekowi, jeżeli się znajduje w nieszczęściu. Hiszpanie też okazowali wdzięczność nie tylko oficerom, ale wogóle wszystkim ludziom z szeregów Legionu Nadwiślańskiego. Nie zapomnę nigdy ich oświadczeń, powtarzanych przy każdej sposobności żołnierzom narodowości polskiej. Mawiali oni zawsze: *que buena gente los Polacos!* (co to za dobrzy ludzie ci Polacy). W tem była najlepsza zapłata za czas trudów i niewygód, spędzony w tej przykłej podróży i niemniej przykrem zadaniu pilnowania jeńców wojennych“.

W Bayonnie dano Legii dwa dni odpoczynku, które ona przepędziła wesoło, może niekiedy nadto wesoło. Francuzi przyjmowali legionistów dobrze, nie dziwili się ich swawoli, owszem mówili, że nie można jej brać za złe ludziom, którzy swego jutra są niepewni.

W dniu 31 stycznia przyszedł rozkaz powrotu do Hiszpanii, przyczem Legia w towarzystwie tysiąca pieszych żandarmów francuskich, miała konwojować olbrzymi transport wszelkiego rodzaju zapasów wojennych. Maszerowano z trudnością, wśród dni zimowych i wietrznych. Szli na Irun, Tolozę do Alegrii. Tu opowiada pamiętnikarz ciekawą historią. „Było może około godz. 11-tej wieczorem, gdy mi dano wiedzieć, iż od drogi dochodzi jakiś jęk i narzekanie, a niebawem sprowadzono muła, kierowanego przez

śliczną młodą kobietę. Na muła trzymał się ledwo, nie pierwszej już młodości, chory jakiś mężczyzna. Oboje ci ludzie byli strasznie znużeni, a daremnie szukali gospody w Tolozie i napróżno także szukali przytułku w obozie, aż nakoniec spostrzegłszy ogień rozniecony przez moją kompanią, w tę stronę się udali. Nie mogłem wyjść z podziwienia, dowiedziawszy się, że państwo ci, to moi ziomkowie. Kobieta opowiadała mi, że mąż jej służył w jednym z pułków polskich, lecz wskutek chronicznej choroby, musiał wziąć dymisy i obecnie ma zamiar powrócić do Warszawy, gdzie się spodziewał znaleźć pewny przytułek w domu weteranów. W Wittoryi miało mu się pogorszyć, nie chcieli jednak zatrzymywać się nigdzie, byle wyjść jaknajprędzej z Hiszpanii. Dziś zdawało jej się, że już zginą bez ratunku, że Bóg zapomniał o nich. Liczy jednak na miłosierdzie swoich rodaków.

„Jakkolwiek odwiedziny te nie były mi wcale na rękę, nie pozostawało jednak nic innego, jak zająć się losem tych nieszczęśliwych. Odstąpiłem im lepszą część schronienia w moim małym domku, pokrzepiłem chorego filiżanką kawy i oddałem jego żonie wszystko, w co tylko była zaopatrzona moja spiżarnia. Nazajutrz po śnie pokrzepiającym, chory miał się o wiele lepiej. Kazałem więc opakować ich muła, utraktowałem dobrem śniadaniem i ostrzegłem ich, ażeby przez całą drogę

dopóki nie wyjdą z Hiszpanii, trzymali się zawsze straży przedniej. Dałem im przytem list do jednego z oficerów naszego Legionu, który pozostał w Bayonnie w celu zabrania rekonwalescentów i dostawy nowego wyekwipowania dla naszego pułku“.

Na Wittoryą, gdzie pozbyto się transportów, Legia z Chłopickim ruszyła do Segury, w celu pokonania włóczęgo się w tamtejszej okolicy Miny. Odtąd rozpoczął się szereg marszów, bojów, wycieczek i pościgów za gierylasami. Okolicę tę zwano królestwem Miny „*reino de Mina*“.

„Dnie te, powiada pamiętnikarz, policzyć muszę do niewymownie gorzkich i krwawym potem opłaconych“. Toczono te walki w Nawarze aż do marca, głównie na wysokiem płaskowzgórzu, zwanem „*Cinco Villas*“. Energiczne kroki Chłopickiego przywróciły tu względny spokój, tak, że pozwolono znużonemu i obdartemu pułkowi drugiemu Legii przybyć na pewien czas do Saragossy dla odpoczynku, odświeżenia mundurów i reparacji broni. Pułk w d. 26 marca 1811 r. wkroczył do Saragossy i został rozkwaterowany w pobliżu Cosso, w kilku klasztorach, przerobionych na koszary. Dowodził wtedy pułkiem major Michałowski, żonaty z Włoszką. Z mundurami marudzono, również z wypłatą żołdu, a tymczasem doszła wieść o pojawieniu się znowu Miny w okolicy Cinco Villas. Nakazano pułkowi wyruszyć,

gdy tymczasem zaszła w Saragossie scena, przez cały czas wojny hiszpańskiej jedyna w swoim rodzaju. Oto jak ją opisuje Brandt:

„Pułkownik nasz dotychczas nie był powrócił, w zastępstwie więc jego mianowano i na wyprawę tymczasowym komendantem majora Michałowskiego, który był zawiadowcą spraw ekonomicznych pułku. Żołnierze podejrzewali go dość głośno, że nadużywa swojego stanowiska i dlatego nie miał miru w pułku. Kompanie, z których kilka rozrzuconych było w rozmaitych koszarach pojedynczo, umówiły się, że staną na hasło na placu Algaferia, gdzie się zbierał cały pułk do wymarszu. Wiele kompanij stało już w szyku, gdy ja przybyłem z moją kompanią i zająłem miejsce od lewego skrzydła pułku. Wkrótce zakomenderował major Michałowski przed frontem:

— Baczność! na ramię broń! Ale ani jeden żołnierz z wyjątkiem mojej kompanii, nie usłuchał komendy. Major powtórzył słowa komendy, a wtem z szeregów odezwały się nagle liczne i obraźliwe oskarżenia przeciw majorowi. Kapitanowie wystąpili przed front swych kompanij, przemawiali do żołnierzy, ale napróżno. Major jednak nie tracąc bynajmniej krwi zimnej, zakomenderował znowu:

— Sekcyami zachodź w prawo, marsz! — Ale na to wezwanie zawołano ku majorowi:

— Daj nam bóty i bieliznę i zapłać żołd za-
legły! Nie wysilaj się i nie komenderuj, bo i tak
nikt nie posłucha.

Na to ja wyszedłem przed moją kompanią, po-
wodziłem dobitnie komendę majora i pomaszero-
wałem poprzód front całego pułku. Najbliższa
kompania naszego batalionu poszła za przykła-
dem mojej, a za nią i reszta batalionów. Gdyśmy
się zbliżyli wzdłuż frontu prawie przed pierwszy
batalion kompanii wołyżerskiej, zastąpili nam
drogę żołnierze tej kompanii i chcieli nas po-
wstrzymać przemocą. Zatrzymany nagle w chwili,
gdy za moją kompanią naciskała w marszu cała
kolumna, zagroziłem rokoszanom, że pierwszego
lepszego, który mi drogę zagrodzi, przebiję szpadą.
Rzuciwszy groźbę starałem się posunąć dalej,
a wtem jeden z pijanych żołnierzy wpadł sam
na szpadę skierowaną do pchnięcia. Ostrze za-
drasnęło go w ramię, ale drugiego, który miał
być niewinny zraniło znacznie poniżej piersi. Ra-
niony upadł jakby martwy na ziemię. Widząc to
rokoszanie ustąpili nagle i kompania zbliżyła się
do czoła kolumny, gdzie już tymczasem nadbiegł
był sam major. Dobosze uderzyli pobudkę, mu-
zyka zagrała marsza i w ten sposób wyszliśmy
z miasta przez bramę.

„Gdy się to działo, jedna z baterji artylerji, mu-
sztrująca się właśnie w dali na placu, skierowała
już była na nasz pułk paszcze spiżowe dział, ale

bez obcej pomocy i interwencji, umieliśmy sobie
poradzić i zapanowaliśmy nad chwilowo niemi-
łym położeniem wskutek rokoszu.

„Dość późno stanął pułk w Villamara, gdzie
wypadł nocleg. Nazajutrz przed udaniem się w po-
chód, uformowano czworobok z całego pułku.
Kapitan Rechowicz, który był tymczasowym ko-
mendantem pierwszego batalionu, przemówił su-
rowo do żołnierzy batalionu, jako najbardziej
winnego. Zgromił ostro żołnierzy, wystawiając
w dobitnych wyrazach, jak zbrodniczego dopu-
ścili się czynu i kazał stanowczo wymienić win-
nych. Wystąpiło na to kilku starszych wojaków,
a w rzędzie ich jeden sierżant i wyznali ze skru-
chą, że właściwie wszyscy zawinili, tylko nie my-
śleli tak źle jak się stało, a brzydki i gorszący
obróć tej sprawie, nadało właśnie kilku opojów
w batalionie. Zaręczali sumieniem i honorem żoł-
nierskim za dobrego ducha w batalionie i błagali
o przebaczenie za tę ciężką winę. Kapitan Re-
chowicz, człowiek wyrozumiały, oględny i rozu-
mny, przemówił jeszcze raz do sumienia prostych
ale obałamuczonych ludzi. Gdy następnie na za-
pytanie kapitana: czy tak jest jak sierżant po-
wiedział i czy żałują wszyscy, że dopuścili się
czynu niegodnego? cały batalion odpowiedział
jednogłośnie zatwierdzająco — przyrzekł kapitan
nie żałować trudów i użyć wpływu, jaki posiadał,
ażeby i wyżej zechciano im darować winę. Po

ukończeniu tymczasowem tej sprawy, ruszył pułk cały w pochód dalszy.

„Jakim sposobem przyszło do tego, co się stało na placu w Saragossie, kiedy i w jakim celu nastąpiła zmowa, czy wskutek proklamacyi, które wciskano w ręce żołnierzom w Sanguessie, czyli też wskutek podszeptów emisaryuszów hiszpańskich, nie docieczono tego nigdy. Ale, jak się później okazało, generał głównodowodzący Legionem, poczytał ten wypadek za wielce karygodny“.

Wyprawa na Minę tym razem się nie udała, choć dowodził Legią osobiście sam Chłopicki; dotarto aż do Kasedy, ścigając na piętach Hiszpanów i już w maju wrócono do Sanguessy. Mieszkańcy tego miasta okazali się, jak zwykle nader uprzejmi, potajemnie jednak namawiali żołnierzy polskich do zbiegowstwa. Sami żołnierze donosili o tem swoim komendantom. Trzeba było stanowczo i szybko temu zapobiec. Ustanowiono sąd wojenny, który pociągnął wielu mieszkańców do odpowiedzialności, ale ich potem uwolnił, jednego tylko, który miał winiarnię i sprzedawał w niej wino żołnierzom po bajecznie niskich cenach, stawiono przed sądem. Kilku grenadierów francuskich, świadczyło przeciw handlarzowi, że ich namawiał do zbiegowstwa, a prócz tego jeden kapral z pułku nadwiślańskiego, Polak, przysiągł, że obwiniony robił mu propozycje ucieczki

i dawał nawet pieniądze na drogę do Puente la Reyna, gdzie zwykle przebywał Mina ze swoim sztabem. Obiecywał kapralowi w legione cudzoziemskim, jaki się miał formować w Puente la Reyna, stopień oficerski. Wobec tego sąd wojenny jednogłośnie skazał Hiszpana na śmierć, a że właśnie Legia wychodziła z Sanguessy, skazańca więc zabrano ze sobą.

„Ledwośmy minęli górzystą i dziką okolicę leśną, opowiada pamiętnikarz, zatrzymano się w dolinie. Wojsko utworzyło czworobok z jednym bokiem otwartym, przez który wprowadzono aresztowanego. Generał Chłopicki przemówił do wojska, krótko przedstawiając o co więzień był obwiniony i kazał następnie wyrok przetłómaczyć na język hiszpański i odczytać więźniowi. Hiszpan ten był to człowiek młody, najwyżej trzydzieści lat liczący, w stroju narodowym ubrany. Wysłuchał on spokojnie oskarżenia i rzekł tylko:

— Soy inocente Senor General, por la santissima Madre de Dios, soy inocente (Jestem niewinny, panie generale, na Przenajświętszą Matkę Boską jestem niewinny).

W tej chwili przybyła z Sanguessy zdyszana deputacya, prosząc o łaskę. Spostrzegłem w tej deputacyi także mego gospodarza, który zwrócił się do mnie, ażeby przemówił także za obwinionym.

— Łaska — odpowiedziałem mu — spoczywa tylko w ręku jenerała en chef w Saragossie; proszę o odroczenie wykonania wyroku, pośpieszcie do jenerała Sucheta, może wysłucha waszej prośby“.

Nie zwrócono uwagi na tę propozycją. Skazanemu zawiązano oczy, przyklął, zapewniał po wtórnie o swej niewinności, a po chwili, którą mu dano, aby zmówił Ojciec nasz, rozległ się huk wystrzałów, które go obaliły na ziemię.

Te krwawe, ponure egzekucye nie uspokajały, ale owszem drażniły mieszkańców. Legia aż do lipca zajmowała się pościgami i utarczkami z powstańcami, których ostatecznie nigdy pobić zupełnie nie można było, a długie, wśród gór i dzikiej przyrody, pochody nużyły i męczyły żołnierza. W lipcu Chłopicki z główną kwaterą stał w Sadawie.

„Sadawę, opowiada Brandt, wspominam zawsze z przyjemnością i zapewne dla wszystkich oficerów i żołnierzy pozostała ona miłym wspomnieniem. Jenerał Chłopicki zajmował tutaj mieszkanie u jakiejś margrabin, zacieklej Hiszpanki, o tyle jednak roztropnej, że umiała rozróżnić osobę od rzeczy, charakter człowieka za służbą, od żelaznego obowiązku. Główny naczelnik gerylasów Mina, gościł także jakiś czas w domu margrabin w czasie swoich wypraw. Wówczas musiała mu gospodyni opowiadać, cokolwiek wiedziała

o wojsku cudzoziemskim, co bardzo zajmowało improwizowanego jenerała. Ciekawy był nade wszystko dowiedzieć się jaknajwięcej szczegółów o oficerach wyższych. Tej okoliczności prawdopodobnie zawdzięczać należy, że dama rzeczona dawała tertulie, rodzaj wieczorków, od tańca, tertulią zwanych, na które bywali proszeni i oficerowie liniowi. Ja nie miałem sposobności dostąpić tego honoru dotąd, gdyż byłem prawie nieustającym komendantem straży przednich, a ztąd i mniej miałem swobodnego czasu, niż inni oficerowie.

Pewnego dnia znajdowałem się na posterunku w Los Benares, gdzie od strony Bioty ukazywali się powstańcy, gdy przybył inny oficer zastąpić mię i przywiózł rozkaz, ażebym się udał do jenerała Chłopickiego i przepędził z nim wieczór. Nie domyślałem się wprawdzie o co idzie, ale powróciwszy do Sadawy, włożyłem na siebie najlepszy mundur i poszedłem przedstawić się jenerałowi. Nie zastałem go jednak w domu, powiedziano mi tylko, że jest u hrabiny, i że mam się tam udać. Zrobiłem jak kazano. Wszedłszy, zameldowałem się jenerałowi, ściśle wedle formy służbowej. Jenerał skinął na mnie i podszedłszy ku margrabinie, rzekł:

— Przedstawiam pani pana Henryka Brandta.

— Pan jesteś *commandante de los Casadores*? — zagadnęła niemłoda już, ale jeszcze pełna życia

dama. Kiedy odpowiedziałem potwierdzająco, zrobiła uwagę, że służba moja odrywa mię często od miasta, i że dlatego jedynie nie miała dotąd przyjemności poznać mnie. Nie pamiętam już, co jej na to odpowiedziałem, ale nie uszło mojej uwagi, że natychmiast zwróciły się na mnie spojrzenia dam i oficerów i że rozpoczęto o mnie mówić. Wkrótce porucznik Polkowski, który grał nieźle na skrzypcach, zaczął grać mazura, a doktor Gulicz wtórował mu na flecie. Jenerał Chłopicki wezwał nas kilku młodszych oficerów do odtańczenia paru figur mazura, na widok którego damy hiszpańskie nie mogły wyjść ze zdziwienia. Bardziej jeszcze zadziwiły się walcem, który nastąpił po mazurze, ale mazur spodobał im się lepiej. Widząc, że jestem tego wieczora przedmiotem ciekawości licznie zebranych dam, spytałem jednego z kolegów, co właściwie znaczy cała ta komedia. Dowiedziałem się tedy, że margrabina zapytywała się już kilka razy jenerała, czy prawda, że w wojsku jego znajduje się wielu heretyków i to nawet oficerów, a wkońcu, czy nie mogłaby ich zobaczyć? Jenerał miał zawsze bezpośrednio przy swoim mieszkaniu 50 ludzi i jednego oficera, a oprócz tego 10 ludzi z pułku huzarów, gotowych na każde skinienie. Chcąc więc zadowolnić swoją uprzejmą gospodynią, zapytał, czy niema na straży ewangelików. Ponieważ w pułku było ich wistocie niemało, znalazło

się zatem kilku i w straży przybocznej. Ci tedy, podobno sześciu, musieli wystąpić przed domem jenerała, adjutant jego dawał niby jakieś polecenie, a ciekawa dama tymczasem przypatrywała się heretykom z balkonu. Po chwili wróciwszy do pokoju, miała powiedzieć:

— Ależ to tacy ludzie, *come nostros* (jak i my).

Otóż dalszym ciągiem powyższej sceny była nasza wieczorna tertulia. Jako heretyk, zostałem bohaterem wieczoru. Spowiednik domu margrabiny, były kapucyn ze zniesionego klasztoru, ujął mi wprawdzie cokolwiek uroku, gdyż powiedział, że nie jestem właściwie heretykiem, tylko odszczepieńcem, ale ponieważ odszczepieniec dość dobrze tańczył i potrafił się bawić wesoło, przebaczone mu zatem grzech bezwarunkowo. *Es christiano come nostros* (chrześcianin taki sam, jak i my), powtarzano i podobno nie omylono się“.

Scena ta wybornie charakteryzuje Hiszpanów, pogrążonych w grubej ciemnocie, wywołanej przez fanatyzm religijny, i dlatego powtórzyliśmy ją tu w całości.

Przez lipiec i sierpień wojowano z powstańcami w Nawarze i Arragonii, aż nakoniec we wrześniu ściągnięto Legią do Saragossy w celu oblegania Walencji, do czego w sztabie francuskim robiono olbrzymie przygotowania. W dniu 17 września wyruszono na nową kampanią z Saragossy, poczem pułki polskie zostawiły prawie

trzecią część swych sił w Arragonii na załogach po różnych miejscach. Maszerowano na Fuenta i la Puebla de Híjar do Alkanizu, a ztąd przez Val del Algorta, Monrayo, Morellę do San Mateo. Urocza i urozmaicona okolica, przez którą Legia przechodziła, jakkolwiek znana jej z dawniejszych pochodów, teraz w jesiennej, złotej porze, robiła na żołnierzy potężne wrażenie. Na ciemnym lazurze hiszpańskiego nieba świeciła jasna i wielka kometa 1811 r., pamiętna olbrzymimi wypadkami jakie zwiastować miała i wybornymi winami. Polskie Maćki, wbrew ludowej opinii, to niezwykle zjawisko uważali za dobrą wróżbę. Widne noce przypisywali blaskowi komety i uważali ją za dowód łaski Bożej. Narzekali tylko w tym długim pochodzie, który zanieść ich miał w nową stronę, że nie bardzo było co jeść, ale do tego byli przyzwyczajeni i nie martwili się tem zbyt cennie.

W okolicy San Mateo zatrzymano się nieco dłużej i stoczono kilka utarczek z partyzantami, zwycięskich jak zwykle, ale jak zwykle bezpłodnych. W październiku ruszono do Villareal, gdzie rozeszła się pogłoska, że Villacampa, znany nam już dowódca gierylasów, zamierza deblokować maleńką forteczkę Oropezę, leżącą nad morzem, jeden z tych zameczków, których takie mnóstwo wystawili Hiszpanie w średnich wiekach dla obrony swych wybrzeży przed nagłym napadem berbe-

ryjskich Korsarzy. Ściągnięto wojska i d. 11 października podsunięto się pod Oropezę, która całkiem zamykała drogę między Tortozą i Murviedro. Zameczek ten oblegali Neapolitańczycy i właśnie w chwili przybycia wojsk franko-polskich poddała się. Jedna tylko wieża, bezpośrednio nad morzem położona odmówiła kapitulacji. Obsypano ją kulami, ale mury były tak wytrzymałe, że kule armatnie nie zrobiły nawet znaków na murze. Prócz tego nieprzyjacielskie okręty i kilka mniejszych statków tak się usadowiło u wybrzeży, że mogły je ostrzeliwać od lewej i prawej strony wieży. Podsunięto się pod wieżę i nagle bez komendy grenadyerowie polscy pod dowództwem majora Michałowskiego ruszyli do szturm. Ustał nagle ogień nieprzyjacielski, a ogień z okrętów nie wyrządził śmiałom żadnej szkody. W mgnieniu oka zdobyto okopy i wdarto się na nie; wieża jednak zaparta była żelazną bramą. Niemało czasu zabrało wyważenie bramy, przez którą po wąskich schodach wdzierano się na platformę. Pierwsi z żołnierzy, którym się udało wdrzeć na rzeczoną platformę, rozdrażnieni prawie do szału wskutek tego, że zdobyć im uchodziła, stracili kilku ludzi z załogi nieprzyjacielskiej w przepaść. Jeden z tych nieszczęśliwych, ratując się chwycił kamień i wyrwał go, lecąc w dół. Kamień spadł właśnie w chwili, gdy major Michałowski wchodził do wieży i zranił go dość dotkliwie. Zdobyć tej wieży, noszą-

cej miano „Torre del Rey“, ważne było z tego względu, że oswobadzało komunikacją i stawało się doskonałym punktem oparcia przeciw gierylasom. Komendantem fortu i okolicy został mianowany kapitan z 2-go pułku Legii, Korczyński.

Ztąd już droga była otwarta do Murviedro, starożytego Saguntu, który, jak powszechnie mówiono, gotował się do upartej obrony. W Almenarze rozłożono się na spoczynek i wypłacono wojsku żołd czteromiesięczny, co wywołało w całej armii niezmierną radość. Że zaś przy każdej prawie kolumnie byli markietani i markietanki, nie trudno więc było się pozbyć wziętego grosza i ulżyć kieszeniom.

Nakoniec d. 17 października zbliżono się pod Murviedro. Straże polskie znalazły się pod samymi murami. Kule nieprzyjacielskie gwizdały dokoła. Na noc żołnierze polscy zajęli stanowisko za olbrzymią skałą, oderwaną od sąsiedniej góry i tworzącą z drugiej strony pieczarę. Przez całą noc nikt nie mógł wypuścić broni z ręki. Bomby i granaty przelatwały na tle ciemnej nocy jak ogniste meteory; od wyłomu u wieży S. Pedro grzmiał ogień broni ręcznej. Rozpoczęło się więc oblężenie, nudne, krwawe, męczące...

Już w kilka dni potem, bo dnia 25-go października przyszło do większej bitwy z Hiszpanami, którzy postanowili deblokować Murviedro. Legia polska zajęła krańcowe punkty lewego skrzydła

armii francuskiej, gdzie generał Chłopicki poprowadził ją do ataku tak śmiało i energicznie, że Hiszpanów roztrącił tu zupełnie. Stanowcze jego natarcie, wykonane w chwili najodpowiedniejszej, natarcie polskich Bartków śmiałe, mężne i pełne zapału, rozstrzygnęło bitwę. Między Francuzami chwalono wówczas Polaków, ale skończyło się tylko na pochwałach. Legia słusznie przynależnych jej nagród nie otrzymała, do czego zresztą przywykła...

Wieczorem d. 26-go października, Murviedro się poddało. Nazajutrz pułk 2-gi Legii musiał konwojować jeńców aż do Caspe, z kąd wróciwszy do Murviedro stanął tu na czas dłuższy, odbywając przez cały listopad różne wycieczki i patrole. W pierwszych dniach grudnia część Legii poszła do Segorby i Wiweru; pędzono tu jak wszędzie życie pełne przygód, walk, prywaty.

W tym czasie zaszła w 2-gim pułku niemiła awantura. Część tego pułku stała w Castellon de la Plana, gdzie w jednym z najpiękniejszych domów, u jakiejś margrabiny, która miała dwie córki, stał kwaterą młody podporucznik od grenadyerów, człowiek wprawdzie piękny, ale bez wykształcenia. Udawał on bardzo zakochanego w jednej z margrabianek i wywoływał przez to żarty kolegów. Kilku żartownisiów pułku podtrzymywało go w mniemaniu, że dama kocha się w nim szalenie, i że powinien z tego korzystać.

Namówili go tedy, aby napisał list miłosny i podrzucił w takie miejsce, w którymby go młoda panna znaleźć musiała. Otóż młodzi psotnicy list taki przejęli i odpowiedzieli na niego w takiej formie, jakoby sama Hiszpanka pisała. Zakochany więc nie omieszkał skorzystać z najbliższej okazji i oświadczając swoją gorącą miłość, powołał się na list od niej. Oświadczenie miłości przyjęła dama spokojnie, ale skoro się powołał na list, odeszła śpiesznie z wyrazem uburzenia na twarzy. Odtąd nie widział już pan porucznik ani pani domu, ani żadnej z jej córek. Oszukany domyślił się podstępu i wezwał w sposób szorstki winnych, ażeby mu dali satysfakcyą. Właśnie wtedy część załogi wezwano do pułku. Tutaj gdy wieść o całym zdarzeniu się rozniosła, poczęli wszyscy nastawać, ażeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Bliska obecność Chłopickiego, który z pojedynkami nie żartował, wszystkich zatrzymała. Zebrali się więc na naradę porucznicy pułku i postanowili wdać się w tę sprawę. Gdy jednak obrażony był głuchy na wszelkie przedstawienia, gdy oznajmił, że nawet na zwłokę nie zezwoli, zdecydowano się donieść o wszystkim pułkownikowi. „Do misyi tej, opowiada Brandt, ja zostałem wybrany. Wypadek ten oburzył pułkownika niesłychanie, wezwał on do siebie podporuczników Lasockiego i Lewandowskiego i kazał im się pogodzić. Ale Lasocki nie chciał ani słyszeć o zgo-

dzie, przeciwnie, prosił o pozwolenie zakończenia stanowczo, gdyż jak twierdził, uważa się za znieważonego dopóty, dopóki jeden z nich żyje. Po długich sporach i przedstawieniach, stracił pułkownik nareszcie cierpliwość. Podporucznika Lasockiego kazał zamknąć w areszcie, a Lewandowskiego przeniósł do batalionu pod Peniskolą stojącego. Jednocześnie kazał Lasockiemu być gotowym do drogi, gdyż miał go wysłać do Sedanu, gdzie były główne nasze magazyny. Rozkaz ten złamał energią młodego lwa. Lasocki protestował wprawdzie, ale skoro pułkownik zagroził prawem wojennem, skoro zaczął wywodzić skutki nieposłuszeństwa, podporucznik okazał się skłonniejszym do odroczenia sprawy. Zapaśnicy tedy musieli dać słowo honoru, że bez pozwolenia nie staną do pojedynku i że aż do owej chwili unikać będą wszystkiego, cokolwiekby mogło wywołać nowe nieporozumienie. Kiedyśmy wychodzili z domu pułkownika, podawał Lewandowski rękę do zgody i prosił o przebaczenie za żart tak przykry. Lasocki jednak nie przyjął ręki i powtórzył, że w tem życiu nie będzie między nimi zgody. Odtąd unikał Lasocki wszelkiego towarzystwa, wszelkiej styczności z oficerami pułku, żył prawie jak pustelnik. Pozostał wprawdzie uprzejmym i ugrzecznionym, ale z nikim nie mówił“.

Takie to błahe powody wносиły kwas w życie tej młodzieży, rzuconej na kraniec Europy, zdala

od swej smutnej ojczyzny. Jak zawsze i wszędzie tak i tu kobieta była powodem rozterki.

W końcu grudnia obsaczono nakoniec Walencya. Rozpoczęły się tu znowu nudne i krwawe prace oblężenia i niewygód wszelkiego rodzaju, których Legioniści nasi tyle już doświadczyli pod Saragossą, Tortożą, Murviedro. Ledwie się ustawiono dokoła miasta, gdy dowódca hiszpański generał Blake, postanowił skorzystać ze słabego obsadzenia lewego brzegu Guadalaviaru, przedrzeć się tamtędy, dostać w góry i z tyłu oblegających niepokoić. Jakoż w nocy dnia 29 grudnia przedarł się przez most San Jose i napadł na strzegący tej pozycji pierwszy pułk Legii Nadwiślańskiej. Dzielne nasze „chamy“, napadnięte znienacka, zamknęły się w domach wsi Marchelenes i taki waleczny dali odpór, że tylko bardzo niewielka część Hiszpanów zdołała przedrzeć się w góry, co jednak nie przeszkadzało, że Francuzi i Suchet z nimi wygadywał i łajał surowo Polaków.

W nocy d. 1 na 2 stycznia 1812 r. przypuszczono szturm do przedmieścia św. Wincen-tego, kolumnami, złożonemi przeważnie z Legioni-stów, którzy obficie krwią swoją zlażyli tę część murów Walencji. Nieznośne potem deszcze po-częły padać, czyniąc i tak już przykre położenie jeszcze przykrzejszem. Na szczęście Walencya poddała się d. 9 stycznia 1812 r., a w począ-tkach lutego wśród pułków Legii rozeszła się ra-

dosna wieść, że mają wracać do ojczyzny, do tej ojczyzny, której wielu zpomiedzy nich nie wi-działo od dnia Maciejowickiej katastrofy... Nie cie-szono się jednak z tego bardzo. Wiedziano, że powołują ich na wojnę z Rosyą, i przeczuwano, że wojna ta będzie straszną i długą. Między le-gionistami było wielu takich, którzy znali żołnie-rza rosyjskiego i kraj, i przepowiadali, że natura weźmie w obronę Rosyą. Mówili, że bądźco bądź, jeżeli już trzeba się bić, to lepiej w Walencji, niż na mroźnych, szerokich, pustych płaszczynach rosyjskich.

Wszystkie te jednak zdania na nic się nie zdały. Rozkaz przyszedł i trzeba go było wypełnić. Wy-ruszono w pochód. Maszerowano na Jertę, Buleę, Coupe, Pinę do Saragossy, gdzie Legia stanęła dnia 16 lutego. Chłopieki energicznie się zajął ściąganiem pojedynczych oddziałów Legii, które chętnie Francuzi zatrzymywali i wcielali do swych pułków. Dzięki jemu wielu z polskich Maćków mogło ujrzeć znowu swą melancholijną ojczyznę, by zmarznąć w śniegach Rosyi. Przez Zuereę, Ajerbę i Anzoniego dostali się Legioniści aż do Jaci, a ztąd przedzierali się przez góry Pirenej-skie do granicy francuskiej, do miasteczka Urbax.

„Skorośmy tylko przeszli granicę, opowiada pamiętnikarz, stanęliśmy dla odbycia dłuższego wypoczynku. Żołnierze wszędzie zbierali się w gro-madki, wielu z nich obracało wzrok poza siebie,

rozmawiano o towarzyszach, którzy poginęli w Hiszpanii, przyczem zwracano badawczy wzrok ku przyszłości. Oficerowie i żołnierze żegnali się z krajem, któryśmy opuszczali, jak ze starym znajomym. Wielu uważało go jako kolebkę sławy, inni zaś jako krainę zawiedzionych marzeń i nadziei.

Podczas gdy oficerowie gawędzili między sobą, spostrzegli jednego z pomiędzy żołnierzy w znacznej odległości, wdrapującego się na wysoką skałę.

— Ha, — mówili między sobą — ten dopiero naprawdę żegna się z Hiszpanią!

„Kiedy wtem nagle, proszę mi darować to wyrażenie, tłómaczy się Brandt, ujrzelśmy jak ścignąwszy dolną część ubrania, odwrócił się w stronę Hiszpanii, krzyknąwszy stentorowym głosem:

— Oto masz ty przeklęty kraju, zato, żeś poknął tylu moich braci i towarzyszków!

Podczas kiedy cały tłum żołnierzy głośno pochwalał jego postępowanie, kapitan Szmett, nie lubiący nigdy dobrze mówić o Napoleonie, odezwał się do nas:

— Szkoda tylko, że ten nieborak pomylił się w adresie, bo kraj właściwie nie temu nie winien, że bronił własnej skóry!“

Dnia 27 lutego Legia stanęła w Pau.

ROZDZIAŁ XIX.

Badajoz i Albuera.

Marsz ku Gibraltarowi. — Starcie pod Jimena de la Frontera. — Marsz bezowocny pod Gibraltar — Sewilla. — Pochód i pobyt w Badajoz. — Powrót do Madrytu. — Lansyerowie i nowa ich wyprawa do Murcyi. Brzydki wypadek w Lorka. — Maszerują do Sewilli. — Pobyt tam. — Bitwa pod Albuera. — Wyprawa do Gadyksu. — Starcie pod Berlanga. — Powrót do ojczyzny.

Zostawiliśmy pułk 4-ty polski stojący załogą w Maladze, podczas kiedy 7-my i 9-ty robił wyprawę do Murcyi. Jenerał hiszpański Valesteros zebrał właśnie w tej dobie około 6000 ludzi, zajął góry Ronda i groził Maladze. Marszałek Soult, dowodzący naczelnie w Sewilli, wysłał przeciw Hiszpanom wojska, prócz tego rozkazał, ażeby pułk 4-ty polski wyruszył brzegiem morza Śródziemnego i uderzył na Hiszpanów z boku. Pomaszerowali czwartaki, opuszczając na zawsze Malagę, a ich miejsce zajęły oddziały pułku 7-go i 9-go.

W mieście Jimena de la Frontera, oddalonem od twierdzy angielskiej Gibraltaru ledwie o cztery mile, złączyli się z pułkiem 32 francuskim, i mieli czekać na oddziały wysłane z Sewilli przez Soult'a. Niedoczekawszy się ich jednak, wyruszyli na południe w kierunku Gibraltaru, gdy nagle zostali zaatakowani przez przeważne siły Hiszpanów. Dowodzący brygadą generał francuski rozkazał Waleńskiemu, pułkownikowi 4-go pułku, uderzyć na środek linii nieprzyjacielskiej. Czwartaki, ze zwykłą sobie brawurą, ruszyli naprzód i przełamali wszystko co napotkali przed sobą i zajęli, leżącą w środku wojsk hiszpańskich, górę, zarosłą gęstemi krzakami cierni. Tu wśród gęstwiny, za którą ukrywali się Hiszpanie, rozpoczęły się pojedyncze, uparte utarczki. Nieprzyjaciel zresztą poprawił się i gotował do ataku. Waleński, jakżeśmy to we właściwym miejscu wspomnieli, miał zmysły nieco pomieszane, porwał garstkę woltýżerów pod wodzą kapitana Radziwińskiego i z nimi uderzył na wielokroć silniejszego nieprzyjaciela. Oczywiście Hiszpanie woltýżerów odrzucili, Waleńskiego wzięli do niewoli, a Radziwińskiego zabili. Z nadzwyczajnem wysileniem udało się pułkowi wydobyć z tych opaków na gościniec i cofnąć w pośpiesznym marszu do Arcos. Biedne czwartaki utracili w tej potyczce przeszło 200 żołnierzy.

W Arcos połączono się nakoniec z oczekiwaną dywizją marszałka Soult'a, i wyruszone znowu w kierunku Gibraltaru, a pułk 4-ty do San Roque. Wyprawa ta do niczego nie doprowadziła. Wódz hiszpański Valesteros cofnął się cały i nienaruszony pod działa twierdzy angielskiej. Wrócono więc z powrotem na Medina Sidonia do Arcos, a ztąd na Utręę do Sewilli.

Odpocząwszy sobie we wspaniałem tem mieście przez tydzień, czwartaki wysłani zostali jako asekuracya znacznej ilości amunicyi do twierdzy Badayoz, na granicy portugalskiej leżącej. Dostawszy się do niej szczęśliwie, pomieszczeni tu zostali jako załoga. Ta służba garnizonowa stanowi jedną z najprzykrzejszych chwil, jakie czwartaki spędzili w Hiszpanii. Brak był żywności, tak, że oficerowie obywać się musieli jedną racją żołnierską na dzień. Musieli bardzo częste i zawsze krwawe robić wycieczki do Portugalii, dla rekwizycyi żywności. W Badayoz przepędzili aż dwa miesiące, długie, przykre, głodne i smutne.

Nakoniec w zimie już złuzowano ich i wysłano do Zafra. Tu otrzymali radośną wieść, że mają iść do kraju, do swej biednej, dalekiej ojczyzny. Radość była tak wielka z tego powodu, że po otrzymaniu rozkazu cały pułk w dwie godziny był gotów do drogi. Ranni, chorzy zrywali się z łóżek w lazarecie i uciekali z niego po-

prostu, byle tylko iść do Polski, tej Polski ukochanej, dla której zaszli aż tutaj i najlepszą swą krew przelewali. W Zafra spotkali nasi w garnizonie francuskim jenerała Macieja Dębowskiego. Jakże zazdrościł swym rodakom powrotu do ojczyzny! Kazał im z magazynów rozdać żywność, oficerów zaprosił na obiad, słał przez nich swe rozręsknione westchnienia ku ojczyźnie. Biedak, nie miał już nigdy ujrzeć tej ojczyzny. Gdy bowiem otrzymał nakoniec upragnione, co do tego pozwolenie, w Burgos posprzeczał się z jakimś Francuzem, wyzwiał go i w pojedynku tym zginął. Jakże mu ciężyc musiała na piersi obca ziemia!

Nareszcie czwartacy wyruszyli do Madrytu. Choć było głodno i chłodno, śpieszyli jednak, bo w dali, na północy świeciła im jasna kometa, która zdawała się ich nieść do ojczyzny. Zostawmy na chwilę naszych piechurów w Madrycie, gotujących się do dalekiego pochodu nad Niemen, a idźmy opowiedzieć jeszcze kilka świetnych czynów innych wojowników polskich.

Lansyerowie polscy ciągle przez ten czas stali w Baza. Żywności poczęło brakować, bo powstańcy grasując dokoła, nie dopuszczali jej dostawy i dokuczali mocno polskim kawalerzystom. Postanowiono więc nową wyprawę do Mureyi pod wodzą jenerała Milheaud. Ułani napotkaną po drodze jazdę hiszpańską rozbili i doszli do

miasta Lorki. Tu zdarzył się szkaradny wypadek, który wpłynął na dalsze losy pułku.

„Pewien Francuz, opowiada pamiętnikarz, wpadłszy do domu hiszpańskiego, córce gospodarza krzywdę wyrządził. Ojciec z córką poszli do jenerała Sebastianiego na skargę, przywodząc, że żołnierz miał żółty kołnierz. Jenerał zawoławszy do siebie pułkownika Konopkę ostro go złajał, sądząc, że to był nasz ułan z żółtym kołnierzem. Przytem wyrzucał pułkownikowi, że Polacy są rabusiami, gwałcicielami, przez co zmuszają mieszkańców do powstania. Konopka żywo dotknięty, kazał pułkowi wystąpić, a jenerał z panienką i jej ojcem nadeszli, chcąc winowajcę poznać. Lecz skoro panna Polaków obaczyła, oświadczyła, iż ten co jej krzywdę wyrządził, był Francuzem a nie Polakiem. Zmieszał się jenerał Sebastiani, kazał piechocie francuskiej wystąpić, jakoż wnet winowajca poznanym został; byłto woltyżer. Natychmiast sześciu wystąpiło grenadyerów i pomimo próśb Hiszpana i jego córki, bez sądu woltyżer rozstrzelanym został“.

Powrócono do Baza, ale Konopka mocno urażony, że Polaków w ten sposób traktował Sebastiani, postarał się aby pułk lansyerów powołano do korpusu marszałka Soult. Ponieważ każdy dowódca chętnie widział w swym korpusie tak waleczną jazdę, więc Soult wezwał lansyerów do Sewilli. Z żalem nasze zuchy opuszczali

Bazę, gdzie tyle czasu stali i zawiązali tyle przyjaznych stosunków z mieszkańcami. Kwiecień już był 1811 r., gdy ułani odbyli szybko sześćdziesiąt mil drogi, dzielącej ich od Sewilli. Soult naglił ich ciągle o pośpiech. Na jednej stacyi w tej drodze przybiegł adjutant Francuz z nowym rozkazem o przyspieszenie marszu. Konopka zaprosił go na obiad. Działo się to na kwaterze u jakiegoś magnata hiszpańskiego, i dziwiło to mocno pułkownika, że gospodarstwo famillii swojej nie pokazują. Konopkowi, ładna Włoszka, zapytała o przyczynę pani domu, która po długim wahaniu wygadała się, że mają dzieci, lecz te są pochowane, z powodu, że Francuzi nagadali o Polakach, że są rabusiami, wszystko niszczą, a, jako lud azyatycki, dzieci zjadają. Pułkownikowa rozśmiałwszy się z tych baśni, uprosiła gospodynię domu o wyprowadzenie zpod strychu dzieci, które, wraz z rodzicami tak dla przekonania Hiszpanów o naszych obyczajach, jako też z powodu przybyłego adjutanta, zaprosiła na obiad. Pokazały się śliczne dwie panny i małe dzieci, ładne jak aniołki. Podczas obiadu chłopczyki wkoło stołu biegali; jeden z nich złapał Konopkę za szyję, ścisnął go serdecznie. Konopka wyniósł chłopca w górę: „Francuzi, rzekł, utrzymują, żeśmy rabusiami, niszczycielami tego kraju, że dzieci zjadamy! Gdyby tak było, czyżby z instynktu samego to dziecko tak

się do mnie tuliło?” Francuz, dodaje pamiętnikarz, zczerwieniał cały, my zaś zmarszczywszy czoło, ostro spojrzeliśmy na niego. Pułkownikowa o czem innem mówić zaczęła i rzecz się zatarła.

Nakoniec w niedzielę rano ukazała się ułanom Sewilla, owa stolica królowej Izabeli, pełna wież i kościołów. Pułk uszykował się w alejach nad rzeką Gwadalkiwir i tam go marszałek Soult obejrzał. Potem przeszli lansyerowie przez most, gdzie ich na przedmieściu Triena wygodnie rozkwaterowano. Uderzało to naszych zuchów, że mieszkańcy wcale się nie pokazywali; dowiedzieli się potem, że osobna deputacya prosiła Soulta, by ułani nie stali w mieście, bo wieść niesła, że ludzi jedzą. Gdy jednak później przekonali się, że niema łagodniejszego stworzenia jak żołnierz polski, drugą deputacyą wysłali do Soulta, żeby ich przeniósł do miasta. Ale Konopka nie zgodził się na to.

W dniu przybycia lansyerów do Sewilli marszałek Soult prosił do siebie na obiad korpus oficerów, a nazajutrz oficerowie konno oddawali wizyty wyższym generałom. „Ubiór nasz był piękny, opowiada Wojciechowski, konie dzielne, oficerowie młodzi i przystojni, nie jednym zwycięstwem głośni; przypatrywały nam się też Hiszpanki, a na nasz widok nie jednej się oczko uśmiechnęło, niejedno serduszek zapukało“.

Pobyt w Sewilli był bardzo przyjemny. Karmieni, pojeni do sytości, na wygodnych kwatdach o wszystkich zapomniawszy trudach, ułani byli szczęśliwi. Ale szczęście nigdy długo nie trwa, zwłaszcza na wojnie. „Już upłynęło dni dziesięć, czytamy we wspomnianych pamiętnikach, jakeśmy błogie życie prowadzili w Sewilli, gdy wieczorem podczas kolacyi, na której spijaliśmy doskonały Xeres, daje trębacz apel na sierżantów od służby. Wtem wypadła Jagielskiemu łyżka z ręki, zbladł jak trup i zawołał: „ja na tej wyprawie zginę“. Ruszyliśmy się do butelek i do koni, a ja wziąwszy dwie butelki Xeresu do kieszeni w rajtuzy, ruszyłem do Jagielskiego. Był on podoficerem od flankierów, a jako dobry chłopiec i tęgi żołnierz, lubiany od wszystkich. Zastałem go rozciągniętego na łożku w rozpacz, i gdy się o przyczynę pytał, odpowiedział, że rychłą śmierć swoją przeczuwa. Pułk już był wystąpił, gdy Jagielski zbliżywszy się do mnie na koniu, prosił, aby od flankierów mógł do kompanii powrócić; co gdy zameldowano kapitanowi Leszczyńskiemu, ten na to zezwolił. Potem ruszyliśmy w pochód“.

Dnia 15 maja 1811 r. po południu, doszli do wioski Albuera, gdzie ujrzeli za rzeką ogromne kolumny piechoty, artyleryi i jazdy angielskiej. Rozłożono ogniska i gotowano się do boju, który przypuszczano, że nazajutrz nastąpi. Jakoż o świcie

cie dnia 16 zatrąbiono pobudkę. „Zerwałem się co żywo, opowiada Wojciechowski, i już stałem na czele moich zuchów, kiedy zakomenderowano: „plutonami od prawego, odłam się!“ Podczas gdy defilowaliśmy około stojącego marszałka, słońce wschodzić zaczęło. Pułkownik krzyknął: „flankiery naprzód!“ Przebiegając koło niego, usłyszałem rozkaz: „broń na smycz, żwawo na lewo koło mostu, wpław przez rzekę, uderzyć na nieprzyjaciela!“ Plutony przebiegały galopem, a ja zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, słuchałem dalszych rozkazów, wtem pułkownik krzyknął na mnie pofrancusku: „czyś głuchy?“ W oka mgnieniu zwróciłem ognistego kasztana i pierwszy rzuciłem się w rzekę. Koło mostu widzieliśmy siedzących minierów. Przepłynąwszy sformowałem pluton, co też za mną Rogojski uczynił, poczem uderzywszy na szwadron dragonów londyńskich w puch ich rozbiliśmy. Wskoczyły przeciwko nam dwa inne szwadrony, a my cofając się w porządku, ujrzelśmy za sobą w asekuracyi Leszczyńskiego, na czele dwóch drugich plutonów flankierów, za rzeką zaś pułk się formował. Zwróciwszy się uderzyliśmy znowu na Anglików, i dwa szwadrony postępujące za nami rozbiliśmy. Dopiero gdy wyszła przeciwko nam nazbyt przewyższająca siłą, poczęła się w rozsypce utarczka. Każdy z nas walczył z kilkoma, a walka ta nierówna już pewny czas trwała, gdy artylerya na-

sza stanąwszy na pozycyi, zaczęła Anglików prażyć, którzy pobożowisko trupami zasłane nam ustąpili. Porzuceni na straconą pocztę, pomieszczeni z przemagającym nieprzyjacielem, zbiegamy się z Rogojskim: „Piotrze, wołam, nie masz tam czego się napić?” ten porywa flaszę, a sam wypiszy, mnie podaje. W tej samej chwili, kiedy krzepię siły, przelatuje między nami kula armatnia, niezgrabnie wymierzona przez naszego kanoniera, która o włos, że nas obydwu nie sprzątnęła.

„Anglicy widząc, że nam nikt pomocy nie daje, po raz trzeci przypuścili na nas atak. Gdyśmy zaś spostrzegli, że się nasza asekuracja cofnęła i pułku na tamtej stronie rzeki nie widać, zawołałem na Rogojskiego, aby czym prędzej rzekę wpław przechodził i z drugiego brzegu dał ognia. Na moje nieszczęście nad brzegiem błotnistym rzeki, koń się wywraca pod kapralem z plutonu Rogojskiego, co ich przeprawę wstrzymuje; tymczasem okryty chmarą Anglików, 14 ludzi z mojego plutonu straciwszy, szablą w rękę sobie toruję drogę, a rzuciwszy się w rzekę, szczęśliwie na drugi brzeg przepływam. Na tamtej stronie przybiegł Skrobicki Piotr, adjutant pułkowy z oznajmieniem, że trzeci raz przywozi rozkaz cofania się, a my go nie słuchamy. Wnet po nim nadjechał szef Kostanecki gderając: „otóżto szlachta polska, szabelką wywijając, śmierć

połykać, a rozkazów nie słuchać“. Wytlómaczywszy się przed szefem, iż żaden rozkaz do nas nie doszedł, ruszamy za nim. Przechodząc ponad rzeką przez te miejsca, gdzie z początku bitwy pułk nasz stał uformowany, spostrzegamy naszego trupa: byłto biedny nasz Jagielski: pierwszą kulą trafiony, znalazł śmierć, którą sobie wywodził. Straciliśmy w tej smutnej wyprawie kapitana Leszczyńskiego; przeszyty kulą nawyłot, umarł w kilka dni później i pochowany w mieście Llerena“.

Tymczasem francuska piechota i artylerya toczyła już zawziętą walkę z Anglikami. Jenerał Girard zdołał zmusić lewe skrzydło angielskie do powolnego odwrotu. Soult spostrzegłszy to rozkazał polskim lansyerom uderzyć na Anglików z boku. Poszli oni do ataku, przebyli na drodze szeroki wąwóz, sformowali się w oczach linii nieprzyjacielskiej i wpadli na nią szwadronami. Rozbili trzy pułki piechoty angielskiej, zabrali im 1000 niewolnika i sześć dział, odparli atak pułku dragonów londyńskich, który ich chciał oskrzydlić, i w porządku wrócili na dawne miejsce.

Mimo tego świetnego powodzenia, zdobytego lancą polską, bitwa wahała się, i wkońcu Francuzi wyczerpawszy wszystkie swoje siły, które się rozbiły jak o mur o zimną wytrzymałość angielską, poczęli się cofać. Bitwa miała być przegrana, gdyż dowódca angielski Beresford,

chcąc zadać ostatni cios Francuzom, całą masę swej piechoty pchnął naprzód. Gdy to spostrzegł marszałek Soult, wobec strasznego niebezpieczeństwa grożącego jego armii, przybiegł przed front lansyerów polskich i zawołał: „pułkowniku, ratuj honor Francyi!“ Konopka zakomenderował do ataku, lance zniżyły się, furknęły trójbarwiste chorągiewki i pułk ruszył naprzód jak huragan. Atak ten wstrzymał marsz piechoty angielskiej, co dało czas Francuzom do poprawienia się i zniweczenia tak szkodliwego dla nich zamiaru. Słusznie też Anglicy w swoich raportach o batalii pod Albuera powiadają: „Polacy zaczęli tę bitwę, utrzymali, i z największą chwałą zakończyli“.

Tą razą nie minęły przecież nagrody naszych zuchów. Konopka został generałem, a pułkowi przysłano jedenaście krzyżów legii honorowej. Opłacone były te zaszczyty pięciu poległymi oficerami, oprócz kapitana Leszczyńskiego. Zginął porucznik Sabo i Mikułowski, a 11 było raniomych. Dwustu żołnierzy i podoficerów zaległo krwawe pobojuwisko pod Albuera.

Po bitwie cofnięto się pod Llerene, gdzie pochowani zostali Leszczyński, Sabo i Mikułowski. Ztąd osłabiony mocno pułk, liczący ledwie jakichś 300 do 400 koni, wyruszył na wyprawę pod fortecę Olivenza, na granicy portugalskiej. W utar-

czkach, jakie tu staczano, dostał się do niewoli angielskiej oficer Skarzyński.

Wrócono do Sewilli i ztąd Konopka z jazdą swoją, musiał w forsownym marszu ruszyć przez Granadę do Gadiksu, przeciw gierylasom.

Wyprawa ta dokonana była w połączeniu z pułkami 9-ym i 7-ym polskim. Gierylasi tak się rozzuchwalili po opuszczeniu przez ułanów Bazy, że trzeba ich było ukrócić. Oba pułki polskie w tym celu opuściły Granadę i przez Gadiks przeszedłszy, stanęły obozem pod wsią Gor, w pobliżu której, w niezmiernie silnej pozycji pod Venta de Baul, stali gierylasi. Upały były nieznośne, powietrze okropnie zepsute wskutek tego, że wnętrzności z zabijanego na pokarm bydła, wyrzucano przez niepojęte niedbalstwo w pobliżu obozu. Wnętrzności te gniły, zarażając dokoła powietrze. Żołnierze polscy w braku drzewa w tej płaskiej, pustej, bezleśnej okolicy, robili sobie namioty ze skór bydłych, a w tych leżały się roje robactwa.

Przybyli nakoniec ułani. Stoczono kilka utarczek, a nie mogąc wyprzec Hiszpanów, piechota polska wróciła do Granady a ułani do Sewilli. Tu Konopka opuścił pułk; to samo zrobił chory Huppet i Kostanecki. Dowódcą pułku został major Dębiński, słynny włoski legionista. Poprowadził on ułanów pod Badayoz, gdzie stali na straconych placówkach, oko w oko z Anglikami.

Byłoto już w sierpniu 1811 r. W całej okolicy wielki był niedostatek. Furażu dla koni trzeba było szukać daleko. Co noc występowano do broni i potykano się. Nakoniec naciśnięci przez całą armię angielską, ułani wycofali się w porządku ku Berlanga, gdzie zastali na pozycji artylerją i piechotę francuską. Bitwa, jaka tu zaszła, była bez celu i bez chwały, Piotr Rogojski postrzelony został nawylot, ale wyleczył się z tego. Lansyerowie stanęli w Kordubie. Tu przyszedł rozkaz z oznajmieniem, że pułk dostaje za dowódcę Stokowskiego, oficera ze szwoleżerów gwardyi i że ten z dwoma szwadronami, sformowanemi w zakładach w Sedanie, oczekuje na lansyerów w Vittoryi, zkąd mają się udać przez Francją do Polski. Na tę wiadomość, o mało że każdego z ułanów z radości nie oszalał. Niestety! mieli oni jeszcze dużo swej dzielnej krwi przeleć w Hiszpanii, nim nad nimi zajaśniało słońce polskie. Trzykrotnie bowiem musieli biec na pomoc oblężonemu przez Anglików Badayozowi, dużo czasu stracić i dużo ludzi pomarnować.

Nakoniec w początkach 1812 roku, wyruszono z powrotem do Polski. Był już luty i z radością wracali do ojczyzny, na Saragossę, drogą tą samą, którą szła Legia Nadwiślańska. Przez góry Pirenejskie przeszli szczęśliwie i nakoniec znaleźli się na ziemi francuskiej, żegnając nie

bez pewnego żalu i tęsknoty wspaniałą ziemię hiszpańską, gdzie tylu ich towarzyszy zostało, gdzie tyle wspomnień słodkich żywili, gdzie nakoniec nie jeden liść uszczknęli do swego nieśmiertelnego wieńca sławy.

ROZDZIAŁ XX.

Powrót do ojczyzny.

Utarczka pod Mora. — Okrucieństwa. — Marsz i potyczka w Lanjaronie. — Pobicie kolumny w Motril. — Połączenie się w Madrycie dywizji polskiej. — Marsz do Francji. — Pułk 7-my bije się w Salinas. — Uwagi nad wojną hiszpańską. — Zakończenie.

Podczas gdy się to działo, pułk 7 i 9 polski stały ciągle w Granadzie, z ręką, że tak powiemy, na cynglu karabina, wobec rosnącej ze wszystkich stron siły powstańców, którzy zachęcani wypadkami europejskimi z tem większą natarczywością i uporem walczyli z najazdem. W chwili, gdy marszałek Soult wyruszył pod Albuera, z Granady musiano wykomenderować batalion z 9-go pułku do Sewilli, dla wzmocnienia tamtejszego garnizonu. Batalionem tym dowodził podpułkownik Jasiński. Spełniwszy swoją powinność, batalion polski wracał do Granady, gdy nagle pod wsią Mora, napadnięty przez gierylasów w ciasnym wąwozie, pobity został zupełnie. Podpuł-

kownik Jasiński poległ uderzony dwiema kulami w piersi, i cała jedna kompania dostała się do niewoli. Szczątki batalionu znużone i krwawe, wróciły do Granady.

Z jeńcami Hiszpanie obchodzili się okropnie, w czem zresztą naśladowali Francuzów. Wojna, jakśmy to już powiedzieli, była dzika i straszna. Z Granady n. p. wysłano 1200 ludzi piechoty z 9-go pułku i 200 koni kawalerji francuskiej, by odprowadzili do Manzanaresu Anglików wziętych do niewoli pod Fuengirolą i Hiszpanów, zabranych pod Gorem. Pomimo ostrożności zbiegło w drodze 28 oficerów i 200 żołnierzy hiszpańskich. Gdy już wracano z powrotem do Granady, w Andujar wpadło w ręce dowódcy jazdy francuskiej generała Blondeau, czterech powstańców. Okrutnik ten kazał ich powiesić. Biedacy sami musieli słup do szubienicy wkopać do ziemi i musieli jeden drugiego wieszać. Ostatni, kulawy i najmniej winny, został ułaskawiony. Tego rodzaju okrucieństwa zaostrzały sytuacją i robiły z Hiszpanów nieprzejednanych niczem wrogów.

Tymczasem dokoła Granady powstańcy z każdą chwilą wzrastali w siłę. Otaczali oni dokoła miasta, podsuwali się podń bardzo blisko, mordowali pojedyncze placówki, nie dawali spokoju wojску polsko-francuskiemu. Główne ich siedlisko było w sławnych górach Sierra de Alpujara, unieśmiertelnionych w naszej poezji przez Mickiewi-

cza, ostatniem schronisku Maurów za Filipa II-go. Siły ich wynosiły do 8000 ludzi, i dowodził nimi hrabia de Montijo, protoplasta późniejszej cesarzowej Eugenii.

W obronie przeciw tej nieustannej chmurze gradowej, wiszącej nad Granadą, musiano naokoło miasta ustanowić silne posterunki i czynić ciągłą wyprawę. Jedną z takich wypraw doznała bardzo smutnego losu. Złożona z dwóch kompanij piechoty 9-go pułku polskiego i 100 koni jazdy francuskiej, wysłana została pod dowództwem pułkownika Merlé do Alendinu, miasteczka leżącego o dwie mile od Granady. Otóż dowiedziawszy się, że hr. Montijo uwija się w okolicach miasteczka Lanjaron, Merlé wyruszył tam z całą swoją siłą 320 ludzi. Szli u stoków Alpujary i na noc stanęli w Lanjaronie. W nocy napadli na nich Hiszpanie. Polacy zgromadzili się na rynku miasteczka i dzielny stawili opór. Zdołano nakoniec wyruszyć dalej na południe ku morzu, w kierunku Motril, gdzie spodziewano się posiłków. Całodzienny marsz wśród ciągłego boju, nieustannych strzałów Hiszpanów ukrytych po górach, kosztował bardzo wiele oddziałek polsko-francuski. Żołnierze zupełnie upadli na duchu, gdyż rannych musieli pozostawiać na drodze, a nieszczęśliwych tych Hiszpanie mordowali. Przed samą nocą nakoniec dostano się do Motril. Znużone całodziennym marszem i bojem wojsko, zabierało się do odpoczynku, gdy

znowu ukazali się Hiszpanie. Jazda francuska wysunęła się naprzód i wstrzymała nacisk nieprzyjaciela, poczem rzuciła się na drogę wzdłuż morza ku Almerii, a piechocie polskiej przysłał tylko Merlé rozkaz, by szła za nim. Biedni polscy wojownicy ze ściśniętem sercem, bo cała ta wyprawa groziła smutnem rozwiązaniem, puścili się w drogę. Noc była ciemna i burzliwa. Nie mając przewodnika, kolumna polska pobłądziła, natknęła się na gierylasów i wśród boju zmuszona była wrócić do Motril. Tu po upartej, cały dzień trwającej walce, dostała się w większej części do niewoli. Hiszpanie okrutnie z jeńcami się obchodzili. Mordowali ich, bili, obdzierali do koszuli. Hr. Montijo kazał wszystkich rannych rozstrzelać, a resztę zagnano do Alicante, a ztąd na wyspy Balearskie.

Takieto boje staczały ciągle dwa pułki polskie, boje, które niezmiernie osłabiły liczebną siłę wojska. Nakoniec i dla nich przyszedł rozkaz w styczniu 1812 r. powrotu do ojczyzny. Z jakąż radością opuszczali krwawe niwy Granady! W Madrycie połączyli się z pułkiem 4-tym i szli już razem, prowadząc ze sobą 1000 przeszło jeńców. Najprzód szedł pułk 4-ty, potem 9-ty, a na końcu 7-my. Pierwsze dwa bez boju przeszły Pireneje i dostały się do granicy francuskiej, ale siódmy został napadnięty przez Minę niedaleko granicy pod Salinas, wśród ciasnych, górskich wąwozów.

Pułk zmuszony został cofnąć się do blokhauzu, zbudowanego tutaj i zajętego przez Francuzów, gdzie sformowawszy się i oprzytomniawszy, bagnietem przełamał zastępujących mu drogę Hiszpanów. Starcie to było krwawe. Polegli porucznicy Sztabowski i Dębowski, żołnierzy około 136. Kilku oficerów dostało się do niewoli i eskortowani jeńcy uciekli.

Ostatnia to była walka stoczona przez Polaków z Hiszpanami. Z pułkiem 7 wyszły resztki wojowników polskich z ziemi hiszpańskiej, w której przez cztery lata lali swą krew. Jeżeli tu zostało jeszcze co Polaków, to albo jako jeńcy wojenni, albo jako dezterterowie i renegaci.

Bo i tacy byli. Wojna ta wogólności nosi dziwny, niepojęty dziś dla nas pod wielu względami charakter. Ukazała ona w nowym blasku, w nowym świetnym nimbie męstwo polskie, ozdobiła roczniki wojenne nasze takimi czynami, jak Saragossa, Samosierra, Juvenes, Almonacid, Ocana, Fuengirola, Albuera: z drugiej strony objawia się podczas całej tej czteroletniej epopei hiszpańskiej szczególny, powtarzamy, niepojęty dziś dla nas stan umysłów w wojownikach polskich, będący do pewnego stopnia odbiciem stanu umysłowego całego kraju. Ludzie ci, którzy poszli do Hiszpanii w tym niby celu, by zasługując się w oczach władcy ówczesnego świata, zyskać przez to coś dla swej biednej ojczyzny, powoli wśród krwa-

wych bojów, pod palącym słońcem hiszpańskim, tracą z oczu ten cel, prowadzą wojnę dla wojny, stają się żołdakami, dziecziej nieraz poprostu. Zapominają zupełnie o tem, że Hiszpanie także bronią swego kraju od najazdu, i większość pamiętnikarzy polskich z pogardą i nienawiścią mówi o tych wytrwałych i bądźco bądź mężnych obrońcach swych śmieci ojczystych. Takie pomieszanie pojęć, takie zapomnienie idei przewodniej, która kazała tworzyć legiony w ziemi włoskiej, kazała iść za Pireneje, jest faktem uderzającym i smutnym. Objawia się to zwłaszcza w legionach, w tych straceńcach, którzy po rozgromie maciejowickim z kraju, nie widzieli go od lat kilkunastu i zapomnieli o nim zupełnie. Pod tym względem znowu odznaczają się ułani, owi sławni lansyerowie Konopki. Ileżto razy mordują oni bez litości Hiszpanów, wassa pokręcają, gdy im zdziczały wódz francuski rozkazuje, by nie dawali pardonu, dzieci i kobiety kłóją lancami a w zaciekłości ścigają w Maladze uciekających aż w morze. Zrobili się oni żołdakami, gotowymi zawsze i wszędzie bić się za ladaco i za kogokolwiek, byle się bić. Oni też byli najbardziej zdziczali, najwięcej zatracili w sobie poczucie polskie i myśl o swej dalekiej ojczyźnie. Wszak jeden z nich, wzięty do niewoli i osadzony na wyspach Balearskich, zamordował towarzysza niewoli Francuza, wyjął z trupa wątrobę, upiekł ją i zjadł, ciesząc się, że przecie

mięsem się nakarmił. W Alicante komendantem placu był Polak, lansyer, zbieg i renegat, który najbardziej pastwił się nad jeńcami polskimi, jeżeli dostali się w jego ręce. A ilużto takich było, co przeszło do wojsk hiszpańskich za pieniądze, za obietnice. Trębacz Jankowski z 2 go pułku Legii, jest wybornym objawem tego zatracenia poczucia celu, dla którego Polacy bili się w Hiszpanii. Ilużto z tych lansyerów i pysznych szwoleżerów gwardyi poszło za Napoleonem na wyspę Elbę; znalazł się i taki polski ułan, co popłynął na św. Helenę. A ojczyzna? cóż tych straceńców ojczyzna obchodzić mogła?

Na pociechę jednak powiedzieć należy, że byli też i tacy, których oburzała ta wojna, którzy wśród mordów, rzezi, bitew nie zapomnieli o celu, dla którego tu przyszli. Zebraliśmy we właściwych miejscach chętnie te objawy podnioślejszych dusz i serc, jakkolwiek są one szczupłe i rzadkie, i nie znajdowały nigdy oddźwięku w większości, która jak ów żołnierz pod Tortozą cieszył się, że poszedł do wojska, bo mógł pić dobre wino hiszpańskie....

Bądźcobądź wspaniała to epopeja, ta epopeja hiszpańska, i pozostanie ona zawsze jako żywe wspomnienie, podnoszące pierś polską i zapalające błysk dumy na czole polskiem. Opłaciliśmy je zresztą sowiec krwią najdzielniejszych naszych synów. Z liczby Polaków, którzy różnemi czasy

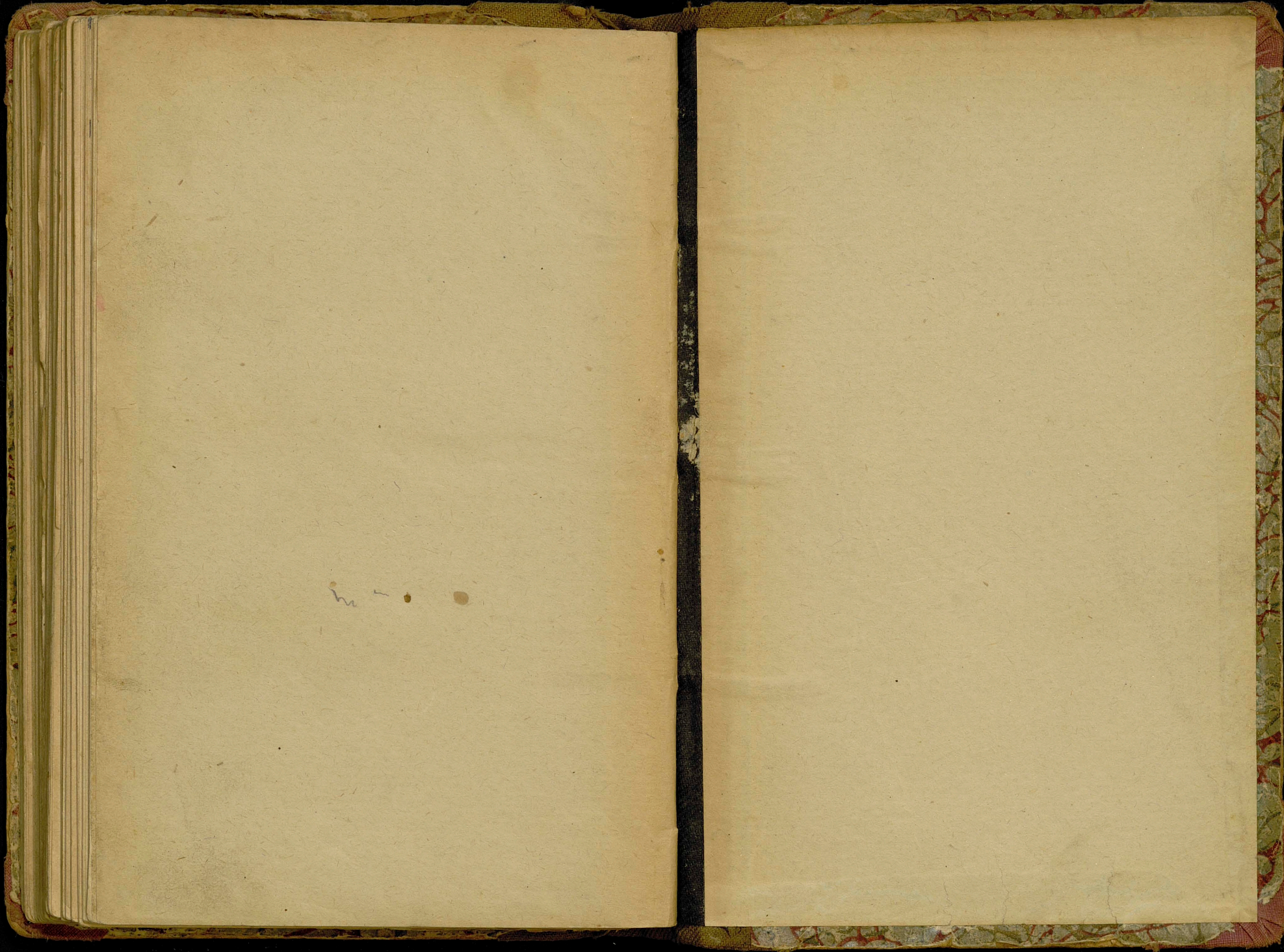
wchodzili do Hiszpanii, wynoszącej ogółem do 17.000 ludzi, wyszło tylko niespełna 10.000. Krwa-wo więc płaciliśmy za dobrodziejstwa, jakie nam czynił Napoleon, ciężko, bo w tych kilkunastu tysiącach ludzi, oprócz krwi ich, wojna hiszpańska wypieniła powoli uczucia ludzkie, co byłoby mniejszą stratą, gdyby współcześnie nie wytępiła była uczuć polskich.

Czasy to dawne; dziś szarzeją one przed nami jak słodkie, dalekie wspomnienie, ubarwione wszystkimi urokami romantyki politycznej polskiej, jak mił dla nas niepojęty, jak baśń jakaś prastara o trójbarwistych chorągiewkach i żółtych rabatach. Gdzież to już te czasy, ci ludzie, te pojęcia i te ideały! Wszystko minęło jak sen, jak różowy blask jutrenki, a nastąpiła mroczna, chmurna, bezbarwna rzeczywistość dni powszechnej ekspiacji za grzechy ojców. Dobrze jest jednak czasem przypominać sobie dawne dzieje, marzyć o dawnem życiu, o jego poetycznych, orlandowych formach — i dlatego też ta książka napisana została.



TREŚĆ.

	Str.
Słowo wstępne	1
Rozdział I. Pułk szwoleżerów gwardyi	5
" II. Legia Nadwiślańska. Saragossa	27
" III. Ulica Cosso. Odwrót	56
" IV. Pułk 4-ty, 7-my i 9-ty, Samo-Sierra.	71
" V. Drugie obleżenie Saragossy	93
" VI. Dywizya polska i lansyerowie	112
" VII. W Arragonii.	132
" VIII. Toledo i Almonacid	147
" IX. Legia Nadwiślańska	166
" X. Ocana	178
" XI. Szwoleżerowie gwardyi	192
" XII. W dolinie Iloki.	202
" XIII. Malaga	222
" XIV. Szwoleżerowie i Mina	240
" XV. Obleżenie Tortozy	257
" XVI. Fuengirola	279
" XVII. Fuentes-Onoro	294
" XVIII. Walencya	306
" XIX. Badayoz i Albuera.	329
" XX. Powrót do Ojczyzny	344



94 (4) sz
Przyborowski
Polacy w Hiszpanii

25249

XIX